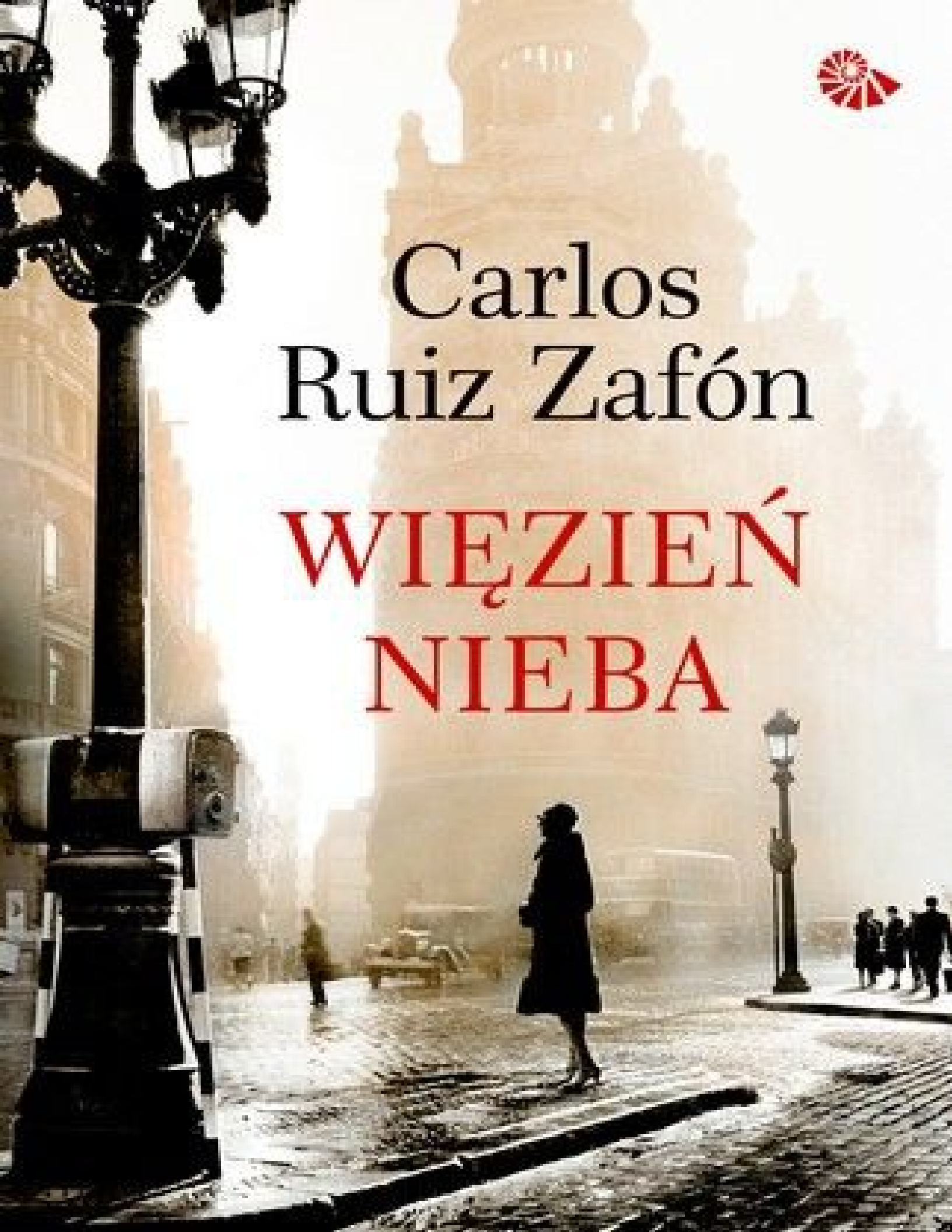




Carlos  
Ruiz Zafón

WIĘZIEŃ  
NIEBA



Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia powrócę na te ulice, by opowiedzieć historię człowieka, który stracił duszę i imię pośród cieni owej Barcelony zanurzonej w mętym śnie czasu popiołów i milczenia.

To są strony napisane ogniem pod osłoną miasta przeklętych, słowa wyryte w pamięci tego, który powrócił spośród zmarłych z przyrzeczeniem wbitym w serce i z ceną przekleństwa. Kurtyna idzie w górę, publiczność milknie i zanim cień rozpostarty nad ich losem spełźnie z teatralnej machineri, białe zjawy obsadzone jako statysci wychodzą na scenę ze śmiechem komedi na ustach i z tą świętą naiwnością kogoś, kto wierzy, że akt trzeci jest zarazem aktem ostatnim, zaczynają nam snuć opowieść wigilijną, nieświadome, że wraz z ostatnią stroną atramentowy oddech opowieści wciągnie je powoli i nieubłaganie ku sercu ciemności.

Julián Carax, Więzień Nieba (Éditions de la Lumière, Paryż 1992)

**Część pierwsza - Opowieść wigilijna.**

Barcelona, grudzień 1957

## 1.

Owego roku wszystkie dni poprzedzające święta Bożego Narodzenia jakby się zmówiły, że będą świtać ołowianą szarością i w szronie. Miasto tonęło w niebieskawym półmroku, a ludzie okutani w palta szli spieszenie, ze wzrokiem wbitym w chodnik, zostawiając w powietrzu marznące obłoczki oddechu. Niewielu w owych dniach zatrzymywało się przed witryną Sempere i Synowie, a jeszcze mniej zdobywało się na odwagę, by przekroczyć próg księgarni i zapytać o tę utraconą książkę, która czekała na nich przez całe życie i której sprzedaż, dajmy spokój poezji, pozwoliłaby nieco podreperować kiepską kondycję finansową księgarni.

- Czuję, że nadszedł ten dzień. Dziś odmieni się nasz los - oświadczyłem niesiony skrzydłami pierwszej porannej kawy, tego niczym nieskrępowanego optymizmu w stanie płynnym.

Ojciec, który od ósmej rano toczył boje z księgą buchalteryjną, ołówkiem i gumką wyczyniając istne sztuczki żonglerskie, uniósł wzrok znad kontuaru i przyjrzał się przemarszowi niedoszłych klientów odchodzących w dół ulicy.

- Oby niebiosa cię wysłuchały, Danielu, bo jak tak dalej pójdzie i przegramy okres świąteczny, w styczniu nie będziemy mieli nawet na rachunek za światło. Musimy coś wymyślić.

- Wczoraj Fermínowi coś wpadło do głowy - odważyłem się podsunąć. - Twierdzi, że to niezawodny plan, żeby uchronić księgarnię przed bankructwem.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Powtórzyłem słowo w słowo: - „Może gdybym w charakterze dekoracji stanął w witrynie w samych gaciach, to jakaś białogłowa, spragniona literatury i łasa na mocne wrażenia, weszłaby ponieść koszty, bo jak mówią znawcy, przyszłość literatury zależy od kobiet, a Bóg mi świadkiem, że jeszcze nie narodziła się niewiasta zdolna oprzeć się niebanalnemu urokowi tego góralsko szorstkiego ciała” - obwieściłem.

Usłyszałem za plecami dźwięk spadającego na podłogę ołówka i odwróciłem się.

- Fermín dixit - dodałem szybko.

Sądziłem, że ojciec uśmiechnie się z konceptu Fermína, ale stwierdziwszy, że nie ma zamiaru przerywać milczenia, spojrzałem nań kątem oka. Sempere senior zdawał się z jednej strony uważać, że absurdalny pomysł Fermína wcale, ale to wcale, nie jest zabawny, z drugiej strony jednak, sądząc z wyrazu twarzy znamionującego spory wysiłek myślowy, mogło wyglądać na to, iż mimo wszystko rozważa, czy Fermínowej propozycji nie potraktować całkiem serio.

- No, kto by pomyślał, ale być może Fermín utrafił w sedno - szepnął.

Przyjrzałem mu się z niedowierzaniem. Czyżby trapiąca nas od kilku tygodni handlowa posucha w końcu odebrała mojemu ojcu władze umysłowe?

- Nie mów mi, że pozwolisz mu łązić po księgarni w samych ineksprymablach.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Witryna, chodzi o witrynę wystawową. Gdy wspomniałeś o pomysle Fermína, to mnie oświeciło... Może jeszcze uda nam się uratować święta Bożego Narodzenia.

Anim się obejrzał, jak zniknął na zapleczu. Po chwili zjawił się w swym oficjalnym zimowym umundurowaniu: w palcie, szaliku i kapeluszu, w których nieodmiennie widziałem go od dziecka. Bea podejrzewała, iż mój ojciec od 1942 roku nie nabył ani jednej sztuki odzieży, i wszystko wskazywało na to, że moja żona ma rację. Ojciec, wkładając rękawiczki, uśmiechał się niepewnie, a w jego oczach dostrzegłem ów dziecięcy niemal błysk, który wywołać zdolne były jedynie wielkie wyzwania.

- Zostawiam cię na czas jakiś - oznajmił. - Idę coś załatwić.

- A mogę wiedzieć, dokąd idziesz?

Ojciec puścił do mnie oko.

- To niespodzianka. Przyjdzie czas, to zobaczysz.

Odprowadziłem go do drzwi, a później patrzyłem, jak odchodzi w stronę Puerta del Ángel żwawym krokiem, szybko przeistaczając się w jeszcze jednego przechodnia przedzierającego się wraz z szarym tłumem przez kolejną bezkresną zimę z popiołu i z cienia.

## 2.

Korzystając z samotności, włączyłem radio, by nacieszyć się muzyką w trakcie porządkowania poszczególnych kolekcji na półkach według własnego widzimisię. Ojciec uważał, że gdy w księgarni są klienci, do dobrego tonu należy wyłączenie radia. Z kolei jeśli włączałem radio w obecności Fermína, ten natychmiast podchwytywał jakąkolwiek melodię, by wtórować jej na własną, swojską, nutę - lub, co gorsza, puszczał się w płasy, które ochrzcił mianem „zmysłowych karaibskich rytmów” -

czym po kilku zaledwie minutach doprowadzał mnie do stanu załamania nerwowego. Mając na względzie owe praktyczne przeszkody, doszedłem do wniosku, iż powinienem ograniczyć radiowe uczyty duchowe do tych rzadkich chwil, kiedy poza mną i dziesiątkami tysięcy książek w księgarni nie ma nikogo.

Radio Barcelona odtwarzało właśnie amatorskie nagranie zarejestrowane przez jakiegoś miłośnika i kolekcjonera podczas niezwykłego koncertu Louisa Armstronga i jego orkiestry trzy lata temu z okazji Bożego Narodzenia w barcelońskim hotelu Windsor Palace przy alei Diagonal. Podczas przerw na reklamy spiker z nadgorliwą emfazą powtarzał określenie „muzyka jazowa” (właśnie tak: „jazowa”, nie „dżezowa”), ostrzegając zarazem, że niektóre ze zbyt śmiałych synkop mogą szokować nienawykłe ucho rodzimego słuchacza wychowanego na habanerach, bolerach i paso doble, ewentualnie na nieśmiało przebijającym się w hiszpańskich rozgłośniach bigbicie.

Fermín zwykł mawiać, że gdyby don Isaac Albéniz był Murzynem, jazz, podobnie jak wielki kompozytor i herbatniki w puszcze, narodziłby się w Camprodón, po czym dodawał, że ta muzyka i szpiczaste staniki tak wspaniale demonstrowane przez jego ukochaną Kim Novak, którą razem podziwialiśmy na przedpołudniowych seansach w kinie Femina, należały do największych wynalazków XX wieku, jak dotąd przynajmniej. Nie miałem zamiaru z nim polemizować. Pozwoliłem tym kilku przedpołudniowym godzinom upłynąć pośród magicznych tonów muzyki Armstronga i zapachu książek, ciesząc się spokojem i zadowoleniem, jakie czerpiemy ze świadomie wykonywanych prostych

czynności.

Fermín wziął dziś kilka godzin wolnego, bo musiał pozatławić trochę spraw, bez których ślub z Bernardą, zaplanowany na początek lutego, nie mógłby się odbyć. Gdy dwa tygodnie temu wspomniał o tym po raz pierwszy, wszyscy orzekliśmy, że niepotrzebnie się tak spieszy i żeby raczej pamiętał o tym, że co nagle, to po diable. Ojciec próbował go przekonać, by przesunął datę ceremonii o kilka miesięcy, argumentując, że gody weselne najlepiej wyprawiać latem, przy dobrej pogodzie, ale Fermín obstawał przy zachowaniu pierwotnej daty, tłumacząc, że on osobiście, jako przedstawiciel gatunku wyhodowanego w surowym, suchym klimacie gór Estremadury, z chwilą nadejścia kanikuly, jego zdaniem nie tyle śródziemnomorskiej, co właściwie tropikalnej, zaczyna pocić się obficie, a uważa, że byłoby grubym nietaktem stanąć przed ołtarzem jak nie przymierzając hutnik przy spuście surówki.

A mnie zaczęła trapić myśl, że dzieje się coś bardzo podejrzanego, skoro Fermín Romero de Torres, żywy symbol obywatelskiego protestu przeciwko Świętej Matce Kościołowi, bankom i obyczajności tej dewocyjnej Hiszpani z towarzyszącymi nam od kilkunastu lat kronik filmowych, tak przebiera nóżkami, by jak najszybciej stanąć przed ołtarzem. W swym przedmałżeńskim ferworze zapędził się tak dalece, iż nawiązał przyjaźń z nowym proboszczem kościoła Santa Ana, don Jacobem, księdzem pochodzącym z Burgos, o nieprzesadnej pryncypialności i ogładzie boksera w stanie spoczynku, którego Fermín z miejsca zaraził swoją nieokiełznaną pasją do gry w domino: toczyli z sobą epickie boje w barze Admiral w każdą niedzielę po mszy. Ksiądz zaśmiewał się dobrodusznie, kiedy mój przyjaciel pytał go, między jednym a drugim kieliszkiem ziołówki Aromas del Montserrat, czy może raz na zawsze rozstrzygnąć nurtującą go zagadkę, a mianowicie czy zakonnice mają uda, a jeśli tak, to czy tak jędrne, że aż chce się zatopić w nich zęby, jak on sam podejrzewał od czasów mutacji.

- W końcu się pan doigra i ekskomunikują pana - ostrzegął go mój ojciec. - Na zakonnice się nie patrzy, a tym bardziej się ich nie dotyka.

- Ale przecież z wielebnego większy łobuz ode mnie - protestował Fermín. - Gdyby nie sutanna...

Wspominałem tę dyskusję, podśpiewując sobie w takt trąbki

mistrza Louisa, kiedy usłyszałem tak miły dla ucha dźwięk dzwoneczka wiszącego nad drzwiami księgarni i uniosłem wzrok, spodziewając się ujrzeć ojca wracającego ze swej tajnej misji albo Fermína pełnego zapału i gotowego rozpocząć popołudniową zmianę.

- Dzień dobry - doszedł mnie niski, szorstki głos.

### 3.

W świetle otwartych drzwi mężczyzna stojący w progu przypominał drzewo ogołoczone przez wiatry z gałęzi. Przybysz ubrany był w ciemny garnitur o niemodnym już fasonie. Posępna postać wspierała się na lasce. Ruszył w głąb księgarni, wyraźnie kulejąc. Światło lampki stojącej na ladzie wydobyło z szarości twarz głęboko przeoraną przez czas. Gość przyglądał mi się bacznie przez chwilę, taksując mnie niespiesznie. W jego spojrzeniu było coś ze wzroku drapieżnego ptaka, cierpliwego i wyrachowanego łowcy.

- Pan Sempere?

- Ja jestem Daniel. Pan Sempere to mój ojciec. W tej chwili akurat go nie ma. Czym mogę panu służyć?

Nieznajomy puścił mimo uszu moje pytanie i zaczął kuśtykać po księgarni, wszystkiemu przyglądając się badawczo, a właściwie zachłannie, nieskrępowany wcale moją obecnością.

Odnosiłem wrażenie, że nie tylko kuśtyka, ale pewnie ma też wiele innych obrażeń, jakby niejednokrotnie ocierał się o śmierć.

- Wojenne pamiątki - powiedział gość, jakby czytał w moich myślach.

Śledziłem wzrokiem jego drobiazgową inspekcję księgarni, choć przewidywałem, gdzie się w końcu zatrzyma. I rzeczywiście: przybysz stanął przed hebanową Witryną, naszą rodzinną relikwią zdobiącą księgarnię od pierwszego dnia jej istnienia, czyli od 1888 roku. Mój prapradziadek Sempere, wówczas młodzieniec, który właśnie wrócił z Karaibów, gdzie jak tylu innych katalońskich indianos bez powodzenia szukał fortuny, zaciągnął kredyt, by kupić dawny sklep rękawicznicy i przekształcić go w księgarnię. W owej witrynie węgielnej, dumie naszej firmy, przechowywaliśmy najcenniejsze egzemplarze.

Przybysz podszedł do niej tak blisko, że od jego oddechu zaparowała szyba witryny. Wyciągnął z kieszeni okulary i zaczął się przyglądać stojącym w środku książkom. Skulił się przed meblem tak, iż wyglądał niczym łasica szykująca się do pożarcia jajek przed chwilą złożonych w kurniku.

- Ładny mebelek - mruknął. - Swoje musiał kosztować.



- To stara rodzinna pamiątka. Ma przede wszystkim wartość sentymentalną - odparłem, zirytowany bezceremonialnym szacowaniem i wartościowaniem, jakiego dopuszczał się ów szczególny klient, który zdawał się wyceniać nawet wdychane przez nas powietrze.

Po dłuższej chwili schował okulary i odezwał się, cedząc każde słowo.

- O ile wiem, pracuje z panami pewien nader utalentowany dżentelmen.

Zwlekąłem z odpowiedzią, więc jegomość odwrócił się i posłał mi spojrzenie z gatunku tych, które nawet jeśli nie spopielają, to przynajmniej postarzają o ładnych kilka lat.

- Jak pan widzi, dziś akurat jestem sam. Jeśli łaskawy pan poda mi tytuł poszukiwanej przez pana pozycji, z największą przyjemnością postaram się ją znaleźć.

Na usta przybysza wypełził uśmiech, o ile ów mało przyjazny grymas można było w ogóle nazwać uśmiechem.

- Widzę, że eksponują tu panowie egzemplarz Hrabiego Monte Christo.

Nie on jeden zwrócił uwagę na ten szczególny wolumin. Zaaplikowałem mu oficjalną mowę, jaką mieliśmy przygotowaną na tego rodzaju okazje.

- Gratuluję dobrego oka. Mamy tu do czynienia z niezwykłą edycją, numerowaną, z ilustracjami Arthura Rackhama. Ten egzemplarz pochodzi z osobistej biblioteki wielkiego madryckiego bibliofila.

Jest to egzemplarz unikatowy i skatalogowany.

Gość bardziej udawał, że słucha, niż słuchał, skupiając uwagę na strukturze tylnych ścianek z hebanu osłaniających regały i nie kryjąc znudzenia moimi słowami.

- Dla mnie wszystkie książki są takie same, ale podoba mi się jej niebieska okładka - odezwał się pogardliwym tonem. - Biorę ją.

W innych okolicznościach pewnie podskoczyłbym z radości, że mogę opchnąć naszą prawdopodobnie najdroższą książkę, ale na samą myśl, że tak piękne wydanie trafia w ręce tego typu, zrobiło mi się niedobrze. Instynktownie czułem, że jeśli powieść opuści księgarnię w jego kieszeni, nikt nigdy nie przeczyta nawet pierwszego akapitu.

- To bardzo drogie wydanie. Jeśli szanowny pan sobie życzy, mogę

pokazać inne edycje tego samego dzieła w doskonałym stanie i po bardziej przystępnej cenie.

Ludzie małoduszni zawsze usiłują pomniejszyć innych, a przybysz, który, jak czułem, mógłby z powodzeniem zmieścić swoją duszę na główce od szpilki, obrzucił mnie najbardziej pogardliwym ze swych spojrzeń.

- ... i które również mają niebieskie okładki - dodałem szybko.

Nie zareagował na moją bezczelną uwagę.

- Nie, dziękuję. Chcę mieć ten egzemplarz. Cena nie gra roli.

Przytaknąłem niechętnie i podszedłem do witryny. Wyjąłem klucz i otworzyłem oszklone drzwiczki.

Czułem, jak oczy klienta świdrują mi plecy.

- Wszystko, co dobre, jest zawsze pod kluczem - burknął pod nosem.

Wziąłem książkę i westchnąłem.

- Czy jest pan kolekcjonerem?

- Poniekąd. Choć nie książki są moją specjalnością.

Odwrociłem się i wyciągnąłem ku niemu książkę.

- A można wiedzieć, co pan kolekcjonuje?

Nieznamy zignorował moje pytanie i wyciągnął dłoń po książkę. Musiałem powstrzymać się przed odruchowym schowaniem tomu z powrotem do witryny i zamknięciem jej na klucz. Ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym w tak trudnych czasach jak obecne wypuścił z rąk taką okazję.

- Kosztuje trzydzieści pięć peset - oznajmiłem, nim wyciągnąłem doń książkę z nadzieją, iż podana cena zmusi go do zmiany decyzji.

Kiwnął potakująco głową i wyjął banknot stupesetowy z kieszeni garnituru, który nie był wart nawet pięciu peset. Błysnęła mi myśl, czy banknot nie jest aby fałszywy.

- Obawiam się, szanowny panie, że nie będę miał reszty z banknotu o tak dużym nominale.

Najchętniej poprosiłbym go, by zaczekał chwilę, podczas gdy ja w te pędy ruszyłbym do najbliższego banku, by rozmiąć banknot i przy okazji upewnić się, czy nie jest podrobiony, ale nie chciałem zostawiać go samego w księgarni.

- Niech pan da sobie spokój. To czysty banknot. A wie pan, jak

może się pan upewnić?

Uniósł banknot pod światło.

- Niech pan popatrzy na znak wodny. I na te linie. Teksturę...

- Czy szanowny pan jest specjalistą od falsyfikatów?

- Młody człowieku, na tym świecie wszystko jest fałszywe.

Wszystko oprócz pieniędzy.

Wepchnął mi banknot w dłoń i zacisnął ją w pięść, poklepując knykcie.

- Proszę sobie zatrzymać resztę do mojej następnej wizyty - powiedział.

- To bardzo poważna kwota, szanowny panie. Sześćdziesiąt pięć peset.

- Drobiazg.

- Gotów jestem podpisać panu kwit.

- Ufam panu.

Nieznajomy zaczął przyglądać się książce z nieskrywaną obojętnością.

- To ma być prezent. Chciałbym, aby panowie dostarczyli ów prezent wskazanej osobie.

Zawahałem się przez chwilę.

- W zasadzie nie zajmujemy się dostarczaniem zakupionego u nas towaru, niemniej w tym przypadku z ogromną przyjemnością podejmiemy się doręczenia książki wskazanej osobie, bez żadnych dodatkowych kosztów oczywiście. Czy mogę wiedzieć, czy przesyłka będzie na teren Barcelony, czy też...

- Nie, nie, to będzie tutaj - odparł.

W jego zimnym spojrzeniu zdawały się kryć długie lata tłumionej wściekłości i głębokiej urazy.

- Czy szanowny pan życzy sobie dołączyć szczególną dedykację lub też skreślić parę słów, zanim zapakuję książkę?

Klient z niejakim trudem otworzył książkę na stronie tytułowej.

Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że miał lewej ręki ma protezę z barwionej porcelany. Wyjął pióro wieczne i skreślił parę słów. Oddał mi książkę i obrócił się na pięcie. Przyglądałem się, jak kuśtyka ku drzwiom.

- Czy byłby pan łaskaw podać mi nazwisko adresata, jak również i

sam adres, pod który winniśmy dostarczyć egzemplarz książki? - zapytałem.

- Wszystko jest w środku - odparł, nie odwracając się ku mnie.

Otworzyłem książkę i natrafiłem na stronę, na której gość skreślił własnoręcznie następujący tekst: Dla Fermína Romero de Torres, który powrócił spośród umarłych i jest w posiadaniu klucza do przyszłości.

13

W tym momencie usłyszałem dzwoneczek znad drzwi i kiedy spojrzałem w tamtą stronę, nieznajomy już wyszedł.

Podbiegłem szybko do wyjścia i wyrząłem na ulicę. Mój klient oddalał się, kuśtykając. Powoli wmieszał się między postaci przedzierające się przez welon niebieskiej mgły omiatającej ulicę Santa Ana. Chciałem go zawołać, ale ugryzłem się w język.

Najprościej byłoby pozwolić mu odejść, ale instynkt i mój odwieczny brak rozwagi oraz nieumiejętność zachowania jakiegokolwiek ostrożności okazały się silniejsze ode mnie.

#### 4.

Zawiesiłem napis „Zamknięte” i przekręciłem klucz w drzwiach, zdecydowany podążać w tłumie za nieznanym krok w krok. Wiedziałem, że jeśli mój ojciec wróci - na domiar złego akurat wtedy, kiedy odważył się zostawić mnie w księgarni samego w czas całkowitej posuchy handlowej - i zobaczy, że opuściłem swoje stanowisko pracy, na pewno spotka mnie ostra reprymenda, ale uznałem, że po drodze wymyślę jakąś wymówkę. Wołałem stawić czoło łagodnej naturze mego rodzica niż przełknąć niepokój, który we mnie zasiał ów ponury gość, i gubić się w domysłach, jaki też jest charakter jego związków z Fermínem.

Zawodowy księgarz nie ma zbyt wielu okazji, by opanować finezyjną sztukę śledzenia podejrzanego osoby bez narażania się na dekonspirację. Jeśli pominać możliwości stwarzane przez klientów uporczywie zalegających z zapłatą, większość tych okazji księgarz może znaleźć jedynie w stojących u niego na półkach seriach i kolekcjach opowiadań detektywistycznych lub tanich powieści kryminalnych. Habit nie czyni mnicha, ale zbrodnia lub podejrzenie jej popełnienia czynią detektywa, a zwłaszcza detektywa amatora.

Podczas gdy szedłem za nieznanym w stronę Rambli, przypominałem sobie w pośpiechu podstawowe zasady, zaczynając od tego, że należy utrzymywać pięćdziesięciometrowy co najmniej dystans, starać się cały czas kamuflować za kimsz bardziej korpulentnym i mieć opanowaną topografię, na wypadek gdyby trzeba było skryć się w jakiejś bramie albo w sklepie, bo śledzony delikwent może się nagle zatrzymać i nieoczekiwanie spojrzeć za siebie. Dotarwszy do Rambli, mój dziwny klient ruszył

głównym traktem w kierunku portu. Cała aleja była już przystrojona w świąteczne dekoracje i sporo sklepików obwiesiło okna wystawowe światełkami, gwiazdkami i aniołkami zwiastującymi lepsze jutro, które, skoro tak głosiło radio, było pewne jak amen w pacierzu.

W tamtych latach w atmosferze świąt Bożego Narodzenia było jeszcze dużo magii i tajemnicy.

Anemiczne zimowe światło, pełen tęsknoty wzrok ludzi żyjących

pośród cieni i półśłówek przydawały owym dekoracjom aury najprawdziwszej prawdy, w którą wierzyć mogły jeszcze dzieci. I osoby, które nauczyły się zapominać.

Nic więc dziwnego, że narastało we mnie wrażenie, iż w tej świątecznej sceneri trudno o osobę tak zupełnie nie z tej bajki, tak cudacznie nieprzystającą do panującej wokół atmosfery jak tajemniczy obiekt mojej inwigilacji. Wolno kuśtykał i często się zatrzymywał przy kioskach z ptakami lub kwiaciarniach, podziwiając papużki i róże, tak jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Kilkakrotnie podszedł do rozsianych po Ramblach kiosków z prasą, gdzie przez jakiś czas przeglądał okładki gazet i pism i zabawiał się, wprawiając w ruch kręciołki z pocztówkami. Rzec by można, iż trafiwszy tu po raz pierwszy, zachowywał się jak dziecko, a może jak turysta spacerujący po nieznanym sobie Ramblach, aczkolwiek dzieci i turyści mają zazwyczaj na twarzach chwilowy wyraz niewinności osoby, która nie bardzo wie, gdzie jest - a na śledzonego przeze mnie typa łaska niewinności nie spłynęłaby chyba nawet z rąk Dzieciątka Jezus z fasady Kościoła Matki Boskiej Betlejemskiej, obok którego właśnie przeszedł.

I w tym momencie zatrzymał się przed stoiskiem z ptakami naprzeciwko wylotu ulicy Puertaferri, wyraźnie zaintrygowany kakadu o blad różowym upierzeniu, która przechyliwszy główkę, przyglądała mu się przez pręty klatki. Nieznajomy podszedł do niej, stanął w tej samej pozycji co w mojej księgarni przed witryną i zaczął coś szeptać. Ptak, okaz wielkości kapłona, z głową jak hełm, pokryty fantastycznymi piórami, przeżył cuchnący siarką oddech przechodnia i z niebywałym zainteresowaniem zasłuchał się cały w recytowane przez mężczyznę słowa. Kakadu dawała wyraz swojej ekscytacji, kiwając rytmicznie głową i w końcu strosząc różowawe pióra swego czubka.

Po kilku minutach nieznajomy, z wyrazem satysfakcji z tej ptasiej pogawędki, ruszył dalej w drogę.

Gdy po niespełna trzydziestu sekundach tym razem ja przechodziłem koło stoiska z ptakami, spostrzegłem, że wszczęło się tam małe zamieszanie i że sprzedawca nerwowo stara się jak najszybciej przykryć płótnem klatkę z kakadu, ptak bowiem zaczął z nienaganną dykcją powtarzać rymowaną: Franco, ty fiucie, jaja masz

na drucie.

Nie miałem cienia wątpliwości, od kogo się jej nauczył. W każdym razie mogłem stwierdzić, że mój nieznajomy klient niepozbawiony jest specyficznego poczucia humoru, a jego przekonania są wysoce ryzykowne. I jedno, i drugie w owych czasach było równie rzadkie jak spódnice powyżej kolan.

Przez chwilę przestraszyłem się, że zaaferowany incydem straciłem go z oczu, ale dość szybko rozpoznałem jego koślawą postać przed wystawą sklepu z biżuterią Bagués.

Dyskretnie doszedłem do budek pisarzy przy wejściu do Pałacu Wicekrólowej, skąd mogłem lepiej widzieć mojego klienta. Oczy świeciły mu jak rubiny, a pełen przepychu spektakl złota i kamieni szlachetnych za kuloodporną szybą zdawał się budzić w nim pożądanie, którego nie wywołałby u niego nawet cały zespół tancerek rewiowych z La Criol i w latach jej największej świetności.

- List miłosny, podanko, uniżone pismo do dowolnie wybranej ekscelencji, serdeczny list: niniejszym-donoszę-że-u-mnie-wszystko-w-porządku do krewnych z rodzinnych stron, młody człowieku?

Skryba urzędujący w budce służącej mu zarazem za schronienie przed zimnem wychylił się przez okienko niczym spowiednik z konfesjonatu, skory natychmiast spełnić każde moje życzenie. Tabliczka nad okienkiem głosiła: Oswaldo Dario de Mortenssen Literat i Myśliciel W ofercie pełny asortyment listów miłosnych, podań, testamentów, wierszy, adresów hołdowniczych, życzeń, prośb, nekrologów, peanów, prac magisterskich, listów błagalnych, odwołań i pism wszelakich w każdym stylu i metrum.

Dziesięć centymów za zdanie (rymy płatne osobno).

Zniżki dla wdów, inwalidów i młodzieży szkolnej.

- Czego panu potrzeba, młody człowieku? List miłosny z rodzaju tych, które powodują, iż pannom do wzięcia haleczki mokną od miłosnych humorów? Wygląda pan na sympatycznego, więc i cena będzie sympatyczna.

Wyciągnąłem ku niemu rękę, pokazując ślubną obrączkę. Skryba Oswaldo wzruszył obojętnie ramionami.

- Żyjemy w nowoczesnych czasach - stwierdził. - Gdybym zaczął panu opowiadać, ile tu przychodzi mężów i żon...

Spojrzałem znowu na tabliczkę, która brzmiała jakoś swojsko, ale nie wiedziałem dlaczego.

- Pańskie nazwisko nie jest mi obce...

- Nie powiem, bywało lepiej. Może z tamtych czasów.

- To pańskie prawdziwe nazwisko?

- Nom de plume. Artysta potrzebuje imienia na miarę swego dzieła.

W mojej metryce stoi Jenaro Rebol o, kto powierzy napisanie listu miłosnego komuś z takim nazwiskiem... To co, korzystamy z dzisiejszej oferty? Raz-dwa skrobiemy liścik pełen namiętności i pożądania?

- Innym razem.

Pisarz pokiwał głową ze smutkiem. Podążył za moim wzrokiem i zaintrygowany zmarszczył brwi.

- Śledzimy kulawego, co? - rzucił.

- Zna go pan? - spytałem.

- Od tygodnia widzę, jak codziennie przechodzi tędy, staje przed sklepem złotniczym i gapi się jak sroka w gnat, jakby wystawiano tam nie złoto i kosztowności, ale tyłeczek Bel i Dority - wyjaśnił.

- Rozmawiał pan z nim kiedyś?

- Jeden z kolegów przepisał mu parę dni temu list. Wie pan, biedak nie ma palców...

- A który z kolegów? - zapytałem.

Skryba popatrzył na mnie z wahaniem, jakby się obawiał, że jeśli mi odpowie, może stracić potencjalnego klienta.

- Luisito. Ten z naprzeciwka, tuż przy Casa Beethoven, ten, co wygląda jak seminarzysta.

Chciałem dać mu kilka monet napiwku, ale odmówił.

- Ja na życie zarabiam piórem, nie dziobem. Bo tych ostatnich mamy aż nadto na naszym podwórku. Gdyby któregoś dnia odczuł pan potrzebę natury filologicznej, wie pan, gdzie mnie szukać.

Wręczył mi wizytówkę, na której widniał ten sam tekst co na tabliczce.

- Od poniedziałku do soboty, od ósmej do ósmej - uściślił. -

Oswaldo, żołnierz słowa, do pańskich usług i pańskich epistolarnych potrzeb.

Schowałem wizytówkę i podziękowałem mu za pomoc.

- Gołąbek panu odfruwa - ostrzegł.



Odwróciłem się i zobaczyłem, że nieznajomy znowu ruszył w drogę. Szybko poszedłem jego śladem w stronę morza aż do głównego wejścia na targ Boquería, gdzie się zatrzymał, by popatrzeć na niezwykle widowisko, jakie rozgrywało się pośród kramów, i na tragarzy rozładowujących wszelkiego rodzaju wiktuały i delicje. Widziałem, jak kuśtyka w stronę kontuaru baru Pinocho, by tam wspiąć się na jeden ze stołków, nie bez trudności, ale z ogromnym entuzjazmem. Przez mniej więcej pół godziny próbował delektować się specjałami, które serwował mu Juanito, beniaminek właścicieli baru, ale odniosłem wrażenie, że stan zdrowia kuternogi nie pozwala mu na zbytne ekscesy gastronomiczne, bo jadł raczej oczyma, jakby dzięki zamawianiu kolejnych tapas i dań, których nie mógł nawet spróbować, przypominał sobie lepsze czasy. Nie smakiem rozkoszuje się podniebienie, ale wspomnieniem. W końcu, zmęczony swoją kulinarną impotencją i zastępczą przyjemnością podglądania, jak inni degustują i się oblizują, nieznajomy uścił rachunek i ruszył w swoją drogę ku wylotowi ulicy Hospital, gdzie, zrzędzeniem niepowtarzalnej geometri Barcelony, współlistniały obok siebie jeden z najświetniejszych teatrów operowych starej Europy i jedna z najbardziej zrujnowanych i podupadłych dzielnic rozpusty na półkuli północnej.

## 5.

O tej godzinie załogi wielu statków handlowych i okrętów wojennych stojących w porcie atakowały całą promenadę Rambli, by zaspokoić swoje wszelkiej maści apetyty. Czując siłę popytu, podaż ustawiła się na rogu - damy do wynajęcia, których aparycja wskazywała jednoznacznie, że najlepsze lata mają już dawno za sobą, oferowały za to nader przystępne ceny, od których można było wytargować znaczny upust. Z lekkim niesmakiem spojrzałem na ściśnięte w tali spódnice, na żylaki i sine bladeści, od których aż oczy bolały, na zwiędłe twarze. Wygląd tych dam, dobitnie świadczący o tym, że to już ich ostatnie występy przed odejściem w stan spoczynku, budził wszelkie możliwe uczucia poza pożądlivością. Wiele miesięcy na morzu spędzić musiał marynarz, pomyślałem, żeby dać się złapać na taki lep. Ale, ku mojemu zaskoczeniu, kuternoga zatrzymał się przy parze owych dam, z którymi życie już gorzej obejść się nie mogło, by swawolnie z nimi pogawędzić, jakby były pięknosciami z najwykwintniejszego kabaretu.

- Witaj serdeńko, niech no cię tylko wezmę w obroty, a dwadzieścia lat w mig ci ubędzie -

usłyszałem jedną z dam, którą spokojnie można byłoby wziąć za babcię skryby Oswalda.

Raczej zmiażdżysz go na śmierć, pomyślałem. Mój klient zapobiegliwie zrobił unik i podziękował za zaproszenie.

- Innym razem, ślicznotko - odparł, zagłębiając się w uliczki Ravalu.

Szedłem za nim jeszcze kilkaset metrów, póki nie zatrzymał się przed wąską i ciemną bramą usytuowaną niemal naprzeciw zajazdu Europa. Widziałem, jak znika w bramie. Odczekałem pół minuty, a następnie ruszyłem jego śladem.

Przekroczywszy próg, natknąłem się na ocienione schody niknące we wnętrzu budynku, przypominającego wyglądem statek przechylony na lewą burtę, ale - dokładając fetor stęchlizny i ewidentne problemy z kanalizacją - przede wszystkim ruinę, która lada chwila dołączy do katakumb Ravalu. Obok westybulu znajdowało się coś w rodzaju dozorcówki, gdzie tłustawe indywiduum wyelegantowane w podkoszulek, z wykałaczką w zębach i z radiem nastawionym na jakąś

rozgłosnię wyspecjalizowaną w walkach byków obrzuciło mnie spojrzeniem tyleż pytającym, co niechętnym.

- Sam pan? - zapytał nieco zaintrygowany.

Nie trzeba było być orłem, żeby wydedukować, że znalazłem się przed drzwiami podrzędnego hoteliku wynajmującego pokoje na godziny, a jedynym, co nie pasowało do obrazka, była moja osoba, której nie towarzyszyła żadna z bogiń patrolujących pobliski róg.

- Jeśli ma pan życzenie, to mogę panu podesłać dziewczynkę - zaoferował się, szykując już jednocześnie zestaw składający się z ręcznika, mydła i czegoś, co, jak mogłem się domyślić, było gumą lub podobnym artykułem przewidzianym jako środek profilaktyczny in extremis.

- Ale ja właściwie chciałem panu zadać tylko jedno pytanie - zacząłem.

Portier wybałuszył oczy.

- Pół godziny dwadzieścia peset, a klaczkę sam pan sobie załatwia.

- Kuszące, nie powiem. Może kiedy indziej. Chciałem tylko zapytać, czy przed chwilą nie wszedł tu dżentelmen. Parę minut temu. Starszy gość. W nie najlepszej formie. Sam. Bez klaczkę.

Portier zmarszczył brew. Wyczułem w jego spojrzeniu, że w sekundę zdegradowany zostałem z potencjalnego klienta do muszki-upierdliwki.

- Nikogo nie widziałem. I pana też tu nie ma, ale już, bo zawołałem Toneta.

Mogłem mniemać, iż Tonet nie należy do sympatycznie usposobionych osób. Położyłem przed portierem resztę posiadanych przeze mnie monet i uśmiechnąłem się doń pojednawczo. Pieniądze zniknęły, jakby były drobnymi owadami, a palce zniszczonych rąk portiera - językiem polującego kameleona. Są - nie ma. Szast-prast.

- Co chcesz wiedzieć?

- Czy mieszka tu wspomniany przeze mnie gość?

- Wynajmuje pokój od tygodnia.

- A wiadomo, jak się nazywa?

- Zapłacił za miesiąc z góry, więc po co miałem pytać?

- A wiadomo, skąd przyjechał, co porabia...?

- To nie jest kącik złamanych serc. My tych, co przychodzą się tutaj

gzić, o nic nie pytamy. A ten nawet się nie gzi. Więc niech se pan sam skalkuluje.

Chcąc nie chcąc, skalkulowałem.

- Wiem tylko tyle, że od czasu do czasu wychodzi na jakiś czas i wraca. Czasami prosi mnie, żebym mu przyniósł butelkę wina, chleb, trochę miodu. Płaci dobrze i za dużo nie gada.

- I nie przychodzi panu żadne nazwisko do głowy?

Pokręcił głową.

- Dobrze i to. Dzięki i przepraszam za kłopot.

Już się odwracałem, by odejść, kiedy portier mnie zawołał.

- Romero - powiedział.

- Proszę?

- Chyba mówił, że nazywa się Romero albo coś w tym stylu..

- Romero de Torres?

- O właśnie.

- Fermín Romero de Torres? - raz jeszcze spytałem, nie dowierzając.

- Dokładniusięko. Czy przypadkiem przed wojną nie było takiego toreadora? - zapytał portier. - No, wiedziałem, że coś mi to mówi...

## 6.

Wracalem do księgarni tą samą drogą całkowicie przekonany, że jak byłem głupi, tak jestem głupi, albo i głupszy. Gdy mijalem Pałac Wicekrólowej, skryba Oswaldo pomachał do mnie.

- Udało się? - spytał.

Burknąłem, że nie bardzo.

- Niech pan popyta Luisita, może on coś pamięta.

Pokiwalem głową i podszedłem do budki Luisita, który właśnie czyścił swoją kolekcję stalówek.

Ujrawszy mnie, uśmiechnął się i zaprosił, bym siadł.

- Co dla pana? Sprawa miłosna czy zawodowa?

- Pański kolega Oswaldo przysłał mnie do pana.

- Mentor całego naszego gremium - oświadczył Luisito, który nie liczył sobie więcej niż dwadzieścia pięć lat. - Wielki mistrz pióra, którego kunsztu świat nie docenił, i oto żalosne skutki, mistrz na ulicznym bruku szlifuje sztukę słowa na zlecenie analfabetów.

- Powiedział mi Oswaldo, że niedawno zlecił panu pracę pewien starszy człowiek, kuteruoga i w ogóle mocno sfatygowany, bo nie dość, że nie ma jednej ręki, to w drugiej brak mu niektórych palców...

- Tak, pamiętam go. Mańkutów zawsze pamiętam. Przez wzgląd na Cervantesa, wie pan.

- Jasne. A mógłbym wiedzieć, jaka to sprawa go tu przywiodła?

Luisito niemal podskoczył na swym krześle, dość zdeustowany kierunkiem, który obrała rozmowa.

- Proszę pana, to miejsce jest prawie jak konfesjonał. Zawodowa dyskrecja przede wszystkim.

- Jestem tego świadom. Ale rzecz dotyczy sprawy nader poważnej.

- Na ile poważnej?

- Na tyle poważnej, że może zagrażać bezpieczeństwu bardzo bliskich mi osób.

- Rozumiem, niemniej...

Luisito wyciągnął szyję, szukając wzroku mistrza Oswalda po drugiej stronie placyku.

Zobaczyłem, jak Oswaldo potakuje, a Luisito się uspokaja.

- Starszy pan przyniósł gotowy list, chciał tylko, żeby go przepisać na czysto ładną kaligrafią, no bo tą swoją ręką...

- A list dotyczył...

- Nie bardzo pamiętam, proszę zważyć, że codziennie piszę tu tyle listów.

- Luisito, proszę zebrać myśli. Choćby przez wzgląd na Cervantesa.

- Wydaje mi się, nawet przy zastrzeżeniu, że może mi się coś niecoś mylić z podobnym listem innego klienta, że chodziło o znaczącą kwotę pieniężną, którą starszy pan bez ręki miał otrzymać lub odzyskać, coś w tym stylu. I była też mowa o jakimś kluczu.

- O kluczu?

- Tak jest. Ale nie uściślił, czy chodziło mu o klucz do szyfru, klucz Nelsona, czy klucz do drzwi.

Luisito uśmiechnął się do mnie, najwyraźniej zadowolony z ubarwienia rozmowy leciutkim tonem humoru i zmyślności.

- I coś jeszcze pan pamięta?

Luisito zaczął się zastanawiać, oblizując wargi.

- Powiedział, że miasto bardzo się zmieniło.

- Zmieniło się? W jakim sensie?

- A czy ja wiem? Zmieniło się i już. Że nie ma trupów na ulicy.

- Trupów na ulicy? Tak powiedział?

- O ile pamięć mnie nie zawodzi...

## 7.

Podziękowałem Luisitowi za informację i przyspieszyłem kroku z nadzieją, że uda mi się dotrzeć do księgarni, zanim przybędzie tam mój ojciec i odkryje moją nieobecność.

Tabliczka z napisem „Zamknięte” wciąż wisiała. Otworzyłem drzwi, zdjąłem tabliczkę i zająłem szybko miejsce za kontuarem, niemal pewien, iż od mojego wyjścia nie pojawił się tu żaden klient.

Z braku zajęcia zacząłem się zastanawiać, co zrobić z egzemplarzem Hrabiego Monte Christo i jak poruszyć ten temat z Fermínem, kiedy ten wróci do księgarni. Nie chciałem go zbyt denerwować, ale mnie samego wizyta kuternogi i nieudana próba wyjaśnienia, co też mańkut knuje, mocno zaniepokoiła. W każdym innym przypadku po prostu zreferowałbym Fermínowi całe zajście i już, ale teraz stwierdziłem, że muszę postępować ostrożnie. Fermín od pewnego czasu był rozdrażniony i jakiś nieswój. Co i raz usiłowałem go rozbawić, ale nawet moja nieporadność w rozśmieszaniu innych nie wywoływała na jego twarzy cienia uśmiechu.

- Niech pan da już spokój z tym odkurzaniem książek, bo mówią, że niebawem modne będą nie czułościowe powieści kobiece, tylko czarne kryminały - mówiłem mu, nawiązując do określenia używanego ostatnio przez krytyków i recenzentów piszących o powieściach kryminalno-detektywistycznych, które zaczęły do nas docierać, choć skąpo i w haniebnych przekładach.

Fermín, nie mając najmniejszego zamiaru skwitować choćby miłosiernym grymasem tak grubo ciosanego żartu, łapał się czegokolwiek, by zainicjować apologię beznadziei i chandry.

- W przyszłości wszystkie powieści będą czarne, albowiem jeśli w drugiej połowie tego patologicznego stulecia w ogóle cośkolwiek przetrwa, to będzie to zapach podstępu i zbrodni traktowanych i tak jako niewinne zabawy - oznajmiał kategorycznie.

Zaczyna się, pomyślałem. Apokalipsa według Świętego Fermína Romero de Torres.

- Spokojnie, aż tak źle nie będzie. Powinien pan częściej wychodzić na słońce. W gazecie ostatnio przeczytałem, że witamina D potęguje

wiarę w bliźniego.

- W tej samej gazecie pisano również, że tomik wierszy pod cholera go wie jakim tytułem, autorstwa jednego z chrześniaków generała Franco, okrzyknięty został za granicą sensacją literacką na tamtejszych rynkach wydawniczych, podczas gdy u nas w kraju, jak pan dobrze wie, nawet dopłacając, nie są w stanie go rozpowszechnić - odparł.

Kiedy Fermín popadał w skrajny pesymizm, najlepiej było nie podrzucać mu żeru.

- A wie pan co? Czasem sobie myślę, że Darwin jednak się mylił i w rzeczywistości człowiek pochodzi od owadów, bo w ośmiu przypadkach na dziesięć człekokształtne to zwykłe mendy gotowe na wszystko za byle gówno - argumentował.

- Muszę przyznać, że wolę jednak pana jako Fermína sławiącego bardziej ludzką i radośniejszą stronę wielu zjawisk, jak parę dni temu, kiedy wygłosił pan tezę, że nikt nie jest zły z natury, tylko że po prostu się boi.

- No to chyba poziom cukru musiał mi spaść gwałtownie. W życiu nie słyszałem większego idiotyzmu.

Z takim rozrzewnieniem przeze mnie wspomniany Fermín dowcipniś w owych dniach znajdował się gdzieś w ukryciu, a w jego skórze zdawał się przebywać jakiś ponurak zafrasowany troskami i przeciwnościami losu, z którymi wolał borykać się sam. Czasem, kiedy sądził, iż nikt go nie widzi, odnosiłem wrażenie, że bojaźliwie chowa się po kątach, a niepokój trawi go od środka. Schudł jeszcze bardziej, a zważywszy, że i tak nie był postury zbyt imponującej, jego wygląd naprawdę mógł budzić niepokój. Zwróciłem mu parokrotnie uwagę, ale on zaprzeczał, jakoby dręczyła go jakakolwiek zgryzota, i wymigiwał się od odpowiedzi, sięgając po najwymyślniejsze wymówki.

- To nic poważnego, panie Danielu. Po prostu od kiedy interesuję się ligą, za każdym razem kiedy Barça przegrywa, natychmiast spada mi ciśnienie. Ale wystarczy plasterek sera manchego i znowu jestem jak tur.

- Czy aby na pewno? Przecież pan w życiu nie był na meczu piłkarskim.

- Tak się panu tylko wydaje. Kubala i ja właściwie dorastaliśmy razem.



- Ale pan wygląda jak siedem nieszczęść! Albo coś panu dolega, albo po prostu nie dba pan o siebie.

Miał mi odpowiedzieć, demonstrował mi swoje, pożał się Boże, bicepsy, nie większe od migdałów w cukrze, uśmiechając się przy tym jak domokrążca sprzedający pastę do zębów.

- Dotknij pan, dotknij. Hartowana stal jak miecz Cyda.

Ojciec przypisywał jego kiepską formę przedślubnemu zdenerwowaniu i wszystkiemu, co z tym związane, więc także brataniu się z klerem i poszukiwaniu restauracji czy mniej wykwintnego lokalu, gdzie można byłoby wyprawić wesele - ale ja czułem, że ta melancholia ma głębsze korzenie. Biłem się właśnie z myślami, czy opowiedzieć mu, co zaszło dziś rano, czy też poczekać na odpowiedniejszy moment, kiedy zobaczyłem, jak wchodzi do księgarni z miną zawodowej płaczki. Na mój widok wykrzywił się w grymasie przypominającym uśmiech i zasalutował.

- Szczęśliwe moje oczy. Już myślałem, że się pan nie pojawi.

- Przechodziłem właśnie obok zegarmistrza, kiedy don Federico zawołał mnie, niby na słówko, że co się stało, bo ktoś rano widział pana Sempere na ulicy PuertaFerrisa, zaaferowanego jakoby i dokądś, ale nie wiadomo dokąd, niemal biegnącego. Don Federico i ta głupiutka Merceditas chcieli się koniecznie dowiedzieć, czy pan Sempere ma kochankę, bo to teraz ponoć modne wśród tutejszych »

kupców, a szczytem mody jest, gdy panienka na dodatek występuje jako chórzystka w jednym z teatrzyków rewiowych.

- I co im pan powiedział?

- Że pański szanowny tata, w swym przykładowym wdowieństwie, wrócił do stanu początkowego dziewictwa, intrygując tym w stopniu najwyższym międzynarodowe gremia medyczne i zarazem otrzymując w arcybiskupstwie otwarcie w trybie ekspresowym procesu prekanonizacyjnego. Ja prywatnego życia pana Sempere nie komentuję ani z najbliższym otoczeniem, ani z obcymi mi ludźmi, bo to tylko i wyłącznie jego sprawa. A kto mi z jakimś plugastwem wyjedzie, to fangę w nos dostanie i tak się skończy.

- Rzeczywiście z pana niedzisiejszy człowiek, bo takich dżentelmenów teraz nie uświadczysz.

- Niedzisiejszy to jest pana ojciec, Danielu. Bo między nami mówiąc,

i będę wdzięczny, jeśli to między nami pozostanie, tak naprawdę wcale by mu źle nie zrobiło, gdyby od czasu do czasu poszedł

w tango. Odkąd nie zagląda do nas nawet poborca podatkowy, nie opuszcza swojej kanciapy na zapleczu, wpatrzony cały czas w tę swoją egipską księgę umarłych.

- To księga rachunkowa - sprostowałem.

- Jak zwał, tak zwał. I szczerze powiem: już od jakiegoś czasu uważam, że powinniśmy zaprosić go do El Molino, a później hulaj dusza, i choć nasz potencjalny hulaka pali się do tego jak świeca pod prysznicem, śmiem sądzić, że nieuniknione spotkanie z jędrną dziewczką z podręcznikowym krążeniem ożywiłoby co poniektóre, za przeproszeniem, a właściwie bez przepraszania, członki - powiedział Fermín.

- No proszę, proszę, i kto to mówi, słoneczko śliczne, dnia oko pięknego. Jeśli mam być szczerzy, to ja bardziej martwię się o pana - zaoponowałem. - Już od jakiegoś czasu sprawia pan wrażenie karalucha wciśniętego w paltocik.

- Nie powiem, nie powiem, panie Danielu, całkiem zgrabne porównanie mi pan zaserwował, bo choć karaluchowi daleko do żurnalowych sylwetek zgodnych z frywolnymi wymogami tego prostackiego społeczeństwa, w którym przyszło nam żyć, to zarówno owego nieszczęsnego stawonoga, jak i pańskiego uniżonego sługę cechują niezrównany instynkt samozachowawczy, jak również nieobliczalna żarłoczność i zwierzęce libido, które nie ustępuje nawet w Warunkach wysokiego promieniowania.

- Z panem, don Fermínie, nie da się polemizować.

- Bo moje usposobienie jest dialektycznej natury, co oznacza, że sam z siebie skłonny jestem natychmiast pokazać dziób pingwina, gdy tylko poczuję swąd oszustwa lub skrajnego kretynizmu, ale pański tata to jednak kwiat nad wyraz delikatny i wrażliwy i sądzę, że nadszedł czas, by wziąć sprawy w swoje ręce, zanim się wszystko zetnie na amen.

- A co to za sprawy, Fermínie? - za naszymi plecami rozległ się stanowczy głos mego ojca. - No nie wmoi mi pan, że organizujecie z Rociíto podwieczorek na moją cześć.

Odwróciliśmy się jak dwaj uczniacy przyłapani z rękami w

rozporkach. Mój ojciec, w niczym nieprzypominający delikatnego kwiatka, przyglądał nam się groźnie od progu.

8.

- A pan skąd wie o Rociíto? - mruknął pod nosem Fermín, tak zaskoczony, że prawie odebrało mu mowę.

Mój ojciec jeszcze przez chwilę delektował się tym, że przyłapał nas in flagranti, a potem uśmiechnął się przyjaźnie i puścił do nas oko.

- Może i jestem już żywą skamieliną, ale słuch mam jeszcze dobry. I, dzięki Bogu, głowa też mi nie szwankuje. Dlatego uznałem, że musimy coś zrobić, żeby nieco ożywić ten interes - oznajmił. - A El Molino może jeszcze chwilę poczekać.

Dopiero wtedy zauważyliśmy, że ojciec przytachał dwie okazałych rozmiarów torby oraz wielkie pudło owinięte papierem pakowym i obwiązane grubym sznurem.

- Wyglądasz, jakbyś obrabował właśnie jakiś bank - powiedziałem.

- Kiedy tylko mogę, staram się unikać banków, bo jak słusznie twierdzi Fermín, to one nie przepuszczą żadnej okazji, by obrabować ciebie. Byłem za to na targu Santa Lucía.

Spojrzeliliśmy na siebie z Fermínem całkiem zdezorientowani.

- Moglibyście mi pomóc. To jest cięższe od trumny z nieboszczykiem.

Zaczęliśmy rozładowywać zawartość toreb na ladę, mój ojciec tymczasem flegmatycznie rozwiązywał sznurek i rozcinał papier. W torbach znajdowały się niewielkie przedmioty, też starannie owinięte szarym papierem. Fermín, rozpakowawszy jedno z zawiniątek, z niedowierzaniem patrzył na jego zawartość.

- A cóż to jest? - zapytałem.

- Ośmielam się twierdzić, że mamy do czynienia z dorosłym okazem nader pospolitego ssaka z rodziny koniowatych, w skali jeden do stu.

- Z czym?

- Z najzwyczajniejszym osiołkiem, z poczciwym kłapouchem, udomowionym stworzeniem nieparzystokopytnym, wielkiej łagodności, które jest swojską ozdobą naszych rodzimych krajobrazów, tyle że w ręku mam jego miniaturę, coś w stylu tych elektrycznych kolejek w Casa Palau - wyjaśnił

Fermín.

- To gliniany osiołek, figurka do naszej szopki - uściślił ojciec.
- Jakiej znowu szopki?

Mój ojciec, miast odpowiedzieć, otworzył kartonowe pudło i wyciągnął z niego okazały żłóbek, a potem lampki, które, jak się domyśliłem, nabył przed chwilą po to, by stały się bożonarodzeniową ozdobą wystawy naszej księgarni. Fermín tymczasem zdążył już rozpakować kilka wołów, wielbłądów, świnek i kaczek, trzech Mędrców ze Wschodu, dwie czy trzy palmy, świętego Józefa i Matkę Boską.

- Nie wydaje mi się, by najlepszym sposobem na wyjście z naszych kłopotów było potulne uleganie podstępny technikom indoktrynacji tłamszącego nas nacjonal-katolicyzmu, hołdowanie tym wszystkim lukrowanym tradycjom i rozstawianie żłobeczków z kwilącymi dziecinkami - zawyrokował

Fermín.

- Niech pan już tak nie pomstuje, panie Fermínie, to piękna tradycja, a ludzie przepadają za bożonarodzeniowymi szopkami - uciał ojciec. - A nasza księgarnia aż się prosi o jakąś iskierkę radości i koloru, w okresie przedświątecznym po prostu obowiązkowych. Przyjrzałem się wszystkim okolicznym sklepom i wyglądamy przy nich niczym, nie przymierzając, zakład pogrzebowy. Niech mi pan pomoże, postawimy to na wystawie. I niech pan zdejmie ze stołu te tomiszczą komentarzy do prawa rzymskiego, bo odstraszą nawet najzagorzalszych miłośników historii prawa.

- Nareszcie - burknął Fermín.

We trzech zdołaliśmy podnieść szopkę i ustawić na stole, a potem po kolei poustawialiśmy wokół

figurki. Fermín pomagał opieszale i niechętnie, cały czas marszcząc czoło i korzystając z każdej sposobności, by dać wyraz swojej absolutnej dezaprobie.

- Panie Sempere, nie chciałbym być niegrzeczny, ale to Dzieciątko Jezus jest trzy razy większe niż jego przybrany ojciec i ledwo mieści się w żłóbku.

- Nic nie szkodzi. Mniejsze im się skończyły.

- Mam wrażenie, że przy Matce Boskiej wygląda jak jeden z tych japońskich zapaśników, którzy mają problem z nadwagą i nie starczyło im materiału na portki.

- Zawodników sumo? - podsunąłem.

- Otóż to - przytaknął Fermín.

Mój ojciec westchnął, pomrukując coś pod nosem.

- I niech pan jeszcze spojrzy na te oczy. Ten Jezusek chyba jest opętany.

- Panie Fermínie, niech pan przestanie już wygadywać głupoty i włączy te światełka - zadysponował ojciec, podając mu kabel.

Fermín ze zwinnością akrobaty wślizgnął się pod stół, na którym stał żółbek, i z wysiłkiem dosięgnął do kontaktu.

- I stała się światłość - obwieścił ojciec, z entuzjazmem przyglądając się nowej rozświetlonej szopce księgarni Sempere i Synowie. - Albo dostosujesz się do nowych czasów, albo wypadasz z gry - dodał

usatysfakcjonowany.

- Wypadam z gry - burknął Fermín.

Nie minęła nawet minuta tej oficjalnej iluminacji, a przed wystawą naszej księgarni przystanęła kobieta, pokazując trojgu dzieciom szopkę. Po chwili wahania zebrała się na odwagę i weszła z nimi do środka.

- Dzień dobry - powiedziała. - Czy dostanę żywoty świętych w wersji dla dzieci?

- Oczywiście - odparł ojciec. - Pokażę pani serię „Jezus Malusieńki”, która na pewno spodoba się każdemu młodemu czytelnikowi. Przebogato ilustrowane opowiadania, z przedmową samego Josego Maríi Pemana, ukochanego pisarza naszego Generalissimusa.

- Cudownie. Dziś bardzo trudno o książki z pozytywnym przesłaniem, takie, które można sobie z przyjemnością poczytać, teraz ludzie kupują same pogmatwane historie pełne zbrodni i okrucieństwa.

Od takich lektur człowiekowi aż ciarki po plecach przechodzą, nie sądzi pan?

Fermín prychnął z pogardą. Widząc, że otwiera usta i już szykuje jakąś ripostę, pociągnąłem go za rękaw, by nie przepłoszył ojcu zwabionej z takim trudem klienteli.

- Święta prawda, święta prawda - przytaknął mój ojciec, dając mi do zrozumienia wzrokiem, bym spacyfikował Fermína i, jeśli okaże się to konieczne, związał go i zakneblował. Za nic w świecie nie chciał przepuścić tej okazji.

Odprowadziłem Fermína na zaplecze i starannie zasunąłem kotarę, by ojciec mógł spokojnie dokończyć swoją transakcję.

- Nie wiem, co pana dziś ugryzło, Fermínie. Rozumiem, że nie ma pan przekonania do szopek, i szanuję to, ale skoro okazuje się, że Dzieciątko Jezus rozmiarów walca drogowego i cztery gliniane bydlęta poprawiają mojemu ojcu humor, a na dodatek przysparzają naszej księgarni klientów, to proszę, żeby odłożył pan na bok egzystencjalistyczne tyrady i zrobił najbardziej entuzjastyczną minę, na jaką pana stać, przynajmniej w godzinach pracy.

Fermín westchnął i zawstydzony przyznał mi rację.

- Nie o to chodzi, panie Danielu - powiedział. - Niech mi pan wybacz. Żeby uszczęśliwić pańskiego ojca i ocalić księgarnię, gotów jestem nawet wybrać się na pielgrzymkę do Santiago w stroju toreadora.

- Wystarczy, jeśli powie mu pan, że podoba się panu szopka, i przestanie robić sarkastyczne uwagi.

Fermín pokiwał głową.

- Oczywiście, oczywiście. Poproszę pana Sempere o wybaczenie za moje grubiaństwo i w akcie skruchy zakupię do szopki nową figurkę, żeby pokazać pańskiemu ojcu, iż jeśli o bożonarodzeniową atmosferę idzie, nie prześcigną mnie nawet wielkie domy towarowe. Mam jednego znajomego z opozycji, który robi caganers, te ukochane przez Katalończyków figurki srających pastuszków, obdarzając je twarzami naszej Pierwszej Damy, wielce szanownej doñi Carmen Polo de Franco, a wykańcza je z takim realizmem, że palce lizać.

- Myślę, że figurka baranka albo jakiegokolwiek innego bydlątka starczy aż nadto.

- Jak pan uważa, panie Danielu. Teraz, za pańskim pozwoleniem, zabiorę się za coś pożytecznego.

Przejrzę książki, które sprezentowała nam wdowa Recasens. Stoją tu w pudłach już od tygodnia i obrastają kurzem.

- Pomóc panu?

- Bardzo dziękuję, dam sobie radę.

Patrzyłem za nim, jak idzie do magazynu w głębi zaplecza i wkłada niebieski fartuch, zarezerwowany do brudnej roboty.

- Panie Fermínie - zacząłem.

Odwrócił się do mnie i spojrzał pytająco. Wahaniem się przez chwilę.

- Dziś wydarzyło się coś, o czym chciałbym panu opowiedzieć.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie bardzo wiem, jak zacząć. Dziś rano zajrzał tu ktoś, by o pana zapytać.

- Ślicznotka? - rzucił Fermín, ale żartobliwym tonem nie zdołał zamaskować czającego się w oczach niepokoju.

- Mało śliczny mężczyzna. Mocno zmaltretowany życiem i co tu dużo mówić, niezbyt przyjemny osobnik.

- Przedstawił się?

- Nie. Ale kazał panu to przekazać.

Fermín zmarszczył czoło. Wręczyłem mu książkę, którą nieznajomy kupił kilka godzin wcześniej.

Wziął ją ode mnie i spojrzał na okładkę, nic nie rozumiejąc.

- Przecież to nasz Dumas za trzydzieści pięć peset, którego trzymamy w witrynie.

Pokiwałem głową.

- Niech pan otworzy na pierwszej stronie.

Fermín usłuchał. Kiedy przeczytał dedykację, zrobił się blady jak kreda, a ręce zaczęły mu drżeć.

Stał przez chwilę z zamkniętymi oczyma, a później spojrzał na mnie w milczeniu.

Wyglądał, jakby w jednej chwili przybyło mu pięć lat.

- Kiedy ten typ wyszedł, nie mogłem się powstrzymać i poszedłem za nim - powiedziałem. - Od tygodnia mieszka w podłym hoteliku wynajmującym pokoje na godziny przy ulicy Hospital, naprzeciw zajazdu Europa, i z tego, co zdołałem ustalić, używa fałszywego nazwiska. Pańskiego nazwiska zresztą: Fermín Romero de Torres. Od jednego z pisarzy spod Pałacu Wicekrólowej dowiedziałem się, że zlecił przepisanie listu, w którym była mowa o ogromnej kwocie. Czy coś to wszystko panu mówi?

Fermín kurczył się w sobie, jakby każde padające słowo waliło go



obuchem w głowę.

- Panie Danielu, niech pan nie śledzi więcej tego człowieka i niech się pan z nim już nigdy nie wdaje w rozmowę. To bardzo ważne. W ogóle proszę nic nie robić. Niech pan się trzyma od tego jak najdalej. To bardzo niebezpieczny typ.

- Ale kto to jest?

Fermín zamknął książkę i schował ją za stojącymi na półce pudłami. Zerkając przez szparę w kotarze, by upewnić się, że mój ojciec wciąż zajęty jest obsługiwaniem klientki, przysunął się do mnie i szepnął: - Błagam pana, proszę o tym słowem nie wspominać ojcu. I nikomu.

- Ale panie Fermínie...

- Niech mi pan przyrzeknie. Przez wzgląd na naszą przyjaźń.

- Ale...

- Bardzo proszę, Danielu. Nie teraz. Proszę mi zaufać.

Niechętnie ustąpiłem i pokazałem mu stupeśetowy banknot wręczony mi przez nieznanego. Nie musiałem wyjaśniać, skąd go mam.

- Te pieniądze są przeklęte, panie Danielu. Proszę je oddać siostrze zakonnej na cele dobroczynne albo pierwszemu lepszemu żebrakowi. A najlepiej niech je pan spali.

Nic więcej nie mówiąc, zdjął fartuch, by wbić się w swoje przetarte palto, a na swoją głowę jak łebek od zapałki włożył beret, który wyglądał niczym zdezelowana patelnia naszkicowana przez mistrza Salvadora Dalí.

- Wychodzi pan?

- Proszę powiedzieć ojcu, że wypadło mi coś niecierpiącego zwłoki. Zrobi pan to dla mnie?

- Oczywiście, ale...

- Teraz nic więcej nie mogę powiedzieć.

Złapał się za brzuch, jakby go gwałtownie żołądek rozboleł, a wolną ręką zaczął dziwnie gestykulować, jakby chciał pomóc wydostać się słowom, które nie chciały mu przejść przez gardło.

- Gdyby mi pan wszystko opowiedział, może potrafiłbym jakoś pomóc...

Fermín jakby zastanawiał się przez chwilę, wahał, ale w końcu pokręcił głową i wyszedł do przedsionka. Odprowadziłem go do drzwi i

patrzyłem za nim, jak odchodzi w mżawce, człeczyna dźwigający ciężar świata na swoich barkach. Nad Barceloną zapadała noc czarniejsza niż zwykle.

## 9.

Zostało naukowo udowodnione, że każde paromiesięczne niemowlę bezbłędnie i instynktownie wyczuwa ów moment nad ranem, kiedy jego rodzicom wreszcie udaje się zapaść w długo oczekiwany i upragniony sen, by w tej właśnie sekundzie ryknąć z całych sił, kradnąc im tym samym co najmniej pół godziny ciągłego wypoczynku.

Mały Julián, jak nieomal co dzień, obudził się około trzeciej nad ranem i bez chwili wahania na całe gardło oznajmił to całemu światu. Otworzyłem oczy i odwróciłem się. Leżąca obok mnie Bea, jaśniejąca w półmroku, drgnęła tym powolnym wychodzeniem ze snu, które pozwalało przyjrzeć się zarysowi jej ciała pod kołdrą, i mruknęła coś niezrozumiałego. Chciałem pocałować ją w szyję i uwolnić od pancerza długachnej, prezentowanej, nie bez złośliwej premedytacji, jak mniemam, przez mojego teścia z okazji urodzin, koszuli nocnej, której nie udawało mi się w kolejnym praniu skutecznie zgubić. Powstrzymałem się jednak przed oboma naturalnymi odruchami.

- Poleż sobie, ja wstanę - szepnąłem i pocałowałem ją w policzek.

Bea w odpowiedzi odwróciła się plecami i przykryła głowę poduszką. Zwlekałem ze wstawaniem, pragnąc nacieszyć oczy płynną linią tych pleców spływającą kusząco coraz niżej i niżej, czego nie mogłyby skryć nawet wszystkie nocne koszule świata. Od dwóch niemal lat byłem mężem tej cudownej istoty, ale ciągle czułem się radośnie zdziwiony, budząc się co rano u jej boku. Już ścigałem kołdrę, już kładłem dłoń na aksamitnym tyłeczku, kiedy niespodziewanie Bea wbiła mi paznokcie w zbyt śmiałą rękę.

- Danielu, nie teraz. Mały płacze.

- Wiedziałem, że nie śpisz.

- Nie da się spać w tym domu, w otoczeniu mężczyzn, którzy albo ciągle płaczą, albo macają zadek biednej i stale niewyspanej kobiety. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałem dłużej niż dwie godziny.

- Twoja strata.

Wstałem i przeszedłem na drugi koniec korytarza do pokoju Juliána. Krótco po ślubie zamieszkaliśmy na mansardzie kamienicy, w której mieściła się księgarnia. Don Anacleto, profesor licealny, który zajmował

to mieszkanie przez dwadzieścia pięć lat, postanowił przejść na emeryturę i wrócić do rodzinnej Segowi, by poświęcić się pisaniu pikantnych poematów w cieniu akweduktu i badaniom terenowym zgłębiającym tajniki pieczonego prosiaka.

Mały Julián przywitał mnie donośnym wrzaskiem. Bojąc się, że popękają mi bębenki, jak najszybciej wziąłem go na ręce i zbliżywszy nos do pieluch, stwierdziłem, że tym razem nie doszło do katastrofy, a następnie zrobiłem to, co każdy początkujący tata zrobiłby na moim miejscu - zacząłem mu szeptać jakieś głupstewka i tańczyć w komicznych podskokach po pokoju. Wywijałem owe dziwne hołubce, kiedy spostrzegłem Beę, jak stojąc w progu, obserwuje mnie z daleko idącą dezaprobatą.

- Daj mi małego, bo jeszcze bardziej go rozbudzisz.

- Ale on nie protestuje - próbowałem się bronić, oddając jej dziecko.

Bea wzięła Juliána i kołysząc go łagodnie, śpiewała mu coś do ucha. Po kilku sekundach Julián przestał płakać i uśmiechnął się tym rozanielonym uśmiechem, którym rozpromieniał się tylko w jej ramionach.

- Idź już - szepnęła mi Bea. - Zaraz przyjdę.

Wyeksmitowany z pokoju, przełknąwszy gorycz porażki, po raz kolejny bowiem udowodniono mi całkowitą nieumiejętność obchodzenia się z raczkującymi istotami, wróciłem do sypialni i wyciągnąłem się na łóżku, wiedząc, że i tak nie zmrużę oka do samego rana. Kilka chwil później w drzwiach ukazała się Bea. Położyła się obok mnie i westchnęła.

- Padam ze zmęczenia.

Objąłem ją. Leżeliśmy w milczeniu przez kilka minut.

- Wiesz, ostatnio dużo myślałam - odezwała się Bea.

Natychmiast zapaliło mi się czerwone światełko: Danielu, miej się na baczności. Bea usiadła po turecku naprzeciwko mnie.

- Kiedy Julián trochę podrośnie, a moja matka będzie mogła wziąć go do siebie na kilka godzin, mogłabym pójść do pracy.

Pokiwałem głową.

- A gdzie?

- Do księgarni.

Przezorność kazała mi milczeć.

- Sądzę, że przydałaby się wam pomoc - dodała. - Po pierwsze, twojemu ojcu coraz trudniej przychodzi spędzać tam tyle czasu. Po drugie, nie obraż się, ale ja mam smykałkę do klientów w odróżnieniu od ciebie i Fermína, który ostatnio raczej ich odstrasza.

- Tu akurat przyznam ci rację.

- Co się z nim dzieje? Spotkałam niedawno na ulicy Bernardę, a ta nagle rozplakała mi się.

Zaprosiłam ją do jednego z tych lokali na Petritxol i gdy najadła się już drożdżówek, wyznała mi, że Fermín ostatnio jest jakiś dziwny. Powiedziała, że odmawia wypełnienia w kancelarii parafialnej dokumentów niezbędnych do ślubu. Coś mi mówi, że będzie chciał się wywinąć od ożenku.

Rozmawiał z tobą o tym?

- Coś jest na rzeczy - skłamałem. - A może Bernarda za bardzo go ciśnie...

Bea spojrzała na mnie wymownie.

- Że w tym miesiącu jej się spóźnia...

- Co, Fermín późno do domu wraca?

Bea spojrzała na mnie jak na idiotę i dopiero wtedy mnie olśniło.

- Bernarda jest w ciąży?

- Ciszej, bo Juliána obudzisz.

- Jest w ciąży czy nie? - powtórzyłem najciszej, jak mogłem.

- Najprawdopodobniej.

- A Fermín wie o tym?

- Nie chce mu jeszcze mówić. Boi się, że w ostatniej chwili jej zwieje.

- Fermín nigdy by tak nie postąpił.

- Każdy z mężczyzn by to zrobił, gdyby tylko mógł.

Zaskoczyła mnie gorycz w jej głosie, chociaż szybko, jak gdyby nigdy nic, osłodziła ją łagodnym uśmiechem.

- Kiepsko nas jednak znasz.

Zamiast mi odpowiedzieć, wstała, szybkim ruchem zdjęła koszulę nocną i upuściła ją na podłogę.

Pozwoliła, bym chwilę jej się przypatrzył, a później powoli pochyliła się nade mną i pocałowała mnie leciutko w usta.

- Kiepsko was znam? - szepnęła.

## 10.

Chwył reklamowy z oświetloną szopką w witrynie księgarni już następnego dnia potwierdził swoją skuteczność i po raz pierwszy od wielu tygodni ujrzałem uśmiech na twarzy ojca, kiedy zapisywał w księdze rachunkowej dokonane dziś transakcje. Od chwili otwarcia zaczęli zjawiać się zarówno starzy klienci, ostatnio nas omijający, jak i nowi, którzy nagle skusili się, by do nas zajrzeć. Pozwoliłem ojcu, by ich wszystkich obsłużył. Wykazywał się przy tym całym swym doświadczeniem: z przyjemnością patrzyłem, jak entuzjastycznie poleca im tytuły, zaciekawia ich, próbuje odgadnąć ich gusta i zainteresowania. Wszystko wskazywało na to, że będzie to bardzo dobry dzień, pierwszy dobry dzień od wielu tygodni.

- Danielu, trzeba będzie wyłożyć kolekcję ilustrowanej klasyki dziecięcej. Tę wydawnictwa Vértice, z niebieskimi grzbietami.

- Tak, tak, wiem, o którą ci chodzi. Chyba jest w piwnicy. Masz klucze?

- Bea wzięła je ode mnie wczoraj, żeby znieść tam jakieś rzeczy dziecka. Nie przypominam sobie, żeby mi je oddawała. Zobacz w szufladzie.

- Nie ma. Pójdę sprawdzić na górze.

Zostawiłem ojca rozmawiającego z mężczyzną, który wszedł przed chwilą i spytał o książkę dotyczącą historii barcelońskich kawiarni, i przez zaplecze wyszedłem na schody.

Nasze mieszkanie było wysokie i bardzo jasne, ale żeby do niego dotrzeć i się z niego wydostać, trzeba było codziennie pokonać liczbę schodów, która wzmacniała hart ducha i mięśnie nóg. Na schodach minąłem się z wdową Edelmirą, sąsiadką z trzeciego piętra, kiedyś tancerką, teraz zarabiającą na życie malowaniem świętych obrazów. Zbyt wiele lat spędzonych na deskach teatru Arnau zrujnowało jej kolana i teraz, żeby zejść kilka stopni, musiała trzymać się kurczowo poręczy, ale nie przeszkadzało jej to ciągle się uśmiechać i mieć dla wszystkich jakieś sympatyczne słowo.

- Jak się miewa twoja piękna żona, Danielu?

- Nie tak piękna jak pani, pani Edelmiro. Pomóc pani zejść?

Edelmira jak zwykle odmówiła i kazała pozdrowić Fermína, który ilekroć ją spotkał, nieodmiennie prawił komplementy i ponawiał niemoralne propozycje.

Kiedy wszedłem do mieszkania, wewnątrz unosił się jeszcze zapach perfum Bei i owa dziwna mieszanka woni wydzielanych przez małe dzieci i wszystkie niezbędne przy nich przybory. Bea zwykle wstawiała wcześnie i wychodziła na spacer z Juliánem w tym wspaniałym podarowanym przez Fermína wózeczku Jané, który zwaliśmy mercedesem.

- Bea? - zawołałem.

Echo mojego głosu rozległo się w całym mieszkaniu, zanim jeszcze zdążyłem zamknąć za sobą drzwi. Bea już wyszła. Poszedłem do jadalni, usiłując wejść w skórę swojej żony i w jej myśli, by wydedukować, gdzie mogła schować klucze do piwnicy. Bea była bardziej uporządkowana i metodyczna ode mnie. Zacząłem od sprawdzenia szufladek w kredensie, gdzie zwykła chować rachunki, listy czekające na odpowiedź i drobne monety. A potem zajrzałem do mniejszych szufladek, wazonów, na półki.

Następnym etapem była kuchnia i szafka, na której szklanych drzwiczkach Bea przyczepiała karteczki ze sprawunkami i przypomnieniami. Szczęście mi nie sprzyjało. Dotarłem do sypialni.

Stałem przed łóżkiem i zacząłem rozglądać się wokół, starając się myśleć jak najlogiczniej. Bea zajmowała trzy czwarte szafy, komody, szuflad i szufladek w sypialni. Swoją ekspansywność uzasadniała tym, że ja zawsze ubieram się tak samo, więc kącik w szafie powinien mi wystarczyć.

Przemyślność porządku w jej szafach przerastała moje zdolności poznawcze. Zaglądając w miejsca zarezerwowane wyłącznie dla mojej żony, czułem pewne wyrzuty sumienia, niemniej klucza jak nie było, tak nie było.

Odtwórzmy fakty, pomyślałem. Jak przez mgłę pamiętałem, że Bea mówiła coś o zniesieniu jakiegoś pudła z letnimi ubraniami. To było parę dni temu. O ile pamięć mnie nie myliła, Bea miała tego dnia na sobie szare palto, które podarowałem jej w pierwszą rocznicę ślubu. Uśmiechnąłem się zadowolony z własnych umiejętności dedukcji i otworzyłem szafę, by sprawdzić, czy pośród innych ubrań wisi tam

również owo szare palto. I wisiało. Jeśli klucze mego ojca będą spoczywały w jednej z kieszeni tego palta, to znaczy, że w swoim czasie dobrze odrobiłem lekcje jako pilny czytelnik Conan Doyle'a i jego następców. Zanurzyłem dłoń w prawej kieszeni i natrafiłem na dwie monety i kilka cukierków mentolowych, z tych, które rozdawano w aptekach. Sięgnąłem do drugiej kieszeni i z satysfakcją znalazłem potwierdzenie swojej hipotezy. Moje palce musnęły pęk kluczy.

I coś jeszcze.

W kieszeni znajdowała się także kartka. Wyciągnąłem klucze i, nie bez wahania, postanowiłem wyjąć również ją. Pewnie była to jedna z tych spisywanych sobie przez Beę list ze sprawunkami.

Ale to była koperta. Adresowana do Beatriz Aguilar, a data stempla pocztowego wskazywała, że list nadano przed tygodniem. Wysłany został na adres rodziców Bei, z a nie na nasz, przy ulicy Santa Ana. Odwróciłem kopertę i przeczytałem nazwisko nadawcy.

Klucze do piwnicy wypadły mi z ręki: Pablo Cascos Buendía Siadłem na łóżku i gapilem się w kopertę całkowicie zbity z tropu. Pablo Cascos Buendía był

narzeczoną Bei wtedy, kiedy między nami zaczęło iskrzyć. Syn zamożnej rodziny, właścicieli rozmaitych zakładów przemysłowych, między innymi stoczni w El Ferrol, rodzinnym miasteczku naszego Generalissimusa - a więc facet nie z mojej bajki i vice versa, odbywał wówczas służbę wojskową w stopniu chorążego. Od czasu kiedy Bea zerwała z nim listownie, nie miałem pojęcia, co się z nim dzieje. Do dziś.

Co robił w kieszeni jej palta list nadany kilka zaledwie dni temu przez byłego narzeczonego?

Koperta była otwarta, ale co najmniej przez minutę skrupuły nie pozwalały mi wyciągnąć listu ze środka. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy szpieguję własną żonę; już chowałem kartkę do koperty i zamierzałem jak najszybciej wrócić do księgarni. Moja przyzwoitość trwała tylko kilka sekund.

Jakiegokolwiek poczucie wstydu czy wyrzuty sumienia zniknęły, zanim dotarłem do końca pierwszego akapitu.

Kochana Beatriz!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku i że jesteś



szczęśliwa na swej nowej drodze życia w Barcelonie. Przez ostatni okres nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na listy, które Ci wysyłałem, więc zastanawiam się czasem, czy zrobiłem coś nie tak i nie chcesz o mnie słyszeć. Rozumiem, że jesteś już kobietą zamężną i że masz dziecko, i że być może nie powinienem pisać do Ciebie, ale muszę Ci wyznać, iż z upływem czasu nie potrafię Cię zapomnieć, aczkolwiek próbowałem to zrobić, i wcale się nie krępuję przyznać, że nadal jestem w Tobie zakochany.

W moim życiu też zaszły poważne zmiany. Rok temu zacząłem pracować jako dyrektor handlowy liczącego się domu wydawniczego. Wiem, jak szczególną rolę odgrywają w Twoim życiu książki, więc praca pośród nich powoduje, że czuję, jakbym był bliżej Ciebie. Pracuję w madryckim biurze firmy, choć z racji stanowiska często podróżuję po całej Hiszpani .

Ciągle o Tobie myślę, o życiu, które moglibyśmy dzielić, o dzieciach, które moglibyśmy mieć... Nie ma dnia, żebym nie zadawał sobie pytania, czy Twój mąż potrafi uczynić Cię szczęśliwą i czy nie wyszłaś za niego z powodu presji okoliczności. Nie mogę uwierzyć, że tak skromne życie, bo tylko takie może Ci przecież zapewnić Twój mąż, jest na miarę Twoich oczekiwań. Zbyt dobrze Cię znam.

Byliśmy kolegami i przyjaciółmi i nie było między nami żadnych sekretów. Pamiętasz nasze wspólne popołudnia na plaży San Pol? Pamiętasz plany, jakie wspólne snuliśmy, nasze wspólne marzenia, przysięgi, które sobie składaliśmy? Z nikim nie czułem się tak wspaniale jak z Tobą. Od czasu zerwania naszego narzeczeństwa chodziłem z jakimiś dziewczynami, ale już wiem, że żadna nie może się z Tobą równać. Za każdym razem, kiedy całuję inne usta, myślę o Twoich ustach, i za każdym razem, kiedy pieszczę inną skórę, czuję Twoją skórę.

Za miesiąc mam zaplanowany wyjazd do Barcelony, by odwiedzić biura naszego wydawnictwa i przeprowadzić szereg rozmów z pracownikami na temat czekającej nas restrukturyzacji firmy. Rzecz jasna, mógłbym to wszystko załatwić korespondencyjnie albo przez telefon. Ale prawdziwy powód mojej podróży kryje się w pragnieniu ujrzenia Ciebie. Wiem, pomyślisz, że zwariowałem, ale wolę, żebyś istotnie tak myślała, niż sądziła, że całkiem Cię zapomniałem.

Przyjeżdżam 20 stycznia i zatrzymam się w hotelu Ritz na Gran Vía. Bardzo Cię proszę o spotkanie, choćby na chwilę, abym mógł powiedzieć Ci osobiście, co żywię w sercu. Zarezerwowałem stolik w hotelowej restauracji na 21

stycznia na drugą po południu. Będę tam na Ciebie czekał. Jeśli przyjdiesz, uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, nie wspominając już o tym, iż dowiem się w ten sposób, że moje marzenia o odzyskaniu Twojej miłości mogą się ziścić.

Kochający cię nieodmiennie Pablo Przez jakiś czas siedziałem nieruchomo na brzegu łóżka, które zaledwie kilka godzin temu dzieliłem z Beą. Wsunąłem list z powrotem do koperty, a wstając, poczułem się tak, jakby przed chwilą ktoś walnął mnie z całej siły w żołądek. Pobiegłem do łazienki i zwymiotowałem do umywalki kawę wypitą rano. Odkręciłem zimną wodę i zmoczyłem twarz. Z lustra patrzyła na mnie twarz tego szesnastoletniego Daniela, któremu drżały dłonie, gdy po raz pierwszy pieścił Beatriz.

## 11.

Kiedy zszedłem do księgarni, mój ojciec obrzucił mnie pytającym spojrzeniem i wymownie zerknął na zegarek. Pewnie zastanawiał się, gdzie się podziewałem przez ostatnie pół godziny, ale darował sobie jakikolwiek komentarz.

Unikając jego wzroku, podałem mu klucz do piwnicy.

- Przecież wysłałem cię po książki - powiedział.

- Ach, jasne, przepraszam, już lecę.

Ojciec przyjrzał mi się uważnie.

- Wszystko w porządku, Danielu?

Przytaknąłem, udając zdziwienie jego pytaniem. By nie dać mu czasu na drażnienie tematu, ruszyłem do piwnicy po pudła z książkami, o które mnie prosił. Zejście do piwnicy znajdowało się w głębi sieni.

Usytuowane pod schodami metalowe drzwi, zamknięte na kłódkę, prowadziły ku zagłębiającej się w ciemność spirali stopni. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny i specyficzna woń przywodząca na myśl rozkopaną ziemię i zwiędłe kwiaty. Podwieszony był jak u sufitu żarówka migocące bladym światłem upodabniały pomieszczenie do schronu przeciwlotniczego. Zszedłszy na sam dół, zacząłem po omacku szukać włącznika.

Żółtawa żarówka rozblęła nad moją głową, wydobywając z ciemności wszelkiego rodzaju rekwizyty upchnięte naprędce w rupieciarni, której chciano wmówić, że jest magazynem z prawdziwego zdarzenia. Szkielety bezpieczeństwa rowerów, obrazy zasnutę pajęczynami i kartonowe pudła stłoczone na drewnianych półkach nadwerężonych przez wilgoć tworzyły scenerię skutecznie zniechęcającą do dłuższego pobytu. Dopiero teraz, na widok tego odstręczającego rozgardiaszu, ogarnęło mnie zdumienie, że Bea odważyła się tu zejść z własnej woli, zamiast poprosić mnie o przysługę.

Rozejrzałem się po tym labiryncie gratów i starzyzny, zastanawiając się, jakie jeszcze sekrety skrywa tam moja żona.

Zdawszy sobie nagle sprawę, w jak niebezpiecznym kierunku

podążają moje myśli, westchnąłem.

Słowa tamtego listu sączyły mi się w serce niczym trucizna. Solennie sobie przyrzekłem, że nie zacznę myszkować pomiędzy rupieciami w poszukiwaniu pęku perfumowanych liścików od tego skurwiela. I pewnie złamałbym od razu swoje postanowienie, gdybym nie usłyszał kroków na schodach. Uniosłem wzrok i zobaczyłem Fermína rozglądającego się wokół z pełną obrzydzenia miną.

- Ujujujuj, jedzie tu trupem, a może nawet dwoma. Chyba teraz pan nie zaprzeczy, że w jednym z tych pudeł pogrzebano matulę naszej Merceditas, z mumifikowaną w zwojach wzorów szydełkowych i wykrojów krawieckich?

- Skoro już pan tu dotarł, to niech mi pan pomoże wnieść pudła z książkami, o które prosił mój ojciec.

Fermín zakasał rękawy, by przyjść mi z pomocą. Pokazałem mu parę pudeł ze znakiem firmowym wydawnictwa Vértice. Każdy z nas wziął po jednym.

- Wygląda pan jeszcze gorzej ode mnie, panie Danielu. Coś panu dolega?

- Nie, skądże. To pewnie te piwniczne wyziwy.

Fermín nie dał się zwieść mojej zdawkowej i silącej się na dowcip odpowiedzi.

Postawiłem pudło na podłodze i usiadłem na nim.

- Mogę pana o coś zapytać?

Fermín postawił swoje pudło i również zrobił sobie z niego taboret. Patrzyłem na niego, gotów wyznać mu, co mi doskwiera, ale całkiem niezdolny wykrztusić pierwsze słowa.

- Mażeńskie niesnaski? - zapytał.

Zaczerwieniłem się. Nie podejrzewałem, że mój przyjaciel tak dobrze mnie zna.

- Mniej więcej.

- Czyżby pani Bea, błogosławiona między niewiastami, nie wykazywała większej ochoty do alkowianych potyczek, czy może na odwrót, wykazuje aż nadto, a pan ledwo wypełnia ustawowe minimum? Musi pan wiedzieć, że kobiety, wydawszy na świat dziecię, zaczynają zachowywać się tak, jakby im w krew wstrzyknięto hormonalną bombę atomową. Jakim cudem nie wariują całkiem w dwadzieścia sekund po

porodzie, oto jedna z wielkich zagadek przyrodniczych. A wiem to wszystko, bo położnictwo, po białym wierszu, jest jedną z moich wielkich pasji.

- Nie, nie, nie o to chodzi. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Fermín przyjrzał mi się zdziwiony.

- Musi mi pan przyrzec, że to, co pan ode mnie usłyszysz, zostanie między nami.

Fermín uroczyście się przeżegnał.

- Przed chwilą, zupełnie przypadkowo, znalazłem list w kieszeni palta Bei.

Zawiesiłem głos, ale ta pauza nie zrobiła na Fermínie żadnego wrażenia.

- List? I co?

- List od jej byłego narzeczonego.

- Naszego kadecika? Ale przecież on miał wyjechać do Ferrol i tam rozpocząć oszałamiającą karierę pod skrzydełkami swojego tatusia?

- Też tak myślałem. Ale okazuje się, że w wolnych chwilach pisze listy miłosne do mojej żony.

Fermín skoczył na równe nogi.

- A żeby go pokreśliło, skurwiela jednego - wycedził rozjuszony.

Wyciągnąłem list z kieszeni i po chwili wahania podałem mu go. Fermín najpierw go obwąchał.

- To ja tak capię czy ten bałwan pisze listy na perfumowanym papierze? - zapytał.

- Nie zauważyłem - skłamałem - ale wcale bym się nie dziwił.

Wygłąda na takiego. Ale to nic przy tym, co pisze. Niech pan czyta...

Fermín przeczytał list, mamrocząc coś pod nosem i kręcąc głową.

- Nie dość, że nędznik i łotr, to jeszcze skończony grafoman. Za samo to „całując inne usta”

powinien spędzić w ciupie caluteńką noc.

Schowałem list i wbiłem wzrok w podłogę.

- No, chyba nie podejrzewa pan swojej żony? - z niedowierzaniem zapytał Fermín.

- Ależ skądże.

- Łże pan.

Wstałem i zacząłem kręcić się po piwnicy.

- A co by pan zrobił, gdyby znalazł pan taki list w kieszeni Bernardy?

Fermín głęboko się zastanowił.

- Przede wszystkim zaufałbym matce mojego dziecka.

- Zaufać? Ot tak, po prostu?

Fermín przytaknął.

- Proszę się nie obrażać, Danielu, ale dotknął pana klasyczny problem mężczyzn żeniących się z kobietami prima sort. Pani Bea, która dla mnie jest i zawsze będzie świętą niewiastą, to, jak w ludowym porzekadle, kobieta, którą nie tylko by się schrupało, ale i talerz po niej jeszcze wylizało. Co oznacza zarazem, że lowelasi, frustraci, niewydarzeni podrywacze i wszelkiego rodzaju nadskakujące koguciki idą za nią sznurem. I wszystko im jedno, czy mężata, czy dzieciata, czy bezdietna, bo wbitego w garniturek goryla, 'którego na wyrost zwiemy homo sapiens, gównu to obchodzi. Pan pewnie tego nie widzi, ale ja bym się założył o swoje ostatnie gacie, że wokół pańskiej świętej żony krąży więcej natrętów niż much przy otwartym słoiku miodu na odpuście Matki Boskiej Zielnej. Ten okaz kretyna to zwyczajny ścierwojad, który po prostu macha na oślep wędką, myśląc, że a nuż coś złowi. Niech pan mi zaufa, to kobieta, która wie, gdzie ma głowę i halkę, i typów tego autoramentu wyczuje na kilometr.

- Jest pan tego pewien?

- Niech pan jej nie obraża. Naprawdę sądzi pan, że gdyby doña Beatriz chciała skutecznicić skok w bok, to czekałaby, aż jakiś obleśny zalotnik weźmie ją na lep odgrzewanych boler? Dałbym sobie rękę uciąć, że za każdym razem, jak wyprowadza synka i swą wdzięczną kibić na spacer, jak grzyby po deszczu pojawiają się absztyfikanci. Wiem, o czym mówię, niech mi pan wierzy.

- Prawdę mówiąc, jak tak pana słucham, to nie wiem, czym się mam tu pocieszać.

- Panie Danielu, przede wszystkim musi pan odnieść list na miejsce, wsadzić go do kieszeni rzeczonoego palta i zapomnieć o całej sprawie. I proszę nic na ten temat nie wspominać żonie.

- Tak by pan zrobił na moim miejscu?

- Na pana miejscu to ja bym poszukał tego wykwintnisia i zaordynował mu takiego kopa w przyrodzenie, że razem z jajami w

pięty by mu poszła cała sztuka epistolarna i zamiast pisaniem perfumowanych liścików zajęłby się odmawianiem modłów w oparach kadzidła. Ale ja to ja. A pan to pan.

Poczułem, jak niepokój trawi mnie niczym płomienie suchą trawę.

- Mam wrażenie, że nie bardzo mi pan pomógł.

Fermín wzruszył ramionami i podniósłszy pudło, zniknął na schodach.

Resztę dnia wypełniły nam codzienne księgarskie obowiązki. Przez kilka godzin wałkowałem w myślach temat listu, by wreszcie dojść do wniosku, że Fermín ma całkowitą rację. Aczkolwiek nie byłem zbyt pewny tego, czy ma rację w kwestii zaufania i zasłony milczenia, czy też w tym drugim, że powinienem odszukać tę szuję i przefasonować mu facjatę. Spojrzawszy na kalendarz przy kasie, upewniłem się, że jest dwudziesty grudnia. Miałem cały miesiąc na podjęcie ostatecznej decyzji.

Tego dnia ruch w księgarni był ożywiony. Klienci robili skromne, bo skromne, ale jednak zakupy.

Przy każdej nadarzającej się sposobności Fermín wygłaszał kolejny pean na cześć mojego ojca i jakże trafionego pomysłu wystawienia szopki z dorodnym Dzieciątkiem Jezus o rozmiarach baskijskiego osiłka.

- Panie Sempere, jest pan mistrzem reklamy i sprzedaży, więc nic tu po mnie. W niesławie odchodzę na zaplecze uporządkować nieco przesławną kolekcję przekazaną nam przez wdowę.

Wykorzystałem odwrot Fermína, by szybko ruszyć za nim. Znalazłszy się na zapleczu, zasunąłem kotarę. Fermín spojrzał na mnie wyraźnie zaniepokojony. Uśmiechnąłem się przymilnie.

- Może panu pomogę?

- Jak pan uważa.

Przez jakiś czas wyciągaliśmy książki z pudeł i układaliśmy w stosy według gatunku, stanu i formatu. Mój przyjaciel milczał jak zakłęty i unikał mojego wzroku.

- Panie Fermínie...

- Mówiłem już panu, że jeśli chodzi o ten list, to nie ma się czym przejmować. Pańska żona nie jest kokotą i jeśli któregoś dnia zechce pana zostawić, a mam nadzieję, że ów dzień nigdy nie nadejdzie, powie

to panu prosto w oczy, nie uciekając się do sztuczek rodem z powieści radiowych.

- Wysłuchałem, zrozumiałem. Ale nie o to chodzi.

Fermín popatrzył na mnie jak zbity pies, domyślając się, co się święci.

- Pomyślałem, że dzisiaj moglibyśmy po pracy pójść razem na kolację - zacząłem. - Żeby pogadać o różnych naszych sprawach. I o wizycie tego dziwnego gościa. I o tym, co pana gnębi, bo coś mi się widzi, że jedno i drugie ma jakiś związek.

Fermín odłożył na stół książkę, którą czyścił. Popatrzył na mnie zrezygnowany i westchnął.

- Panie Danielu, siedzę po uszy w gównie - wymamrotał w końcu. - I nie wiem, jak mam z niego wyjść.

Położyłem mu dłoń na ramieniu. Pomyślałem, że fartuch kryje skórę i kości.

- Niech pan pozwoli sobie pomóc. Strach dzielony z kimś ma nie takie wielkie oczy.

Patrzył na mnie zdruzgotany.

- Przecież z gorszych tarapatów razem wychodziliśmy - dodałem.

Uśmiechnął się smutno, niezbyt przekonany do słuszności moich słów.

- Dobry z pana przyjaciel, panie Danielu.

Nawet do pięt nie dorastam temu, na jakiego rzeczywiście pan zasługuje, pomyślałem.



## 12.

W owym okresie Fermín wciąż mieszkał na stacji przy ulicy Joaquina Costy, a ja z pewnych źródeł

wiedziałem, że jego współlokatorzy, zachowując daleko idącą dyskrecję i ściśle współpracując z Rocifto i z jej siostrami w cechu, szykują mu wieczór kawalerski, jakiego jeszcze świat nie widział.

Fermín czekał już na mnie przy bramie, kiedy tuż po dziewiątej zaszedłem po niego.

- Szczerze mówiąc, nie jestem zbyt głodny - powiedział mi na dzień dobry.

- To szkoda, bo pomyślałem, że moglibyśmy pójść do Can Lluís - wyznałem. - Dziś wieczorem serwują ciecierzycę i cap i pota.

- No cóż, może jednakowoż nie należy podejmować ostatecznej decyzji zbyt pochopnie - zmiękł

Fermín. - Rozkosze podniebienia są jak rozkwitające młódki: kiep ten, kto nie zważa na ich uroki.

Przyjmując ową kolejną perłę ze skarbnicy złotych myśli znamienitego don Fermína Romero de Torres za nasze dzisiejsze hasło przewodnie, ruszyliśmy spacerkiem w stronę jednej z najbardziej cenionych przez mego przyjaciela restauracji, tak w całej Barcelonie, jak i w znacznej części świata znanej mu osobiście. Can Lluís mieścił się pod numerem 49 przy ulicy Cera, w samym sercu dzielnicy Raval. W skromnych, na pierwszy rzut oka, pomieszczeniach, emanujących nieco tandetno-kabaretową atmosferą przesiąkniętą tajemnicami starej Barcelony, Can Lluís serwował wyborne dania, obsługa była bez zarzutu, a ceny tak przystępne, że nawet Fermín i ja mogliśmy sobie na nie pozwolić. W noce powszednie zwykli uczęszczać tam członkowie kongregacji ówczesnej cyganeri barcelońskiej: ludzie teatru, literaci i inne istoty reprezentujące wszelkie odcienie życia przyzwoitego i nieprzyzwoitego i bratające się tam przy niejednym kieliszku.

W środku zastaliśmy spożywającego przy barze kolację i przeglądającego gazetę częstego gościa naszej księgarni, profesora Alburquerque, uczonego męża, profesora wydziału literatury, wykwintnego krytyka i znamienitego publicystę, dla którego restauracja

była drugim domem.

- Czyżbyśmy popadli w niełaskę, panie profesorze? - zagadnąłem, przechodząc obok niego. - A może jednak raczyłby pan zajrzeć do nas i przejrzeć nasze zasoby, bo nie tylko samym czytaniem nekrologów w „La Vanguardi” żyje człowiek.

- O niczym innym nie marzę. To przez te prace semestralne i roczne. Samo utrapienie. Od czytania andronów pisanych przez te studiujące obecnie dzieciaki zaczynam chyba cierpieć na dysleksję.

W tym momencie jeden z kelnerów podał mu deser: flan jak się patrzy, trzęsący się lekko, zroszony łzami karmelizowanego cukru i roztaczający woń delikatnej wanili.

- Przejdzie to magnificencji po kilku łyżeczkach tego arcydzieła - powiedział Fermín - przecz to, skutkiem tego karmelowego falowania, wypisz, wymaluj, biust naszej wielkiej Margarity Xirgu.

Uczony profesor przyjrzał się swemu deserowi pod kątem powyższego stwierdzenia i zahipnotyzowany przytaknął. Opuściliśmy akademika delektującego się leguminowymi urokami diwy naszych scen i usiedliśmy w ustronnym miejscu przy narożnym stoliku w głębi sali restauracyjnej. Po krótkiej chwili podano nam sutą kolację, którą Fermín sprzątnął z żarłocznością przemysłowego odkurzacza.

- Strach pomyśleć, co by było, gdyby apetyt panu jednak dopisywał.

- To mięśnie domagają się kalori - tłumaczył się Fermín, skrupulatnie polerując talerz ostatnią kromką chleba z koszyka, choć ja odniosłem wrażenie, że to nie głód mu doskwierał, lecz raczej zżerały go nerwy.

Obsługujący nas kelner, Pere, podszedł, by sprawdzić, na jakim jesteśmy etapie, i widząc spustoszenie dokonane przez Fermína, podał mu kartę deserów.

- Uwieńczymy dzieło drobnym deserkiem, mistrzu?

- Skoro pytasz, nie oprę się waszemu dubeltowemu flanowi z tych, co to dostał pan profesor, a gdyby na dodatek każdy z nich przystrojony był czerwoniutką wisienką, nic więcej nie byłoby mi potrzeba - odparł Fermín.

Pere przyjął zamówienie, po czym opowiedział nam, że właściciel lokalu, usłyszawszy, jak Fermín nobilitował konsystencję jego

domowego wyrobu i obdarzał go metaforyczną glossą, postanowił swoje flany przemianować na margarity.

- A mnie wystarczy mała kawa z kropelką mleka - powiedziałem.

- Szef kazał poinformować panów, że na desery i kawę zaprasza firma - oznajmił Pere.

Unieśliśmy kieliszki wina w kierunku właściciela, który stał za kontuarem i rozmawiał z profesorem Alburquerque.

- Przyzwoity gość - szepnął Fermín. - Czasem człowiek zapomina, że na tym świecie nie wszyscy są nędznikami.

Zaskoczył mnie ów gorzki i kategoriyczny ton jego głosu.

- Skąd u pana ten pesymizm?

Przyjaciel wzruszył ramionami. Niebawem na stole stanęły dwa uwodzicielsko tańczące flany, zwieńczone dwiema błyszczącymi wisienkami.

- Pragnę panu przypomnieć, że za parę tygodni pan się żeni, co oznacza, że kończą się panu wszelkie margarity - starałem się żartować.

- Usiąść i płakać - odparł Fermín. - Przecież ja tylko tak gadam. Ja już nie jestem taki jak dawniej.

- Nikt z nas nie jest taki jak dawniej.

Fermín z rozkoszą przełknął pierwszy kęs flanu.

- Nie pamiętam gdzie, ale czytałem, że w gruncie rzeczy nigdy nie byliśmy tacy, jakich siebie pamiętamy, że wspominamy tylko to, co nigdy się nie wydarzyło... - powiedział.

- To początek jednej z powieści Juliána Caraxa - odparłem.

- W rzeczy samej. Gdzie też może się podziewać nasz przyjaciel Carax? Nigdy się pan nad tym nie zastanawia?

- Myślę o tym codziennie.

Fermín uśmiechnął się na wspomnienie naszych dawnych przygód. Z pytającym wyrazem twarzy dotknął palcem mojej piersi.

- Czuje pan to jeszcze?

Rozpiąłem dwa guziki koszuli i pokazałem bliznę po kuli inspektora Fumero, która przeszła mi pierś owego odległego dnia w opuszczonej wil i Mglisty Anioł, dawnej rezydencji Aldayów.

- Czasami.

- Blizny zawsze bołą, prawda?

- Raz bołą, raz nie bołą, tak mi się przynajmniej wydaje. Fermínie, niech mi pan popatrzy w oczy.

Nasz spojrzenia wreszcie się spotkały.

- Czy powie mi pan w końcu, co się dzieje?

Zawahał się przez chwilę.

- Wie pan, że Bernarda jest w odmiennym stanie? - zapytał.

- Nie - skłamałem. - To tym się pan tak przejmuje?

Fermín pokręcił głową, kończąc drugi flan i wyjadając łyżeczką resztki karmelu.

- Bernarda jeszcze mi się nie przyznała, bidula, bo bardzo się tym zamartwia. Ale ze mnie uczyni najszczęśliwszego człowieka na świecie.

Baczenie mu się przyjrzałem.

- Jeśli mam być szczery, to w tej właśnie chwili, tak jak tu siedzimy obok siebie, na specjalnie szczęśliwego pan nie wygląda. Czy to przez ten ślub? Boi się pan stanąć przed ołtarzem?

- Nie, Danielu, wręcz przeciwnie. Nawet tego chcę, i to bardzo, do tego stopnia, że już jest mi obojętne, że tym razem nie uda mi się wywinąć przed kontaktem z klechami. Gdybym mógł, to brałbym ślub z Bernardą codziennie.

- No to w czym problem?

- Pamiętaj pan, o co pytają najpierw, kiedy chce się pan żenić?

- O imię i nazwisko - odpowiedziałem bez namysłu.

Fermín powoli przytaknął. Nijak mi to wcześniej do głowy nie przyszło. W jednej chwili zrozumiałem, z jakim kłopotem boryka się mój przyjaciel.

- Czy pamięta pan, co panu kiedyś opowiadałem, Danielu?

Pamiętałem to doskonale. Podczas wojny domowej, za sprawą niecných machinacji inspektora Fumero, który zanim wstąpił w szeregi faszystów, pracował jako płatny morderca dla komunistów, mój przyjaciel trafił do więzienia, gdzie nieomal stracił rozum i życie. Kiedy wreszcie wyszedł, cudem ocalały, postanowił zmienić tożsamość i wymazać swoją przeszłość. Na skraju wyczerpania zapożyczył sobie imię i nazwisko, które ujrzał na starym plakacie anonsującym corridę na barcelońskiej arenie Monumental. W ten oto sposób narodził się Fermín Romero de Torres, człowiek, który codziennie od nowa wymyślał historię swojego życia.

- I dlatego nie chciał pan wypełnić formularzy w parafi -  
stwierdziłem. - Bo nie może pan używać swojego imienia i nazwiska.

Fermín kolejny raz pokiwał głową.

- Jestem przekonany, że uda się jakoś załatwić panu nowe dokumenty. Pamięta pan porucznika Palaciosą, który odszedł z policji? Teraz jest nauczycielem wychowania fizycznego w jednej ze szkół w dzielnicy Bonanova. Zagląda czasem do księgarni i kiedyś, od słowa do słowa, opowiedział mi, że istnieje cały podziemny przemysł produkujący nowe dowody osobiste dla ludzi wracających do kraju po wieloletniej nieobecności i że on sam osobiście zna człowieka, który ma zakład w pobliżu portu i swoje kontakty w policji, i że za sto peset może każdemu załatwić nowy dowód tożsamości i rejestrację w ministerstwie.

- Wiem. Nazywał się Heredia. Prawdziwy artysta.

- Jak to się nazywał?

- Kilka miesięcy temu znaleziono jego ciało unoszące się na portowych wodach.

Rzekomo wypadł z łodzi spacerowej. Tyle tylko, że miał ręce związane z tyłu. Takie faszystowskie poczucie humoru.

- Znał go pan?

- Poznałem go w swoim czasie.

- To znaczy, że ma pan dokumenty na nazwisko Fermína Romero de Torres...

- Heredia mi je załatwił w trzydziestym dziewiątym, pod koniec wojny. Wtedy łatwiej się to zdobywało. Panował totalny chaos, a kiedy ludzie zdali sobie sprawę, że statek tonie, za kilka groszy gotowi byli sprzedać ci nawet herb rodowy.

- Dlaczego wobec tego nie może pan używać swojego nazwiska?

- Bo Fermín Romero de Torres zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. To były złe czasy, Danielu. O wiele gorsze od obecnych. Nawet roku nie przeżył, biedaczek.

- Zmarł? Gdzie? Kiedy?

- W więzieniu na zamku Montjuic. W celi numer trzynaście.

Przypomniałem sobie dedykację, którą nieznajomy kuternoga wpisał Fermínowi na stronie tytułowej Hrabiego Monte Christo.

Dla Fermína Romero de Torres, który powrócił spośród umarłych i

jest w posiadaniu klucza do przyszłości.

13

- Wtedy opowiedziałem panu tylko część tej historii .

- Myślałem, że mi pan ufa.

- Ja panu zawierzyłbym swoje życie z zamkniętymi oczyma. Nie o to chodzi. Tylko dlatego opowiedziałem panu część historii , żeby pana chronić.

- Chronić? Mnie? Przed czym?

Fermín spuścił wzrok, przygnębiony.

- Przed prawdą, Danielu, przed prawdą...

**Część druga. - Spośród umarłych.**

1.

### **Barcelona, 1939**

Nowych więźniów przywożono w nocy, w samochodach osobowych lub czarnych furgonetkach przejeżdżających przez miasto z komisariatu na Vía Layetana. Przemykały cicho i niepostrzeżenie, jakby niewidzialne. A może po prostu nikt nie chciał ich widzieć. Pojazdy służby bezpieczeństwa kierowały się starą drogą wspinającą się po zboczu Montjuic i niejednen z pasażerów opowiadał

później, iż na widok sylwetki zamku odcinającej się wysoko na tle czarnych, pełzających znad morza chmur nabierał przekonania, że stamtąd na pewno nie wyjdzie żywy.

Twierdza osadzona była na samym szczycie skalistej góry, zawieszona pomiędzy morzem na wschodzie, kobiercem cieni rozsnuwanym przez Barcelonę na północy i bezkresnym miastem zmarłych na południu - cmentarzem Montjuic, którego fetor wspinał się po skałach i przenikał poprzez kamienne szczeliny i kraty do pomieszczeń więziennych. Zamek, niegdyś wojskowa forteca, z której nieraz ostrzelano miasto, zmienił się, zaledwie kilka miesięcy po upadku Barcelony i ostatecznej klęsce Republiki w kwietniu, w złowrogie gniazdo śmierci, a barcelończycy, przeżywający najdłuższą noc w swej historii, woleli nie unosić wzroku ku niebu, by nie widzieć sylwetki więzienia górującego nad miastem.

Więźniom policji politycznej nadawano w momencie przywiezienia do zamku numer, będący zazwyczaj numerem celi, w której mieli przebywać i, najprawdopodobniej, umrzeć. Dla większości lokatorów, jak lubił zwracać się do nich jeden z więziennych strażników, podróż do zamku była podróżą bez powrotu. W noc, kiedy przywieziono do Montjuic lokatora numer 13, lało jak z cebra.

Kamienne mury pokryły się maleńkimi strużkami poczerńiałej jak krew wody. W powietrzu unosił się zapach rozkopanej ziemi. Dwóch funkcjonariuszy poprowadziło więźnia do pokoju, w którym znajdowały się jedynie metalowy stół i krzesła. Pod sufitem wisiała goła żarówka, przycgasająca za każdym razem, gdy spadało napięcie. Stał tam nieomal pół godziny, w ubraniu ociekającym wodą, pod dozorem

uzbrojonego w karabin strażnika więziennego.

W końcu rozległy się kroki, drzwi się otworzyły i wszedł młody, na oko niespełna trzydziestoletni mężczyzna. Ubrany był w starannie wyprasowany wełniany garnitur i pachniał wodą kolońską. Nie wyglądał na zawodowego żołnierza ani oficera policji. Rysy jego twarzy były delikatne, a ruchy całkiem cywilne. Wygląd i zachowanie mężczyzny przywiodły więźniowi na myśl bogatego paniczyka. Aż biła od niego pełna wyższości pobłażliwość właściwa tym, co mają w pogardzie zajmowane stanowisko, podobnie jak całe otoczenie, w którym przyszło im przebywać. W jego twarzy najbardziej zwracały uwagę oczy. Błękitne, przeszywające i chciwe, pełne podejrzliwości. Patrząc w nie, można było się domyślić, jaki jest prawdziwy charakter tego człowieka, tak skrzętnie skrywany za fasadą wymuskanej elegancji i ogłady.

Okrągłe szkła okularów czyniły te oczy jeszcze większymi, a gładko zaczesane do tyłu, świecące od brylantyny włosy przydawały mu wyglądu nieco zmanierowanego i zupełnie nieprzystającego do ponurych więziennych dekoracji. Mężczyzna wyjął spod pachy teczkę i rozłożywszy na stole papiery, usiadł na krześle. Przejrzawszy pobieżnie zawartość, złożył dłonie pod brodą i obrzucił więźnia przeciągłym spojrzeniem.

- Proszę mi wybaczyć, ale chyba zaszła jakaś pomyłka...

Cios lufą w żołądek zaparł więźniowi dech w piersiach. Jak długi runął na podłogę i zwinął się w kłębek.

- Mów tylko wtedy, kiedy pan naczelnik cię zapyta! - krzyknął strażnik.

- Wstawać! - rozkazał naczelnik niezbyt pewnym głosem, nienawykłym jeszcze do wydawania rozkazów.

Więzień z trudem zdołał się podnieść i napotkał zde gustowany wzrok pana naczelnika.

- Nazwisko?

- Fermín Romero de Torres.

Więzień popatrzył chwilę w owe niebieskie oczy, ale znalazł w nich tylko lekceważenie i obojętność.

- A cóż to za nazwisko? Masz mnie za idiotę? Teraz pytam poważnie. Jak się nazywasz?



Więzień, cherlawy człowieczek, wyciągnął dokumenty w kierunku naczelnika.

Strażnik wyrwał mu je z rąk i podał przełożonemu. Naczelnik rzucił na nie okiem, niezadowolony cmoknął i pokręcił głową.

- Następny klient Heredi - mruknął, wrzucając dokumenty do śmietnika. - Te papiery są sfałszowane. Albo powiesz mi, jak się nazywasz, albo ta miła pogawędka skończy się całkiem niemiło.

Lokator numer 13 spróbował coś wykrztusić, ale usta mu drżały i wydobył się z nich tylko jakiś niezrozumiały bełkot.

- Nie bój się, człowieku, nikogo tu nie zjadamy. Jakich głupot ci naopowiadali? W tym kraju żyje jeszcze zbyt wielu zasranych komunistów, którzy nic tylko rzucają na nas oszczerstwa i niecne kalumnie. Wszystkich, którzy z nami współpracują, traktujemy dobrze. Jak Hiszpanów. Zdejmuj ubranie!

Lokator zawahał się przez chwilę. Pan naczelnik spuścił wzrok, jakby brzydził się całą tą procedurą i jedynie upór więźnia zmuszał go do jej kontynuowania. Strażnik wymierzył więźniowi drugi cios, tym razem w nerki, który znów powalił go na podłogę.

- Słyszałeś pana naczelnika! Rozbieraj się! Nie będziemy się z tobą bawić przez całą noc!

Lokator numer 13 zdołał z trudem uklęknąć i zaczął zdejmować brudne, zakrwawione ubrania.

Kiedy był już zupełnie nagi, strażnik wsunął mu lufę karabinu pod ramię, zmuszając go, by wstał. Pan naczelnik uniósł wzrok znad biurka, a na jego twarzy odmalował się wyraz obrzydzenia na widok oparzeń pokrywających tors, pośladki i uda wątlęgo mężczyzny.

- Coś mi się widzi, że nasz czempion jest starym znajomym Fumero  
- powiedział strażnik.

- O nic cię nie pytałem - warknął pan naczelnik głosem, w którym wciąż brakowało dobitności.

Spojrzał zniecierpliwiony na więźnia i odkrył, że tamten płacze.

- Przestań płakać, daj spokój. Powiedz lepiej, jak się nazywasz.

Więzień jeszcze raz wyszeptał swoje imię.

- Fermín Romero de Torres...

Pan naczelnik westchnął, zirytowany.

- Słuchaj, moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Chcę ci pomóc, ale

chyba będę zmuszony powiedzieć Fumerowi, że tu jesteś...

Więzień zaczął jęczeć jak zraniony pies i drżeć tak okrutnie, że pan naczelnik, którego najwyraźniej cała scena napawała niezmiernym niesmakiem i chciał zakończyć tę sprawę jak najszybciej, wymienił

spojrzenia ze strażnikiem, a potem, nie odzywając się do nikogo ani słowem, zanotował w rejestrze nazwisko, które podał mu więzień, i zaklął pod nosem.

- Pieprzona wojna - syknął, kiedy strażnicy odprowadzali nagiego więźnia do celi, wlokąc przez pełne kałuż korytarze.

## 2.

Cela była ciemnym i wilgotnym prostopadłościanem z małym wydrążonym w skale otworem, przez który wpadało zimne powietrze. Poprzedni lokatorzy pokryli ściany przeróżnego rodzaju znakami, wyłobieniami i rysunkami. Niektórzy wypisywali swoje imiona, daty, zostawiali jakikolwiek ślad po sobie na dowód, że istnieli. Któryś z nich pracowicie wydrapał w ciemnościach krzyże, ale niebo chyba nie było łaskawe tego dostrzec. Kraty były porzewiałe i zostawiały na dłoniach brunatnobrązowe smugi.

Fermín skulił się na pryczy, usiłując przykryć swoją nagość kawałkiem poszarpanej szmaty, która, jak uznał, miała pełnić rolę i koca, i materaca, i poduszki. Półmrok połyskiwał miedzianymi tonami niczym oddech dogasającej świecy. Po jakimś czasie oczy przyzwyczajały się do ciągłego mroku, a ucho zaczynało wyłapywać odgłosy nieznacznych ruchów ciał, słyszalne zza litani zwielokrotnianego przez echo plusku spadających kropeł, którą sączyło przeciskające się z zewnątrz powietrze.

Ułynęło może pół godziny, kiedy Fermín zdał sobie nagłe sprawę, że chyba dostrzega zarys leżącego przy drugiej ścianie tłumoka. Wstał, podszedł ostrożnie i stwierdził, że to worek z brudnego brezentu. Ziab i wilgoć przejmowały go do kości i choć fetor wydobywający się z pokrytego ciemnymi plamami wora był odstręczający, Fermín pomyślał, że może znajdzie w nim więzienny chałat, którego nikt nie pofatygował się mu wcześniej dać, a jak szczęście dopisze, to może i koc do okrycia. Ukląkł

przy worze i rozsuptał zasznurowaną górę.

Gdy rozsunał brezent, drżący odbłask migocących na korytarzu lamp naftowych padł na twarz, którą Fermín w pierwszym odruchu wziął za twarz manekina krawieckiego czy też manekina wystawianego w witrynach. Odór i opanowujące go mdłości wyprowadziły go natychmiast z błędu.

Jedną ręką zakrył sobie nos i usta, drugą zaś otworzył wór do końca i natychmiast wycofał się rakiem w przeciwległy kąt celi.

Trudno było stwierdzić, ile lat mógł mieć zmarły, nie mniej niż

czterdzieści i nie więcej niż sześćdziesiąt pięć, ważył pewnie najwyżej z pięćdziesiąt kilo. Na ramiona opadały długie włosy, a długa biała broda zakrywała niemal cały zapadnięty tors. Kościste dłonie, zakończone długimi, poskręcanyimi paznokciami, wyglądały jak ptasie szpony. Trup miał otwarte oczy, a rogówki zdawały się pomarszczone jak przejrzałe owoce. Usta miał rozchylone, a spuchnięty i czarniawy język utknął między spróchniałymi zębami.

- Zanim go zabiorą, niech pan zedrze z niego ubranie - dobiegł go głos z celi położonej po drugiej stronie korytarza. - Do następnego miesiąca nic pan nie dostanie do włożenia na siebie.

Fermín wyteżył wzrok i zaczął wpatrywać się w cienie korytarza, by po chwili dostrzec błyszczące oczy przypatrujące mu się z pryczy przeciwległej celi.

- Spokojnie, nie ma co się bać, biedak już nikomu nic zrobić nie może - zapewnił głos.

Fermín pokiwał głową i zbliżył się ponownie do worka, gorączkowo zastanawiając się, jak ma przeprowadzić całą operację.

- Bardzo pana przepraszam - szepnął do zmarłego. - Niech pan spoczywa w spokoju i Bóg niech ma pana w opiece.

- Był ateistą - poinformował go głos z celi naprzeciwko.

Fermín przytaknął i dał sobie spokój z ceremoniałem. Zięb panujący w pomieszczeniu ścisnął

wnętrznosci, dając poniekąd do zrozumienia, że o dobrych manierach należy zapomnieć jak najszybciej. Więzień wstrzymał oddech i zabrał się do roboty. Ubranie cuchnęło równie okrutnie jak zmarły. Stężenie pośmiertne zaczęło już opanowywać całe ciało, więc ściągnięcie z trupa ubrania okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczał. Pozbawiwszy nieboszczyka śmiertelnego całunu, Fermín przystąpił do owinięcia ciała z powrotem w worek i zawiązania go węzłem, któremu nie dałby rady nawet sam Harry Houdini. Wreszcie, przystrojony w postrzępiony i cuchnący przyodziewek, Fermín ponownie skulił się na swojej pryczy, zastanawiając się, ile osób przed nim miało już na sobie to więzienne ubranie.

- Dziękuję - powiedział w końcu.

- Nie ma za co - odparł głos po drugiej stronie korytarza.

- Fermín Romero de Torres, do usług.

- David Martín.

Fermín zmarszczył brew. Nazwisko nie było mu obce. Przez kilka minut buszował w swoich wspomnieniach i przeróżnych skojarzeniach, kiedy nagle go olśniło: przypomniał sobie wieczory spędzane w kącie biblioteki del Carmen, gdzie zapominając o bożym świecie, pożerał książkę za książką, poszczególne tomy seri o krzykliwych okładkach i tytułach.

- Martin, ten pisarz? Ten od „Miasta Przeklętych”?

Westchnienie w półmroku.

- Co za kraj! Nawet pseudonimów nie potrafią uszanować.

- Proszę mi wybaczyć niedyskrecję. Moje uwielbienie dla pańskich książek było nabożne wręcz, stąd też moja wiedza, że to pańska ręka prowadziła pióro Ignatiusa B. Samsona...

- Do usług.

- Wielki to dla mnie honor, że mogę osobiście pana poznać, nawet jeśli zaszczyt ten spotyka mnie w warunkach urągających wszelkiej przyzwoitości, bo musi pan wiedzieć, że jestem wielkim pana wielbicielem i...

- A może by tak troszkę ciszej, skowroneczki wy moje, bo tu są ludzie, którzy chętnie by się zdrzemnęli - ryknął czyjś nieprzyjemny głos, który chyba dochodził z sąsiedniej celi.

- Proszę, proszę, nasze sto pociech się odezwało - przerwał mu głos z dalszej części korytarza. -

Panie Martin, proszę nie zwracać na niego uwagi, przecież tu wystarczy, że człowiek zaśnie, a pluskwy go żywcem zeżrą, zaczynając od przyrodzenia na przystawkę. Martin, a może nam pan coś opowie ciekawego? Którąś z historii o Chloe...

- Jasne, żebyś mógł się wybrandzlować jak małpa - nie dał za wygraną opryskliwy głos.

- Drogi przyjacielu Fermínie - oznajmił ze swej celi Martin. - Mam przyjemność przedstawić panu numer dwanaście, który wszystkim wszystko ma za złe, bez wyjątku, i numer piętnaście, ofiarę chronicznej bezsenności. Jest to człowiek uczony i oficjalny ideolog naszego bloku. Reszta mówi niewiele, zwłaszcza numer czternaście.

- Mówię, kiedy mam coś do powiedzenia - wtrącił się ponury i lodowaty głos, przypuszczalnie, zdaniem Fermína, należący do numeru

14. - I gdyby inni zachowywali się tak samo, przynajmniej w nocy mielibyśmy spokój.

Fermín uznał, iż powinien grzecznie przywitać się z tak szczególnym gronem.

- Dobry wieczór wszystkim panom. Nazywam się Fermín Romero de Torres, bardzo miło mi panów poznać.

- Komu miło, temu miło - odparł numer 12.

- Witam i mam nadzieję, że nie zabawi pan tu zbyt długo - powiedział numer 14.

Fermín spojrział na wór okrywający zwłoki i przełknął ślinę.

- To był Lucio, poprzedni numer trzynaście - wyjaśnił Martin. - Nic o nim nie wiemy, bo biedak był

niemową. W bitwie nad Ebro kula rozwaliła mu krtań.

- Szkoda, że tylko jemu - wtrącił numer 12.

- A na co umarł? - spytał Fermín.

- Tutaj umiera się od samego przebywania - odparł numer 12. - To w zupełności wystarcza.

### 3.

Rutyna pomagała. Raz dziennie wyprowadzano więźniów z dwóch pierwszych bloków na dziedziniec przy fosie, żeby przez godzinę zażyli słońca lub deszczu, lub czegokolwiek, co przyniósł

im kaprys pogody. Na strawę składała się nieduża miska zimnej, tłustej i szarawej brei o nieokreślonym charakterze i zjełczalym smaku, do której po paru dniach głodu i coraz częstszych skurczów żołądka człowiek w końcu się przyzwyczajał. Wydawano ją wczesnym popołudniem i każdy z więźniów po jakimś czasie zaczynał nawet czekać z utęsknieniem na porę posiłku.

Raz na miesiąc więźniowie oddawali swoją brudną odzież, by w zamian otrzymać ubrania, które rzekomo zostały na minutę zanurzone w kotle wrzącej wody, choć pluskwy najwyraźniej nie przyjmowały tego do wiadomości. W niedziele odprawiano msze, na których obecność była zalecana, choć nieobowiązkowa. Nikt nie miał jednak odwagi ich opuszczać, ksiądz bowiem sprawdzał listę i zaznaczał nieobecnych. Dwie nieobecności oznaczały tydzień ścisłego postu, trzy - miesięczne wakacje w jednym ze znajdujących się w wieży karcerów.

Bloki, dziedziniec i wszystkie miejsca, w których przebywali więźniowie, były pilnie strzeżone.

Więzienie znajdowało się pod dozorem specjalnych oddziałów uzbrojonych w karabiny i pistolety.

Kiedy internowani przebywali poza celami, gdziekolwiek się spojrzano, widać było wieloosobowe patrole żołnierzy, bacznie wszystko obserwujących, z bronią gotową do strzału. Oprócz nich więźniów pilnowali strażnicy więzienni. Sprawiali mniej groźne wrażenie i żaden nie wyglądał na zawodowego wojskowego. Wśród więźniów panowało powszechne przekonanie, że są to nieszczęśnicy, którzy w owych dniach skrajnej nędzy nie mogli znaleźć lepszej pracy.

Każdy blok miał przydzielonego strażnika, który, uzbrojony w pęk kluczy, spędzał swoją dwunastogodzinną zmianę, siedząc na krześle w końcu korytarza. Wielu z nich, żeby nie powiedzieć większość, unikało jakiegokolwiek spoufalania się z więźniami, do tego stopnia, iż nawet nie nawiązywali kontaktu wzrokowego, a rozmowy z osadzonymi

ograniczali do absolutnego minimum.

Wyjątek zdawał się stanowić człeczyna o przezwisku Bebo, który stracił oko podczas bombardowania, gdy pracował jako stróż nocny w fabryce w Pueblo Seco.

Plotka głosiła, że, Bebo ma brata bliźniaka, który siedzi w więzieniu w Walencji. Być może z tego względu traktował więźniów mniej więcej po ludzku i dyskretnie częstował ich wodą, suchym chlebem albo czymkolwiek, co udało mu się wyrwać spośród padających łupem żołnierzy paczek przysyłanych więźniom przez rodziny. Bebo lubił stawiać swoje krzesło jak najbliżej celi Davida Martina i słuchać historii, które pisarz opowiadał czasem współwięźniom. W tym specyficznym piekle Bebo mógłby uchodzić nieomalże za anioła.

Zazwyczaj po niedzielnej mszy pan naczelnik wygłaszał do więźniów budujące przemówienie. O

naczelniku wiedziano tylko tyle, że nazywa się Mauricio Val s i że przed wojną próbował swoich sił

jako skromny literat, pracując zarazem jako sekretarz i totumfacki dość znanego barcelońskiego autora, odwiecznego adwersarza nieszczęsnego don Pedra Vidala. W wolnych chwilach nieudolnie tłumaczył greckich i rzymskich klasyków, wraz z kilkoma bratnimi duszami wydawał niskonakładowe piśmko o wielkich ambicjach kulturalnych i organizował salonowe wieczorki literackie, podczas których równie znamienite jak on postaci życia kulturalnego uważały się nad obecnym stanem rzeczy, wieszcząc, że w dniu, kiedy zaczną sprawować rząd dusz, świat wzniesie się na wyżyny Olimpu.

Wydawało się, że Val s skazany jest na tę szarą i pełną goryczy egzystencję przeciętniaków, których Bóg, w swym nieskończonym okrucieństwie, obdarzył manią wielkości i pychą tytanów.

Niemniej jednak wojna odmieniła pisany mu los, tak jak i los wielu innych. Jego życie potoczyło się całkiem inaczej, trochę zrzędzeniem przypadku, trochę dzięki wyrachowanym konkutom, kiedy Mauricio Val s, do tej pory zakochany w swoim cudownym talencie i wysublimowanym smaku, wstąpił

w związek małżeński z córką możnego przemysłowca, którego rozliczne interesy pokrywały sporą część wydatków generała Franco i jego wojsk.



Panną młodą była kobieta osiem lat starsza od Mauricio, od trzynastego roku życia unieruchomiona na wózku inwalidzkim z powodu dziedzicznej choroby, za sprawą której zanikały jej mięśnie i ubywało życia. Żaden mężczyzna nigdy nie spojrzał jej w oczy ani nie wziął jej za rękę, by powiedzieć, że jest piękna, lub zapytać, jak ma na imię. Mauricio, w głębi duszy tyleż praktyczny, co próżny (jak każdy literat pozbawiony talentu), był pierwszym i zarazem ostatnim mężczyzną, który to uczynił, i rok później para wzięła ślub w Sewilii. Gościem specjalnym podczas ceremonii był generał Queipo de Liano ze świtą wysokich dygnitarzy partyjnych.

- Bez wątplenia zrobi pan karierę, Val s - przepowiedział panu młodemu sam Serrano Súñer podczas prywatnej audiencji w Madrycie, o którą Mauricio poprosił w nadziei, że uda mu się wyłagać posadę dyrektora Biblioteki Narodowej. - Hiszpania przeżywa teraz trudne chwile, a każdy pochodzący z przyzwoitej rodziny Hiszpan powinien włączyć się do wspólnego dzieła i pomóc nam powstrzymać marksistowskie hordy, które stawiają sobie za cel splugawić nasze duchowe zasoby -

obwieścił szwagier Generalissimusa, przewspaniały w swoim mundurze operetkowego admirała.

- Proszę na mnie liczyć, wasza ekscelencjo - zapewnił Val s. - Zawsze i wszędzie.

„Zawsze i wszędzie” okazało się stanowiskiem dyrektora, ale nie wymarzonej Biblioteki Narodowej, tylko zakładu karnego o ponurej reputacji, zawieszzonego na skale górującej nad Barceloną. Lista krewnych i protegowanych do objęcia prestiżowych stanowisk była coraz dłuższa, a Val s, pomimo usilnych starań, zajmował na niej jedno z dalszych miejsc.

- Cierpliwości, Val s. Pańskie zaangażowanie zostanie wynagrodzone.

W ten oto sposób Mauricio Val sowi udzielono pierwszej lekcji zawilej sztuki lawirowania i awansowania ze stanowiska na stanowisko niezależnie od wichrów historii : tysiące szeregowych zwolenników i nowo nawróconych przyłączyło się do wyścigu, więc konkurencja była ostra.

#### 4.

Tak, wedle legendy, wyglądał życiorys Val sa. Ten zbitek niepotwierdzonych podejrzeń, domysłów i plotek z trzeciej ręki dotarł do uszu więźniów dzięki złośliwym zabiegom poprzedniego naczelnika, odwołanego zaledwie po dwóch tygodniach pełnienia funkcji i opętanego przez zawiść w stosunku do owego przybysza, który zjawił się ni stąd, ni zowąd, żeby odebrać mu posadę, o którą walczył przez całą wojnę.

Odchodzący naczelnik pozbawiony był rodzinnych koneksji, miał za to na koncie niesławną wpadkę, kiedy to pijany wygłaszał sarkastyczne komentarze na temat Generalissimusa Wszechhiszpani i jego niezwykłego podobieństwa do Myszki Miki. Zanim pogrzebano go na stanowisku wicedyrektora więzienia w Ceucie, zrobił wszystko, by oszczać don Mauricio Val sa każdemu, kto tylko chciał tego słuchać.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że do Val sa można było zwracać się jedynie per panie naczelniku.

Oficjalna wersja rozpowszechniana przez niego samego głosiła, że don Mauricio to znany i nader ceniony człowiek pióra, intelektualista o niebywalej wprost erudycji nabytej i oszlifowanej podczas lat gruntownych studiów w Paryżu i że, chociaż przyjął oferowane mu stanowisko w sektorze penitencjarnym, bo przecież nie odmawia się ojczyźnie w potrzebie, jego prawdziwym powołaniem i misją, w której dopomóc mu miał krąg najznamienitszych i blisko z nim zaprzyjaźnionych postaci świata kultury, jest niesienie kaganka oświaty między prosty lud Hiszpani, umęczony latami wojennej zawieruchy.

Swoje mowy naczelnik niejednokrotnie okraszał cytatami z własnych esejów, utworów poetyckich lub artykułów publicystycznych o literaturze, filozofii i koniecznym odrodzeniu Zachodniej Cywilizacji, które zamieszczał często w prasie krajowej. Jeśli więźniowie reagowali owacją pod koniec tych wykładów mistrzowskich, pan naczelnik okazywał swą wspaniałomyślność i strażnicy rozdzielali papierosy, świeczki lub podobne artykuły luksusowe pochodzące z paczek przesyłanych przez rodziny. Najbardziej łakome kąski były wcześniej konfiskowane przez strażników. Zabierali je do domu albo próbowali

sprzedać więźniom, ale korzyści z tego mieli właściwie żadne.

Zmarłych śmiercią naturalną lub śmiercią nieco przyspieszoną, a było ich od jednego do trzech tygodniowo, wynoszono o północy, codziennie poza sobotami, niedzielami i świętami; wówczas zwłoki czekały aż do poniedziałku lub pierwszego dnia roboczego, często dzieląc celę z nowym lokatorem.

Kiedy więźniowie wołali, że jeden z towarzyszy wyzionął ducha, przychodził strażnik, mierzył puls lub sprawdzał oddech, po czym wkładał ciało do brezentowego worka, specjalnie przeznaczonego do tego celu. Związany wór leżał w celi, dopóki nie zjawili się po niego grabarze z cmentarza Montjuic, który znajdował się w sąsiedztwie więzienia. Nikt nie wiedział, co się działo ze zwłokami. Bebo, pytany o to niejednokrotnie, miał odpowiedzieć, spuszczał tylko wzrok..

Co dwa tygodnie odbywały się posiedzenia sądu wojennego. Skazanych na śmierć w trybie doraźnym rozstrzeliwano o świcie. Czasami plutonowi egzekucyjnemu, z powodu złego stanu broni, nie udawało się od razu zabić wszystkich rozstrzeliwanych. Jęki dogorywających dobiegały wówczas z dna fosy przez kilka godzin. A później rozlegała się eksplozja i zapadała cisza. Więźniowie snuli rozmaite domysły, twierdząc na przykład, że to któryś z żołnierzy wrzuca do fosy granat, ale nikt nie był pewny, czy tak jest w rzeczywistości.

Wśród więźniów krążyła plotka, że pan naczelnik przyjmuje w każdy piątek rano żony, córki, narzeczone, a nawet ciotki i babcie osadzonych. Schowawszy w szufladzie biurka swoją obrączkę, wysłuchiwał ich próśb, błagań, służył chusteczką na otarcie łez, łaskawie przyjmował prezenty i innego rodzaju usługi, świadczone w zamian za nigdy niespełniane obietnice lepszego traktowania albo rewizji niektórych wyroków.

Ale zdarzało się, że Mauricio Val s po prostu częstował je ciasteczkami i kieliszkiem muszkatelu, a jeśli, mimo wszechobecnej nędzy i głodu, jeszcze mogły jako tako cieszyć oko i inne zmysły, przystępował do czytania swych utworów, wyznawał, że małżeństwo z inwalidką to prawdziwa droga krzyżowa, rozwodził się nad tym, jak bardzo gardzi swym stanowiskiem, i wyznawał, jakim poniżeniem było powierzenie człowiekowi o takiej umysłowej ogładzie, kulturze, polorze i

wyrafinowanym guście tak nikczemnego i lichego stanowiska, podczas gdy naturalną koleją rzeczy powinien przynależeć do elity kraju.

Lokatorzy o najdłuższym stażu radzili słowem nie wspominać pana naczelnika, a w miarę możliwości nawet o nim nie myśleć. Większość więźniów wolała rozmawiać o rodzinach na wolności, o swych kobietach i wspominać swoje dawne życie. Niektórzy mieli zdjęcia narzeczonych lub żon.

Strzeżli tych fotografii jak najcenniejszego skarbu, nawet z narażeniem życia, kiedy ktoś próbował im je odebrać. Wielu więźniów tłumaczyło Fermínowi, że najgorsze są pierwsze trzy miesiące. Później, kiedy traciło się wszelką nadzieję, czas zaczynał szybko mijać i kolejne bezsensowne dni znieczulały duszę.

## 5.

W niedzielę, po mszy i przemówieniu pana naczelnika, niektórzy z więźniów gromadzili się w nasłonecznionym kącie dziedzińca, by wspólnie wypalić papierosa i wysłuchać jednej z historii, które opowiadał im David Martín, o ile był akurat w pełni władz umysłowych. Fermín, który znał niemal wszystkie, bo w swoim czasie przeczytał od deski do deski serię „Miasto Przeklętych”, przyłączał się do nich i puszczał wodze wyobraźni. Często jednak Martin nie był zdolny opowiedzieć nawet bajki na dobranoc, więc towarzysze zostawiali go w spokoju, on zaś stawał na uboczu i gadał sam do siebie.

Fermín przyglądał mu się z uwagą, czasem kręcił się nieopodal, bo coś w tym nieszczęśniku poruszało go do głębi. Wykorzystując wszystkie swoje talenty i sztuczki cyrkowe, zdobywał mu papierosy, a nawet kostki cukru, za którymi Martin przepadał.

- Fermínie, jest pan dobrym człowiekiem. Niech pan się stara to ukryć.

Martin zawsze nosił przy sobie starą fotografię, w którą często się wpatrywał. Na zdjęciu widać było mężczyznę w białym garniturze, trzymającego za rękę dziesięcioletnią mniej więcej dziewczynkę.

Oboje obserwowali zachód słońca, stojąc na końcu drewnianego pomostu rozciągniętego nad plażą niczym nad przezroczystą taflą wody. Kiedy Fermín pytał, co to za zdjęcie, Martin milczał i uśmiechał się tylko, chowając fotografię do kieszeni.

- Kim jest ta dziewczynka na zdjęciu, panie Davidzie?

- Nie jestem pewien. Czasem pamięć zupełnie mnie zawodzi. Pan nie ma z tym problemu?

- Oczywiście, że mam. Wszyscy mamy z tym problem.

Gadano wprawdzie, że Martinowi czasem odbija i że coś z jego głową nie tak, ale Fermín, poznawszy go trochę lepiej, doszedł do wniosku, iż z nieborakiem jest znacznie gorzej, niż więźniowie przypuszczali. Były takie momenty, kiedy zdawał się myśleć trzeźwiej niż ktokolwiek, niemniej, wcale nie tak rzadko, zdarzały się chwile, gdy sprawiał wrażenie człowieka, który nie wie, gdzie jest; bełkotał wtedy coś o miejscach i osobach istniejących niewątpliwie tylko w

jego wyobraźni i wspomnieniach.

Fermín nieraz budził się nad ranem, słysząc Martina rozprawiającego w swojej celi. Przysunąwszy się cichutko do krat i nadstawivszy ucha, wyraźnie słyszał, jak Martin dyskutuje z kimś, do kogo zwracał się „panie Corel i”. Ów rozmówca, wnosząc z dramatycznego tonu rozmowy, musiał być perfidnym i niebezpiecznym człowiekiem.

Pewnej nocy Fermín zapalił swój ostatni ogarek i uniósł go ku przeciwległej celi, by upewnić się, czy rzeczywiście Martin jest sam i że oba dyskutujące głosy, Davida i niejakiego Corel ego, należą do pisarza. Martin krążył po celi i kiedy jego oczy napotkały wzrok Fermína, ten w mig pojął, że jego towarzysz więzienny wcale go nie widzi i że zachowuje się, jakby wokół niego nie było żadnych murów i krat, a rozmowa z owym dziwnym dżentelmenem odbywała się gdzieś daleko stąd.

- Niech pan nie zwraca na niego uwagi - rozległ się w mroku głos numeru 15. - Co noc wyprawia to samo. To kompletny czub. Szczęściarz.

Rano, kiedy Fermín zapytał Martina, kto zacz ten Corel i, z którym tak żywo w nocy dyskutował, pisarz spojrział na niego zdziwionym wzrokiem i uśmiechnął się zmieszany. Kiedy indziej Fermín, nie mogąc zmrużyć oka z powodu panującego zimna, znowu przysunął się do krat i usłyszał, jak Martin rozmawia z jednym ze swoich niewidzialnych przyjaciół. Tym razem odważył się mu przerwać.

- Panie Davidzie? To ja, Fermín, sąsiad z naprzeciwka. Wszystko w porządku?

Martin podszedł do krat. Miał oczy pełne łez.

- Panie Martin? Kto to jest Isabel a? Przed chwilą pan o niej mówił. Martin spojrział na niego przeciągle.

- Isabel a to jedyna niezeepsuta istota na tym gównianym świecie - odparł w niezwykle szorstki sposób. - Gdyby nie ona, zasługiwałby tylko, by go podpalić i pozwolić mu spłonąć, tak żeby nawet popioły nie zostały.

- Niech mi pan wybaczy. Nie chciałem przeszkadzać.

Martín odszedł w cień. Rano znaleziono go trzęsącego się w kałuży krwi. Bebo zasnął na krześle, co więzień wykorzystał, by otworzyć

sobie żyły, pocierając nadgarstki o kamienie. Kiedy zabierali go na noszach, był bardzo blady. Fermín pomyślał, że już go więcej nie zobaczy.

- Niech się pan o niego nie martwi - powiedział numer 15. - Gdyby chodziło o kogoś innego, poszedłby prosto do worka, ale Martinowi pan naczelnik nie pozwoli umrzeć. I nikt nie wie dlaczego.

Cela Martina przez pięć tygodni stała pusta. W końcu Bebo przyniósł go w ramionach jak małe dziecko. Pisarz ubrany był w białą piżamę, a ręce miał obandażowane aż po łokcie. Nie poznawał nikogo i przez całą pierwszą noc po powrocie gadał i śmiał się sam do siebie. Bebo, postawiwszy krzesło naprzeciwko jego celi, cały czas dyżurował przy nim i podawał mu kostki cukru, które ukradł z pokoju oficerów i przemycił w kieszeniach.

- Panie Martinie, na miłość Boską, niech pan tyle nie gada, bo Bóg pana pokarze - szeptał, podając mu kolejne kostki cukru.

W prawdziwym świecie numer 12 nazywał się Román Sanahuja i był lekarzem, ordynatorem oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu Clínico, człowiekiem uczciwym i całkiem pozbawionym wywrotowych idei i pomysłów na naprawę świata; trafił na zamek dlatego, że sumienie nie pozwoliło mu zadenuncjować kolegów. Zasadniczo żaden z więźniów nie czerpał żadnych korzyści z wykonywanego na wolności zawodu, poza tymi nielicznymi wyjątkami, kiedy zawód ów mógł przynieść jakieś korzyści panu naczelnikowi. Do tych wyjątków należał doktor Sanahuja, któremu szybko oznajmiono, do czego może się przydać Val sowi.

- Niestety nie mogę tu liczyć na personel medyczny ani leki nawet w najbardziej podstawowym zakresie - wyjaśnił naczelnik. - Prawda jest taka, że władza ma na głowie inne zmartwienia i niewiele ją obchodzi, czy któregoś z panów zeżre gangrena albo inne paskudztwo. Musiałem się nieźle natrudzić, żeby przysłali mi apteczkę, w której nic właściwie nie ma, i tego konowała, któremu pewnie nie pozwoliliby nawet zmywać podłogi na wydziale weterynarii. Ale nic lepszego nie mamy. Doszły mnie słuchy, że zanim wpadł pan w pułapkę bezstronności, był pan cenionym doktorem. Z pewnych powodów, które nie czas i miejsce teraz wyjaśniać, jestem żywo zainteresowany, by nasz internowany David Martin nie przeniósł się zbyt wcześnie na tamten świat. Jeśli

zgodzi się pan mi pomóc i utrzymać go w jakiej takiej formie, zapewniam, iż uczynię pański pobyt tu nieco znośniejszym i osobiście zadbam, by zrewidowali pański wyrok i skrócili panu karę.

Doktor Sanahuja przytaknął.

- Doszły mnie słuchy, jakoby niektórzy z więźniów twierdzili, że Martin jest, jak to się mówi, trochę stuknięty. Czy to prawda? - zapytał pan naczelnik.

- Nie jestem psychiatrą, ale moim skromnym zdaniem równowaga psychiczna pana Martina jest wyraźnie zakłócona.

Pan naczelnik zamyślił się chwilę nad tą diagnozą.

- A w pańskiej kompetentnej opinii jak długo da radę wytrzymać? - zapytał. - Znaczy się żywy...

- Nie wiem. Więzienne warunki nie są najzdrowsze...

Pan naczelnik machnął ręką i zrobił znudzoną minę.

- A przy zdrowych zmysłach? Ile czasu może upłynąć, zanim Martin do końca oszaleje?

- Obawiam się, że niewiele.

- Rozumiem.

Naczelnik poczęstował doktora papierosem, ale ten odmówił.

- Darzy go pan szacunkiem, prawda?

- Prawie go nie znam - odparł doktor. - Wydaje się przyzwoitym człowiekiem.

Naczelnik się uśmiechnął.

- Jest za to beznadziejnym pisarzem. Najgorszym, jakiego wydała nasza ojczyzna.

- To pan naczelnik jest międzynarodowym ekspertem w dziedzinie literatury. Ja się na tym nie znam.

Pan naczelnik spojrział na niego lodowato.

- Ostrożnie z tą impertynencją, doktorze, za dużo mniejsze przewinienia wysyłałem ludzi na trzymiesięczny urlop do karceru. Niewielu to przeżyło, a ci, co wrócili, byli w znacznie gorszym stanie niż Martin. Niech pan nie sądzi, że dyplom medyka zapewni panu nietykalność. W pańskiej kartotece figuruje, że ma pan żonę i trzy córki. Pański los i los pańskiej rodziny zależy od tego, czy okaże się pan użyteczny. Czy wyrażam się jasno?

Doktor Sanahuja przełknął ślinę.



- Tak, panie naczelniku.

- Dziękuję, doktorze .

Co jakiś czas pan naczelnik polecał doktorowi, by zbadał Martina, i co złośliwi komentowali, że nie miał za grosz zaufania do więziennego lekarza, kłamliwego konowata, którego medyczne kompetencje ograniczały się do umiejętności wypisania aktu zgonu, nie obejmowały natomiast żadnych właściwie czynności leczniczych. Naczelnik zresztą wkrótce go zwolnił.

- Jak się miewa nasz pacjent, doktorze?

- Jest bardzo osłabiony.

- Domyślam się. A jego demony? Nadal mówi do siebie i żyje w świecie wyobraźni? Czytałem ostatnio w „ABC” znakomity artykuł mojego dobrego przyjaciela, Sebastiana Jurado, dotyczący schizofreni , przypadłości poetów.

- Postawienie podobnej diagnozy przekracza moje kompetencje.

- Mam nadzieję, że nie przekracza pańskich kompetencji utrzymanie go przy życiu.

- Staram się, jak mogę.

- Mam nadzieję, że to prawda. Proszę tylko pomyśleć o pańskich córkach. Takie są jeszcze młode.

I takie bezbronne. A wciąż tylu czerwonych bandziorów chowa się po lasach.

Płynęły miesiące, a doktor Sanahuja przywiązywał się coraz bardziej do Davida Martina. Pewnego dnia, popalając papierosa z Fermínem, opowiedział mu wszystko, co sam wiedział na temat historii tego człowieka, którego niektórzy współwięźniowie, pokpiwając z jego nadszarpniętej kondycji psychicznej i statusu oficjalnego więziennego wariata, nazywali Więżniem Nieba.

## 6.

- Jeśli chce pan znać moje zdanie, to ja sędzę, że David Martin był chory, jeszcze zanim się tu znalazł. Słyszał pan o schizofreni? To jest jedno z tych nowych ulubionych słów pana naczelnika.

- „Zachowuje się, jakby się szaleju najadł”, tak laicy lubią mówić o tym stanie.

- To nie żarty, Fermínie. Schizofrenia jest bardzo poważną chorobą. To nie jest moja specjalność, ale zetknąłem się z kilkoma przypadkami i wiem, że pacjenci często słyszą głosy, widzą osoby, których nigdy nie poznały, i wspominają wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca... Umysł chorej osoby stopniowo niszczy i pacjenci nie potrafią odróżnić rzeczywistości od fikcji.

- To jak siedemdziesiąt procent Hiszpanów... I sędzi pan, że biedny Martin cierpi właśnie na tę chorobę?

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Powtarzam, że to nie moja specjalność, ale uważam, że niektóre jego zachowania są symptomatyczne.

- Może w tych okolicznościach ta choroba jest błogosławieństwem...

- Choroba nigdy nie jest błogosławieństwem, Fermínie.

- A czy on sam wie, że jest, że tak powiem, dotknięty chorobą?

- Wariatowi zawsze wydaje się, że wariatami są inni.

- No tak, mówiłem już: siedemdziesiąt procent Hiszpanów...

Z wysoko postawionej budki wartownik przyglądał im się, jakby usiłował czytać z ich ust.

- Troszkę ciszej, bo jeszcze się nam dostanie.

Doktor dał znak Fermínowi, że lepiej będzie, jak zawrócą i pójdą w drugi koniec dziedzińca.

- W dzisiejszych czasach nawet ściany mają uszy - powiedział doktor.

- Jedyna nasza nadzieja, że może mają te uszy niedomyte - odparł Fermín.

- Wie pan, co mi powiedział Martin, kiedy zbadałem go po raz pierwszy na polecenie pana naczelnika? „Doktorze, zdaje się, że już

wiem, jak można wyjść z tego więzienia”. „Jak?”, spytałem.

On na to: „Po śmierci”. „Nie zna pan bardziej praktycznego sposobu?” „Czytał pan, doktorze, Hrabiego Monte Christo!”, odpowiedział pytaniem na pytanie. „Jako dzieciak. Słabo go pamiętam”. „To niech pan go przeczyta od nowa. Tam znajdzie pan wszystko”. Nie chciałem mu uświadamiać - ciągnął

doktor - że pan naczelnik kazał z więziennej biblioteki wyrzucić wszystkie książki Aleksandra Dumasa, razem z książkami Dickensa, Pereza Galdosa i wielu innych autorów, uważał. bowiem, że to pomyje służące za rozrywkę plebsowi o niewyrobytym guście, a na ich miejsce wstawił szereg powieści i niepublikowanych opowiadań własnego pióra i autorstwa swoich przyjaciół, wielotomową kolekcję oprawioną na jego żądanie w skórę przez Valentiego, więźnia, towarzysza sztuki drukarskiej, którego po ukończeniu zadania wysłał na śmierć z wychłodzenia, każąc mu stać na podwórzu w deszczu przez pięć styczniowych nocy, bo ośmielił się żartem wspomnieć o wykwinności prozy pana naczelnika. Valentí zdołał opuścić więzienie w sposób wskazany przez Martina: po śmierci.

Po jakimś czasie - opowiadał doktor Sanahuja - z podsłuchiwanym rozmów strażników wniosłem, że David Martín znalazł się w tym więzieniu w wyniku starań samego pana naczelnika. Przedtem przebywał w więzieniu Modelo, oskarżony o serię zbrodni, w które to oskarżenia, jak myślę, nikt chyba poważnie nie wierzył. Twierdzono między innymi, że zabił w szale zazdrości swego mentora i najlepszego przyjaciela, zamożnego dżentelmena i również pisarza, Pedra Vidala, i jego żonę Cristinę. Miał też zamordować z zimną krwią wielu policjantów i jeszcze kogoś. Ostatnio oskarża się tylu ludzi o tak przeróżne przestępstwa, że człowiek sam już nie wie, co ma sądzić. Trudno mi uwierzyć, żeby Martin był mordercą, ale muszę niestety przyznać, że podczas wojny widziałem, po obu zresztą stronach, tylu ludzi zdzierających z siebie dotychczasową maskę i ukazujących swe prawdziwe oblicze, że niczemu już nie powinienem się dziwić.

- Też się swoje napatrzyłem - westchnął Fermín.

- Chodzi o to, że ojcem owego Vidala jest potężny przemysłowiec, bogaty jak Krezus, ponoć jeden z najważniejszych bankierów narodowców. Nawiasem mówiąc, jak to jest, że wszystkie wojny

wygrywają bankierzy? W każdym razie ów potentat, stary Vidal, osobiście poprosił szefostwo Ministerstwa Sprawiedliwości, by schwytano Martina i żeby gnił do końca dni swoich w więzieniu za to, co zrobił jego synowi i synowej. Martin podobno uciekł z kraju i od trzech lat przebywał gdzieś na obczyźnie, ale schwytano go nieopodal granicy. Chyba całkiem zwariował, bo nie rozumiem, po co wracał do Hiszpani, gdzie dybano na niego, żeby go powiesić, ukrzyżować i spalić. I to na dodatek w ostatnich dniach wojny, kiedy tysiące ludzi uciekało z Hiszpani.

- Człowiek czasem ma już dość uciekania - wtrącił Fermín. - Świat staje się bardzo mały, kiedy nie masz gdzie się podziać.

- Chyba Martin doszedł do podobnego wniosku. Nie wiem, jak i gdzie przekroczył granicę, ale kilkoro mieszkańców Puigcerdá, ujrawszy dziwnego osobnika w porwanym ubraniu kręcącego się po miasteczku i gadającego cały czas do siebie, powiadomiło Gwardię Obywatelską. Miejscowi pasterze potwierdzili, że widziano go na drodze do Bolvir, parę kilometrów od miasteczka. Stał tam stary dom, nazywano go Torre del Remei, w czasie wojny przekształcony został w szpital dla rannych na froncie.

Lazaret prowadziła grupa kobiet, które pewnie zlitowały się nad Martinem i biorąc go za republikańskiego żołnierza, nakarmiły go i wzięły pod swój dach. Ale kiedy gwardziści zjawili się w szpitalu, Martina już w nim nie zastali, niemniej tego samego wieczoru natrafili nań na środku zamarznętej tafli jeziora, gdy usiłował kamieniem wybić w lodzie szczelinę. Z początku sądzili, że chciał popełnić samobójstwo, więc ulokowano go w sanatorium Vil a San Antonio. Zdaje się, że rozpoznał go jeden z pracujących tam lekarzy, ale proszę nie wypytywać mnie, w jaki sposób i kiedy nazwisko Martina dotarło do odpowiednich władz w Barcelonie, dokąd go przetransportowano.

- Czarna dziura.

- Żeby pan wiedział. Ponoć rozprawa sądowa nie trwała dłużej niż dzień. Lista przestępstw, o które oskarżano naszego pisarza, nie miała końca i choć dowodów zebrano tyle co nic, prokurator zdołał

mimo wszystko znaleźć sporą grupę świadków skłonnych obciążyć Martina swoimi zeznaniami. Przez salę rozpraw przewinęły się dziesiątki osób ziejących do oskarżonego tak nieskrywaną nienawiścią,

że nawet sędziego mocno to zastanowiło. Można przypuszczać, że za tą nienawiścią stały mniej lub bardziej drobne datki od starego Vidala. Z kloacznych melin wypełzli też dawni koledzy z redakcji gazety „La Voz de la Industria”, tak lokalnej, że aż drugorzędnej, kawiarniani literaci, nieszczęśnicy i zawistnicy wszelkiej maści, żeby przysiąc, że Martin jest winien wszystkich zarzucanych mu czynów i wielu więcej. Zresztą co ja panu będę mówić, przecież pan wie, jak to wszystko tutaj działa. Decyzją sędziego, z podszeptu Vidala ojca, skonfiskowano wszystkie dzieła Martina i spalono je, uznawszy za materiał wywrotowy, wymierzony w moralność i w obyczaje. Kiedy Martin zeznał podczas procesu, że jedyny przyzwoity obyczaj, którego należy bronić stanowczo, to obyczaj czytania, podczas gdy reszta jest kwestią sumienia każdego z osobna, sędzia doliczył kolejne dziesięć lat do już nie wiem ilu wcześniej zasądzonych. Zdaje się, iż podczas procesu, zamiast siedzieć cicho, Martin odpowiadał na każde pytanie bez żadnych zahamowań i oczywiście własnymi rękoma kopał sobie grób.

- Wszystko w tym życiu można przebaczyć. Poza prawdą.

- No i skazano go na dożywocie. „La Voz de la Industria”, należąca do starego Vidala, opublikowała obszerną informację o jego zbrodniach i, jakby tego było mało, zamieściła komentarz od redakcji. No i niech pan zgadnie, kto był jego autorem.

- Wielce znamienity pan naczelnik, don Mauricio Val s.

- We własnej osobie. W artykule swym uznawał Martina za „najgorszego pisarza w historii” i nie ukrywał swej satysfakcji, że książki tego autora zostały zniszczone, bo były „zniewagą dla ludzkości i dobrego smaku”.

- Dokładnie to samo powiedzieli o Palau de la Música - wtrącił Fermín. - Przecież my tu mamy całą śmietankę światowej elity intelektualnej. Unamuno już mówił: niech oni wymyślają, a my to zaopiniujemy.

- Winny czy niewinny, Martin, publicznie zhańbiony i poniżony spaleniem wszystkich, jedna po drugiej, stron kiedykolwiek przezeń napisanych, znalazł się w barcelońskim więzieniu Modelo, w którym najprawdopodobniej zmarłby po kilku tygodniach, gdyby nie to, że pan naczelnik, który nie dość, że pilnie śledził całą sprawę, bo dano mu wgląd we wszystkie akta, to również miał obsesję na punkcie pisarza,

trudno rzecz, z jakiego powodu, wystąpił o przeniesienie Martina do więzienia na Montjuic. Opowiadał mi Martin, że w dniu, w którym go tu przetransportowano, Val s kazał

przyprowadzić go do swojego gabinetu, by palnąć mu jedno ze swych przemówień.

„Panie Martinie, aczkolwiek jest pan zatwardziałym zbrodniarzem i prawdopodobnie zagorzałym rebeliantem, to coś nas jednak łączy. Obaj jesteśmy ludźmi pióra i choć pan całe swoje nieszczęsne życie twórcze poświęcił pisaniu śmieci dla gawiedzi, dla miernot umysłowych pozbawionych intelektualnej busoli, jestem głęboko przekonany, że może pan swoje błędy odpokutować, jeśli nie odmówi mi pan swojej pomocy. Mam kolekcję powieści i wierszy, nad którymi pracowałem przez ostatnie lata. Ich wartość literacka jest wprost nieoceniona, lecz z głębokim ubolewaniem stwierdzić tylko mogę, iż mocno wątpię w to, by w tym kraju analfabetów znalazło się choć trzystu czytelników zdolnych pojąć je i docenić. Dlatego też przyszło mi na myśl, że być może pan, dzięki swemu zdeprawowanemu rzemiosłu i swej więzi z pospólstwem czytającym w tramwajach, pomoże mi wprowadzić drobne zmiany, jakieś korekty, by sprowadzić nieco moje dzieło na ów smutny poziom czytelników tego kraju. Jeśli przystanie pan na współpracę, zapewniam pana, że władny jestem pańską egzystencję uczynić dużo znośniejszą. Mogę nawet doprowadzić do tego, by złożono w pańskiej sprawie apelację. Pańska młoda przyjaciółka... Jak jej tam? Ach, tak, Isabel a. Śliczna dziewczyna, jeśli pozwoli mi pan na słowo komentarza. Do rzeczy, pańska przyjaciółeczka przyszła mnie odwiedzić i poinformowała mnie, że zatrudniła młodego adwokata, niejakiego Briansa, jak również zdołała zebrać odpowiednią kwotę, niezbędną dla pańskiej obrony. Nie oszukujmy się: i ja, i pan wiemy, że oskarżenie w pańskiej sprawie było zupełnie bezzasadne, a wyrok wydano na podstawie wątpliwych dowodów. Posiada pan chyba jakiś niezwykły dar robienia sobie z wszystkich wrogów, nawet z ludzi, o których istnieniu, jestem o tym całkowicie przekonany, nic pan nie wie.

Proszę nie popełnić błędu i nie zrobić sobie wroga ze mnie. Ja nie jestem jednym z tych nieszczęśników. Tutaj, pośród tych murów, ja, żeby powiedzieć to prosto i wyraźnie, jestem Bogiem”.

Nie wiem, czy Martin zaakceptował propozycję pana naczelnika,

czy też ją odrzucił, ale zmuszony jestem myśleć, że na nią przystał, bo jeszcze żyje i wszystko wskazuje na to, że nasz prywatny Bóg nadal jest zainteresowany tym, żeby się to nie zmieniło. Nawet dostarczył mu do celi papier i przyrządy piśmiennicze, chyba po to, żeby przepisał to i owo, przeredagował jego arcydzieła, przyczyniając się w ten sposób do tego, by nasz pan naczelnik mógł dostać się na Olimp tak przez niego upragnionej sławy i literackiej chwały. Ja, prawdę mówiąc, nie wiem, co myśleć. Odnoszę wrażenie, że nieszczęsny Martin w tym stanie nie potrafiłby nawet przepisać rozmiaru swego buta i że większość czasu spędza jakby w swoistym czyścucu, w zbudowanej we własnej głowie czyścicowej klatce, w której żywcem zżerają go wyrzuty sumienia i ból. Chociaż moją specjalnością jest interna i nie mnie stawiać zbyt pochopne, być może, diagnozy...

## 7.

Opowiedziana przez zacnego doktora historia bardzo zaintrygowała Fermína. Wierny swej inklinacji do spraw z góry skazanych na porażkę, postanowił przeprowadzić na własną rękę skromne dochodzenie, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat Martina, a przy okazji doszlifować pomysły

ucieczki *via mortis* w stylu Aleksandra Dumasa. Im dłużej się nad całą sprawą zastanawiał, tym bardziej dochodził do przekonania, że w tej przynajmniej kwestii Więzień Nieba nie był tak szalony, jak powszechnie mniemano. Fermín wykorzystywał każdą wolną chwilę na dziedzińcu, by zbliżyć się do pisarza i zagaić rozmowę.

- Fermínie, zaczynam mieć nieodparte wrażenie, że został pan moją przyzwoitką. Chodzi pan za mną jak cień.

- Niech mi pan wybaczy tę natarczywość, panie Davidzie, ale jest rzecz, która nie pozwala mi spać spokojnie.

- A cóż to jest przyczyną pańskiej asomi, jeśli można wiedzieć?

- Można, jak najbardziej. I skoro już pan pyta, panie Davidzie, to wyłożę kawę na łąwę. Otóż zachodzę w głowę, jak to się stało, że tak przyzwoity człowiek jak pan zgodził się pospieszyć w sukurs naszemu paniczykowi naczelnikowi, który jak powszechnie wiadomo, jest nikczemną i próżną gnidą, w tych jego pożałowania godnych zachodach, coby się wysforować na gwiazdę literackich salonów.

- Hm, nie owija pan w bawełnę. Widzę, że to miejsce nie ma przed panem tajemnic.

- Musi pan bowiem wiedzieć, że mam wrodzone talenta detektywistyczne. Potrafię wywęszyć każdą hochsztaplerską inicjatywę, choćby nie wiem jak konfidencjonalną.

- W takim razie powinien pan wiedzieć, że nie jestem przyzwoitym człowiekiem, lecz kryminalistą.

- To tylko opinia sędziego.

- I legionu zeznających pod przysięgą świadków.

- Legionu drobnych łajdaków przekupionych przez łajdaka wyższej rangi. W dodatku cierpiących na zatwardzenie z powodu niepomiarkowanej zawiści.



- Panie Fermínie, a tak między nami, jest coś, o czym pan nie wie?

- Całe mnóstwo rzeczy. Ale ostatnio ta jedna uczepliła się mnie jak nie przymierzając rzep psiego ogona, chodzi mi mianowicie o pytanie, dlaczego przystaje pan na jakiegokolwiek układy z tym kretynem cierpiącym na nieuleczalną manię wielkości. Ludzie tacy jak on są zakałą tego kraju.

- Ludzie tacy jak on są wszędzie, Fermínie. Na to akurat nie mamy patentu.

- Ale tylko w Hiszpani traktujemy ich poważnie.

- Niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków. W całej tej, groteskowej niewątpliwie, farsie nasz pan naczelnik jest postacią znacznie bardziej złożoną, niż może się. na pierwszy rzut oka wydawać.

Ten, jak pan mówi, kretyn cierpiący na nieuleczalną manię wielkości jest jednakowoż bardzo wpływową osobą.

- Wręcz bogiem, jeśli wierzyć jego słowom.

- W tym szczególnym piekle trudno odmówić mu racji.

Fermín zmarszczył nos. Nie mógł się pogodzić ze słowami Davida Martina. Przez chwilę miał

wrażenie, że pisarz przyznaje się otwarcie do własnej klęski.

- Groził panu, tak? O to chodzi? Ale czy naprawdę może panu zrobić coś więcej?

- Mnie osobiście nic. Rozśmieszyć co najwyżej. Ale tym, co zostali na wolności, może wyrzucić prawdziwą krzywdę.

Fermín milczał długą chwilę.

- Przepraszam, panie Davidzie. Nie chciałem pana urazić. Nie przyszło mi to do głowy.

- Nie obraża mnie pan, wręcz przeciwnie. Zdaje mi się, że postrzega pan mnie i moją sytuację w sposób nader dla mnie pochlebny. Pańska dobra wiara nie mnie, lecz panu wystawia najlepsze świadectwo.

- Chodzi o tę pannę Isabel ę, tak?

- Panią Isabel ę.

- Nie miałem pojęcia, że jest pan żonaty.

- Bo nie jestem. Isabel a nie jest moją żoną. Ani też kochanką, jeśli tak pan pomyślał.

Fermín nie odpowiedział. Nie chciał podawać w wątpliwość słów Martina, ale z drugiej strony, kiedy tylko pisarz zaczynał o niej mówić, nie było wątpliwości, że kocha tę pannę czy też panią ponad wszystko na tym świecie. Fermín podejrzewał, że tylko myśl o Isabel i utrzymywała Martina przy życiu i dawała mu siłę, by przetrwać kolejny dzień w tym straszliwym miejscu. A najsmutniejsze było to, że pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Isabel a i jej mąż prowadzą księgarnię. To magiczne miejsce, które odkąd byłem dzieckiem, miało dla mnie bardzo szczególne znaczenie. Pan naczelnik zagroził mi, że jeśli mu nie pomogę, osobiście dopilnuje, by oskarżono ich o sprzedaż wywrotowych publikacji, skonfiskowano im księgarnię, wsadzono oboje do więzienia, a w dodatku odebrano im syna, który nie skończył jeszcze trzech lat.

- A to skurwiel - mruknął Fermín.

- Panie Fermínie - zaproponował David Martin - to nie pańska wojna, lecz moja. Zasłużyłem sobie na to wszystko.

- Przecież pan nic złego nie zrobił.

- Nie zna mnie pan, panie Fermínie. I lepiej niech tak pozostanie. Pan tymczasem musi się skoncentrować na tym, żeby jak najprędzej stąd uciec.

- To druga rzecz, o którą chciałem pana zapytać. Doszły mnie słuchy, że opracowuje pan eksperymentalną metodę wydostania się z tego bagna. Jeśli potrzebuje pan królika doświadczalnego, może i wątlej postury, ale za to aż tryskającego entuzjazmem, może pan na mnie liczyć w całej rozciągłości.

David Martin spojrzał na niego zamyślony.

- Czytał pan Dumasa?

- Od deski do deski.

- Wygląda pan na takiego. W takim razie zrozumie pan w mig mój pomysł. Proszę posłuchać mnie uważnie.

## 8.

Upływało pół roku od uwięzienia Fermína, kiedy w wyniku splotu rozmaitych wydarzeń w jego monotonnej dotąd więziennej egzystencji zaszła drastyczna odmiana. Był to czas, kiedy władze, wierząc jeszcze, że Hitler, Mussolini i spółka wygrają wojnę i wkrótce cała Europa będzie tego samego koloru co narodowe ineksprymable Generalissimusa, pozwoliły, by rozjuszona i zupełnie bezkarna horda zwykłych bandziorów, donosicieli i świeżo upieczonych politycznych komisarzy spowodowała, że liczba uwięzionych, zatrzymanych, skazanych na śmierć albo mających zniknąć bez wyroku obywateli stała się wręcz astronomiczna.

Wkrótce w całym kraju więzienia zaczęły pękać w szwach. Dyrekcja zakładu karnego w Montjuic otrzymała od władz wojskowych rozkaz, że musi przyjąć, niezależnie od możliwości, każdą właściwie liczbę z wciąż rosnącej masy jeńców, która była zbyt wielkim obciążeniem dla pokonanej i wyniszczzonej wojną domową Barcelony 1940 roku. W zaistniałej sytuacji pan naczelnik w swym kwiecistym niedzielnym przemówieniu poinformował podopiecznych, że od dzisiaj będzie ich w celach po dwóch. Doktor Sanahuja został dokwaterowany do celi Martina, przypuszczalnie po to, by miał na niego oko i powstrzymywał jego samobójcze zapędy. Fermínowi przypadło dzielić celę ze swoim sąsiadem, numerem 14, i tak dalej. Wszyscy dotychczasowi więźniowie tego bloku zostali zgrupowani po dwóch, żeby zrobić miejsce nowo przybyłym, których każdej nocy przywożono więźniarkami z więzienia Modelo i z Campo de la Bota.

- Niech się pan tak nie krzywi, bo mnie to jeszcze mniej bawi niż pana - ostrzegł swego nowego towarzysza numer 14, ledwo znalazłszy się w celi.

- Uprzedzam, że wrogie zachowania wywołują u mnie aerofagię - zagroził współlokatorowi Fermín. -

Proszę więc się nie czupurzyć jak jakiś Buffalo Bil i raczej pomyśleć o zdobyciu się na wysiłek bycia nieco kulturalniejszym i sikać twarzą do ściany bez rozbryzgów, w przeciwnym przypadku może się pan w najbliższej przyszłości obudzić jako podściółka pod pieczarki.

Dawny numer 14 przez pięć dni nie odzywał się słowem do Fermína. W końcu, nie mogąc już znieść piekielnosiarkowych bździn, w których oparach budził się co rano, postanowił zmienić strategię.

- Ostrzegalem pana - powiedział Fermín.

- W porządku. Poddaję się. Nazywam się Sebastian Salgado. Z zawodu jestem syndykalistą.

Uściśnijmy sobie dłonie i zostanemy przyjaciółmi, ale błagam, proszę już tak nie pierdzieć, bo zaczynam mieć halucynacje i przywiduje mi się w snach Noi del Sucre i Lew Trocki tańczący charlestona.

Fermín, ściskając dłoń Salgada, zdał sobie sprawę, że brakuje mu małego i serdecznego palca.

- Fermín Romero de Torres, miło mi w końcu pana poznać. Zawód: tajne służby wywiadowcze rządu katalońskiego, sektor Karaiby, teraz w stanie spoczynku. Z powołania bibliofil i wielbiciel literatury pięknej.

Salgado spojrział na swojego nowego towarzysza niedoli i zrobił wielkie oczy.

- A mówią, że to Martin jest wariatem.

- Wariatem jest ten, kto ma się za całkowicie normalnego, a za nienormalnych uważa całą resztę.

Salgado pokiwał głową zdruzgotany.

Kolejne przełomowe dla Fermína zdarzenie miało miejsce parę dni później. Dwóch strażników przyszło po niego o zmierzchu. Bebo otworzył im celę, starając się nie okazywać zaniepokojenia.

- Ty, chudy, wstawaj! - wycedził jeden z żołnierzy.

Salgado przez chwilę pomyślał, że jego prośby zostały wysłuchane i że zabierają Fermína przed pluton egzekucyjny.

- Odwagi, Fermínie - uśmiechając się, dodawał mu animuszu. - Za Boga i za Hiszpanię, piękniej nie można zginąć!

Żołnierze chwycili Fermína, skuli mu kajdankami nadgarstki i stopy i pociągnęli za sobą, odprowadzani przybitymi spojrzeniami całego bloku i donośnym śmiechem Salgada.

- Choćbyś nie wiem jak pierdział, tym razem się nie wywiniesz - krzyknął za Fermínem wyraźnie rozbawiony towarzysz.

## 9.

Poprowadzili Fermína płataniną tuneli do długiego korytarza, na którego końcu dostrzegł wielkie drewniane drzwi. Na ich widok ogarnęły go mdłości. Pomyślał, że jego żaloszny żywot dobiegł właśnie końca i że za tymi drzwiami czeka na niego uzbrojony w palnik Fumero mający wolną noc. Ale ku jego zaskoczeniu jeden z żołnierzy zdjął mu kajdanki, a drugi delikatnie zastukał do drzwi.

- Proszę - rozległ się znajomy głos.

W ten sposób Fermín znalazł się w gabinecie pana naczelnika. Wnętrze zdobiły dywany zarekwirowane z jakiegoś pałacyku w dzielnicy Bonanova i stylowe meble. Tę gustowną scenografię wieńczyło kilka elementów: flaga hiszpańska z czarnym orłem, godłem i dewizą, portret Generalissimusa bardziej podretuszowany niż afisz reklamowy z Marleną Dietrich i wreszcie sam pan naczelnik Mauricio Val s, usadowiony wygodnie za swoim biurkiem, delektujący się papierosem z importu i kieliszkiem brandy.

- Siadaj. Bez obawy - zaprosił.

Fermín dostrzegł na biurku talerz, a na nim apetyczny kawałek mięsa, parujący zielony groszek i puree ziemniaczane pachnące masłem.

- To nie jest fatamorgana - powiedział dobrotliwym tonem pan naczelnik. - To twoja kolacja. Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Fermín, który podobnych cudowności nie widział od lipca 1936 roku, rzucił się na nie tak łapczywie, jakby miały za chwilę wyparować. Pałac jednego papierosa po drugim i poprawiając co minuta swoje błyszczące od brylantyny włosy, pan naczelnik patrzył na niego z wyrazem obrzydzenia i pogardy, których nie zdołał zamaskować nawet wymuszonym uśmiechem. Fermín skończył jeść i Val s dał znać żołnierzom, by odeszli. Kiedy zostali sami, pan naczelnik wydał się Fermínowi bardziej złowrogi niż z uzbrojoną eskortą.

- Fermín, nieprawdaż? - odezwał się wreszcie.

Fermín przytaknął niepewnie.

- Pewnie się zastanawiasz, po co cię tu wezwałem.

Fermín skulił się na krześle.

- Nie masz najmniejszego powodu do niepokoju. Wręcz przeciwnie. Kazałem cię przyprowadzić, bo chcę znacznie poprawić twoje warunki życia i, kto wie, być może wpłynąć na rewizję twojego wyroku, gdyż i ty, i ja doskonale zdajemy sobie sprawę, że zarzuty, które ci postawiono, nie zostały, delikatnie mówiąc, poparte nazbyt konkretnymi dowodami. W takich to czasach żyjemy, wszędzie dużo mętnej wody i czasem sprawiedliwym obrywa się za grzeszników. To cena, którą musimy zapłacić za narodowe odrodzenie. Abstrahując od powyższych obserwacji, chcę, żebyś wiedział, że jestem po twojej stronie. Ja też jestem w pewnym sensie więźniem tego miejsca. Sądzę, że obaj chcemy się stąd wydostać jak najszybciej, pomyślałem więc, że możemy sobie w tym pomóc. Papieroska?

Fermín nieśmiało skorzystał z propozycji.

- Jeśli pan naczelnik nie ma nic przeciwko temu, zachowam go sobie na później.

- Oczywiście. Możesz wziąć całą paczkę.

Więzień numer 13 schował paczkę papierosów do kieszeni. Pan naczelnik lekko nachylił się ku niemu, wciąż uśmiechnięty. W zoo mieli identycznego węża, pomyślał Fermín, ale ten jadł tylko myszy.

- Jak tam twój nowy kolega z celi?

- Salgado? Uroczy człowiek.

- Nie wiem, czy słyszałeś, że zanim go przymknęliśmy, ten nikczemnik był najemnym mordercą na usługach komunistów.

Fermín pokręcił głową.

- Powiedział mi, że jest syndykalistą.

Val s zaśmiał się znacząco.

- W maju trzydziestego ósmego roku sam włamał się do domu Vilajoanow przy alei Bonanova i zatłukł całą rodzinę, łącznie z pięciorgiem dzieci, czterema służącymi i osiemdziesięciosześcioletnią babcią. Wiesz, kim byli Vilajoanowie?

- Nie bardzo...

- Jubilerami. W dniu zbrodni w domu było dwadzieścia pięć tysięcy peset w biżuterii i w gotówce.

Wiesz, gdzie się podziały te pieniądze?

- Nie wiem.

- Ty nie wiesz i nikt nie wie. Jedyńm, który wie, jest towarzysz

Salgado, a on postanowił nie dzielić się z proletariatem i schował łup dla siebie, by po wojnie oddać się rozkoszom pełni życia. Czego oczywiście nigdy nie zazna, bo będziemy go tu trzymać, póki nam wszystkiego nie wyśpiewa lub dopóki twój przyjaciel Fumero nie odkroi mu ostatniego kawałka.

Fermín przytaknął, łapiąc aluzję.

- Zauważyłem, że brakuje mu dwóch palców i że jakoś dziwnie się zachowuje.

- Któregoś dnia poproś go, żeby zdjął kalesony, to zobaczysz, że brakuje mu jeszcze kilku innych rzeczy, które zdążył stracić, gdy odmówił współpracy.

Fermín przełknął ślinę.

- Muszę stanowczo zaznaczyć, że wstrętem przejmują mnie te barbarzyńskie metody.

To jeden z powodów, dla których kazałem umieścić Salgada w twojej celi. Bo wierzę, że tylko rozmawiając ze sobą, można się dogadać. Dlatego chcę, abyś dowiedział się, gdzie Salgado schował skarb Vilajoanów i zdobycze ze wszystkich rozbojów i zabójstw, jakich dopuścił się w ostatnich latach.

A jak się dowiesz, to mi powiesz.

Fermín poczuł, że serce skacze mu gardła.

- A drugi powód?

- A drugi powód jest następujący: zauważyłem, iż ostatnio bardzo się zaprzyjaźniłeś z Davidem Martinem. Co zresztą pochwalam. Przyjaźń jest wartością uszlachetniającą ludzką istotę i pomaga w resocjalizacji więźniów. Nie wiem, czy słyszałeś, że Martin jest pisarzem.

- Coś mi się obito o uszy.

Pan naczelnik obrzucił go lodowatym spojrzeniem, niemniej nie zgasił swojego pojednawczego uśmiechu.

- Martin nie jest złym człowiekiem, chodzi raczej o to, że w wielu kwestiach błądzi. Między innymi w tym, iż jest przekonany, że powinien chronić niewłaściwe osoby i niesłuszne sekrety.

- To dziwny człowiek i tak już ma.

- Nie, oczywiście. Dlatego też pomyślałem sobie, że nie byłoby źle, gdybyś nadal się trzymał blisko Martina, mając oczy i uszy otwarte, by

później relacjonować mi, co mu chodzi po głowie, co czuje... Na pewno nieraz mówił o czymś, co szczególnie zwróciło twoją uwagę.

- Właśnie, skoro już pan naczelnik wspomina, to ostatnio sporo narzeka, że w pachwinie wyskoczył mu pryszcz od zbyt obcisłych majtek.

Pan naczelnik westchnął, zaklął pod nosem, wyraźnie zmęczony okazywaniem tak wielkiej uprzejmości wrednemu niewdzięcznikowi.

- Słuchaj, pajacu, możemy to załatwić po dobroci albo po złości. Staram się zachować racjonalnie, ale wystarczy podnieść słuchawkę i w ciągu trzydziestu minut zjawia się tu twój serdeczny przyjaciel Fumero. Opowiadano mi, że ostatnio oprócz spawarki trzyma w swoich kazamatach skrzynkę narzędzi stolarskich, którymi potrafi cudeńka wyczyniać. Czy wyrażam się jasno?

- Jaśniej już się nie da. Proszę mi wybaczyć, panie naczelniku. Już tak dawno nie kosztowałem mięsa, że proteiny uderzyły mi do głowy. To się już więcej nie powtórzy.

Pan naczelnik uśmiechnął się ponownie i kontynuował, jak gdyby nigdy nic.

- Szczególnie interesuje mnie, czy kiedykolwiek wspomniał o cmentarzu zapomnianych czy martwych książek, coś w tym stylu. Zanim odpowiesz, dobrze się zastanów. Czy Martin wspominał ci kiedykolwiek o tym miejscu?

Fermín pokręcił głową.

- Przysięgam waszej wielmożności, że nie słyszałem, aby pan Martin mówił o tym miejscu ani by ktokolwiek o takim miejscu mówił, nigdy, przenigdy...

Pan naczelnik mrugnął doń.

- Wierzę ci. I dlatego jestem przekonany, że jeśli o nim wspomni, powiesz mi o tym. A jeśli nie wspomni, ty spróbujesz skierować rozmowę na ten temat i wybadasz, gdzie się to miejsce znajduje.

Fermín gwałtownie potaknął głową.

- I jeszcze coś. Jeśli Martin wspomni ci o pewnym zamówieniu, jakie u niego złożyłem, przekonaj go, że dla jego dobra, jak i dla dobra pewnej damy, którą darzy on szczególnym szacunkiem, a także dla dobra jej męża oraz dziecka lepiej będzie, by przysiadł fałdów i napisał swoje arcydzieło.



- Czy pan naczelnik ma na myśli panią Isabel ę? - spytał Fermín.

- Ach, widzę, że ci o niej wspominał... Żałuj, że jej nie widziałeś - powiedział Val s, polerując szkła okularów chusteczką. - Młode, jędrne ciało, jakie tylko u gimnazjalistek można sobie wymarzyć...

Nawet nie wyobrażasz sobie, ile razy siedziała tu naprzeciwko mnie, na twoim miejscu, błagając o litość dla tego nieszczęśnika Martina. Nie będę wspominał, co była gotowa ofiarować mi za pomoc, bo jestem dżentelmenem, ale, między nami mówiąc, uczucie, jakim ta mała darzy Martina, jest rodem z Damy kameliowej. Gotów nawet byłbym iść o zakład, że ten mały, Daniel, nie jest synem jej męża, lecz Martina, który ma fatalny gust, jeśli chodzi o literaturę, ale wyśmienity, jeśli chodzi o panienki.

Pan naczelnik zawiesił głos, dostrzegłszy, że więzień obserwuje go nieprzeniknionym wzrokiem, który wyraźnie mu się nie spodobał.

- No i co się gapisz? - fuknął.

Zastukał lekko w stół. Za plecami Fermína natychmiast otworzyły się drzwi. Dwaj żołnierze chwycili go pod ręce i unieśli z krzesła w powietrze.

- Nie zapomnij, o czym ci mówiłem - powiedział pan naczelnik. - Za miesiąc chcę cię tu znów widzieć. Jeśli przyniesiesz mi to, o co proszę, zapewniam, że warunki twojego pobytu znacznie się poprawią, w przeciwnym razie zarezerwuję ci sesję w kazamatach z Fumerem i jego zabawkami.

Jasne?

- Jak słońce.

Następnie pan naczelnik, ze zblazowanym wyrazem twarzy, dał znak swoim ludziom, by zabrali więźnia, dopił brandy, pełen niesmaku, że musi codziennie mieć do czynienia z tym niedouczoneym i zdegenerowanym pospółstwem.

10.

### **Barcelona, 1957**

- Danielu, jest pan biały jak kreda - szepnął Fermín, budząc mnie z transu.

Sala restauracyjna Can Lluís i ulice, którymi tutaj doszliśmy, zniknęły. W oczach miałem jedynie ów gabinet na zamku Montjuic i twarz tego człowieka używającego wobec mojej matki słów i insynuacji, które parzyły. Poczułem, jak rozdziera mnie coś ostrego i zimnego, wściekłość, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem. Przez chwilę pragnąłem tylko jednego na świecie. Znaleźć się twarzą w twarz z tym nikczemnikiem, by skrócić mu szyję i przypatrywać się z bliska, jak pękają mu żyłki w oczach.

- Danielu...

Przymknąłem na chwilę powieki i głęboko odetchnąłem. Gdy je rozwarłem, byłem znów w Can Lluís, gdzie patrzył na mnie załamany Fermín Romero de Torres.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział.

Poczułem, że męczy mnie nagłe pragnienie. Nalałem sobie szybko szklankę wody i wypilem duszkiem, czekając, aż właściwe słowa same przyjdą mi do głowy.

- Nie ma czego wybaczać. Przecież to co się wtedy działo i co mi pan właśnie opowiedział, to nie pańska wina.

- A właśnie że moja. Bo musiałem to panu opowiedzieć, od tego zaczniemy - powiedział to głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym.

Widziałem, jak spuszcza wzrok, jakby nie miał odwagi na mnie patrzeć. Zrozumiałem, że ból odczuwany przezeń na wspomnienie owych przeżyć i męczarnie, których doświadczał na myśl, że musi powiedzieć mi prawdę, były tak ogromne, że zawstydzilem się własnej nienawiści.

- Proszę mi spojrzeć w oczy.

Fermín po chwili odważył się spojrzeć na mnie kątem oka. Uśmiechnąłem się.

- Jestem naprawdę wdzięczny za to, że opowiedział mi pan prawdę. I świetnie rozumiem, dlaczego nie chciał mi pan jej wyznać

dwa lata temu.

Fermín lekko skinął głową, ale coś w jego oczach wskazywało, że moje słowa były dla niego marną pociechą. Raczej wprost przeciwnie. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- To nie koniec, prawda? Jest coś jeszcze - odezwałem się w końcu.

Fermín przytaknął.

- I to coś gorszego?

Znow przytaknął.

- Znacznie gorszego.

Spojrzałem w bok i uśmiechnąłem się do profesora Alburquerque, który wychodził już i stojąc w drzwiach, nie omieszkał z daleka się z nami pożegnać.

- To może zamówmy jeszcze jedną wodę i opowie mi pan resztę - zaproponowałem.

- Lepiej zamówmy wino - uznał Fermín. - I to cały dzbanek.

11.

### **Barcelona, 1940**

Tydzień po rozmowie Fermína z panem naczelnikiem w bloku pojawiło się dwóch osobników, których nikt nigdy tu wcześniej nie widział, na kilometr cuchnących bezpieką. Bez słowa skuli i zabrali ze sobą Salgada.

- Bebo, wiesz, dokąd go zabierają? - spytał numer 12.

Strażnik pokręcił głową, choć wyraz jego twarzy zdradzał, że coś jednak na ten temat słyszał, ale wolał nie wchodzić w szczegóły. Z braku jakichkolwiek wieści nieobecność Salgada stała się natychmiast przedmiotem debat i spekulacji więźniów tworzących najrozmaitsze teorie.

„To szpieg narodowców, kret, który, sprzedając nam bajeczkę o syndykalizmie, miał wydobywać od nas różne informacje”.

„Tak, i dlatego obcięli mu dwa palce i Bóg wie co jeszcze, żeby był bardziej przekonujący”.

„A teraz siedzi sobie pewnie jak panisko w Amaya, obżera się dorszem po baskijsku w towarzystwie swoich koleżków i ma nas wszystkich gdzieś”.

„A ja myślę, że wyśpiewał wszystko, co miał wyśpiewać, i że wyrzucono go na pełnym morzu z kamieniem u szyi”.

„Ale mordę to miał falangisty. Dobrze, że ja, słówka przy nim nie pisałem. A do was się zaraz dobiorą”.

„Tak, jasne. Jeszcze nas do pierdła wsadzą”.

Z braku innej rozrywki zażarte dyskusje toczyły się bez końca. Ucięło je dopiero pojawienie się tych samych dwóch osobników, którzy przyprowadzili Salgada z powrotem.

Wszyscy spostrzegli najpierw, że wloką więźnia jak trupa, bo ten nie może ustać na własnych nogach. A następnie zauważyli, że jest blady jak ściana i zlany zimnym potem. Więzień powrócił na wpół obnażony i pokryty brązową skorupą, jakby mieszaniną zaschniętej krwi i własnych ekskrementów. Już w celi upuścili go z obrzydzeniem jak worek pełen odchodów i jak bez słowa przysli, tak bez słowa odeszli.

Fermín chwycił go pod ramiona i wciągnął na pryczę. Przystąpił do cierpliwego mycia za pomocą szmatek, które zrobił, drąc swoją - koszulę, i moczył w wodzie przyniesionej potajemnie przez Beba.

Salgado był przytomny, oddychał z trudem, a oczy płonęły mu jak dwie żagwie. Tam gdzie dwa dni temu miał jeszcze lewą dłoń, teraz pulsował kikut fioletowej masy przyżegany smołą. Gdy Fermín obmywał mu twarz, Salgado rozchylił niby w uśmiechu usta, ukazując nieliczne pozostające mu jeszcze zęby.

- Dlaczego nie powie pan wreszcie tym rzeźnikom tego, co chcą wiedzieć? To przecież tylko pieniądze. Nie wiem, ile pan tego pochował, ale wiem, że na pewno nie są tego warte.

- Gówno prawda - wydusił z siebie ledwo słyszalnym głosem Salgado. - To moja forsa.

- Jeśli już, to, gwoli ścisłości, tych biedaków, których pan pozabijał i obrabował.

- Nikogo nie obrabowałem. To oni obrabowali lud. A jeśli wykonałem na nich wyrok śmierci, to tylko w imię sprawiedliwości, której domagał się lud.

- Tak. Oczywiście. Dobrze, że zjawił się pan, Robin Hood z katalońskiej dębiny, by sprawiedliwości stało się zadość. No rzeczywiście, znalazł się sędzia sprawiedliwy.

- Te pieniądze to moja przyszłość - wycharczał Salgado.

Fermín otarł mokrą szmatką zimne czoło, całe w ranach.

- Przyszłości się nie pragnie: zasługuje się na nią. A pan nie ma żadnej przyszłości, Salgado. Ani pan, ani kraj, który wydaje na świat takich szubrawców jak pan i pan naczelnik i przymyka na nich oczy. Przyszłość wszyscyśmy wspólnie zamordowali, a teraz czeka nas tylko jedno wielkie gówno, takie samo gówno jak to, którym się pan obsrał, a ja je zmywam, chociaż mam już tego serdecznie dość.

Salgado wydał z siebie gardłowy jęk, który Fermín uznał za wybuch śmiechu.

- Niech pan daruje sobie kazania. Będzie pan teraz bohatera zgrywał.

- Nic z tych rzeczy. Bohaterów ci u nas dostatek. Jeśli o mnie chodzi, to jestem tchórzem.

Najzwyklejszym w świecie tchórzem - stwierdził Fermín. - Ale

przynajmniej wiem o tym i otwarcie się do tego przyznaję.

Fermín mimo wszystko nadal próbował go domyć, a kiedy uznał, że już nic więcej nie zdoła zrobić, przykrył go, niczym kocem, szmatą pełną pluskiew i śmierdzącą szczynami. Siedział przy złodzieju, dopóki ten nie zamknął oczu i nie zapadł w sen tak głęboki, że Fermín bliski był myśli, iż Salgado może się już nigdy nie obudzić.

- Umarł wreszcie, prawda? - rozległ głos numeru 12.

- Przyjmuję zakłady - dodał numer 17. - Stawiam papierosa, że wykituje.

- Idźcie wszyscy spać. A najlepiej idźcie do diabła - podsumował ich Fermín.

W kącie celi zwinął się w kłębek i spróbował zasnąć, ale szybko zrozumiał, że tej nocy sen nie nadejdzie. Po jakimś czasie przywarł twarzą do krat i przewiesił ręce przez pręt łączący i wzmacniający kraty. Z tonącej w półmroku celi po drugiej stronie korytarza przypatrywała mu się para oczu rozświetlonych żarem papierosa.

- Nie powiedział mi pan, po co Val s pana wtedy wezwał - odezwał się Martin.

- Zgaduj-zgadula.

- Jakaś zupełnie nietypowa prośba?

- Chce, żebym wyciągnął z pana informacje o jakimś cmentarzu książek lub coś w tym stylu.

- Ciekawe - rzekł Martin.

- Rzekłbym: fascynujące.

- A wyjaśnił panu, skąd jego nagle zainteresowanie akurat tą kwestią?

- Szczerze mówiąc, nasze stosunki nie są aż tak zażyłe. Pan naczelnik ogranicza się do straszenia mnie wszelakiego rodzaju odmianami kalectwa, które mnie czekają, jeśli w ciągu miesiąca nie wykonam jego polecenia, ja zaś ograniczam się do pokornego przytakiwania.

- Proszę się nie martwić, Fermínie. Za miesiąc będzie pan daleko stąd.

- Jasne. Na karaibskiej plaży. I dwie apetyczne Mulatki będą masować mi stopy.

- Niech pan nie upada na duchu.

Fermín westchnął żałościwie. Jego życie, niczym kostka do gry, było w rękach wariatów, płatnych morderców i dogorywających skazańców.

## 12.

W niedzielę, wygłosivszy na dziedzińcu swą cotygodniową mowę, pan naczelnik zawiesił na Fermínie pytające spojrzenie i uśmiechnął się do niego w taki sposób, że adresat uśmiechu poczuł, jak na czoło występują mu kropelki potu. Kiedy tylko żołnierze pozwolili się więźniom rozejść, Fermín czym prędzej ruszył w stronę Martina.

- Błyskotliwe przemówienie - stwierdził Martin.

- Wręcz historyczne. Za każdym razem, kiedy ten człowiek otwiera usta, w dziejach myśli europejskiej dokonuje się istny przewrót kopernikański.

- Sarkazm nie jest pańską mocną stroną, panie Fermínie. Nie licuje z pańską wrodzoną dobroduszością.

- Niech pan idzie do diabła!

- Pracuję nad tym. Papieroska?

- Nie palę.

- Podobno dzięki temu szybciej się umiera.

- W takim razie nie mogę odmówić.

Fermín spróbował się zaciągnąć. Natychmiast zaniósł się kaszlem tak gwałtownym, że Martin, klepiąc go po plecach i wyjmując mu z rąk papierosa, bał się przez chwilę, że współwięzień wypluje nawet resztki pierwszej komuni .

- Nie wiem, jak może pan to wdychać. Śmierdzi gorzej niż zwęglony pies.

- Nic lepszego nie można tu dostać. Podobno robią je z niedopałków zbieranych po corridzie z trybun naszej barcelońskiej areny.

- Jeśli o mnie chodzi, osobiście asocjowałbym ten bukiet raczej z publicznym pisuarem.

- Proszę głęboko oddychać. Już lepiej?

Fermín przytaknął.

- Opowie mi pan wreszcie coś o tym sławetnym cmentarzu, żebym mógł rzucić jakiś ochłap na pożarcie jaśnie oświeconej gnidzie piastującej stanowisko naczelnika? Nie mówię, żeby zaraz wyznawał pan prawdę. Zadowolę się każdą bujdą na resorach, jaka tylko



przyjdzie panu do głowy.

Martin uśmiechnął się, wydmuchując cuchnący dym.

- A jak się miewa pański kolega z celi, nasz obrońca ubogich?

- Salgado? A wie pan, człowiek w pewnym wieku zaczyna sądzić, że nic w cyrku tego świata już nie zdoła go zaskoczyć. Dziś nad ranem zmieniłem zdanie. Bo kiedy wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że Salgado zaraz wyciągnie kopyta, przewracam się z boku na bok na mojej pryczy i słyszę nagle, jak mój towarzysz podnosi się z łóżka i staje nade mną jak wampir.

- W istocie, ma coś z wampira - wtrącił Martin.

- Niech pan poczeka. Jak więc mówiłem, podchodzi do mojej pryczy i przygląda się badawczo mojej osobie. Ja, rzecz jasna, udaję, że śpię kamiennym snem. On chyba daje się nabrać, bo skrada się jak najciszej w kącik celi i zaczyna sobie wkładać ocalałą rękę w... no wie pan, w języku medycznym miejsce to nosi denominację prostonicy, a mniej uczeni nazywają je kiszka stolcową.

- Słucham?

- Tak, tak, nie przesłyszał się pan. Nasz poczciwy Salgado, cudem ozdrowiały po ostatniej sesji tortur godnych Świętego Oficjum, postanawia uczcić swój pierwszy raz, kiedy udaje mu się powstać z barłogu, eksplorując ten nieszczęsny uchyłek ludzkiej anatomi, któremu natura odmówiła dostępu światła słonecznego. A mnie aż dech w piersiach zaparło. Upływa minuta, a Salgado ma już w środku dwa czy trzy palce - w każdym razie wszystkie, które mu zostały, i gmera tak zapamiętale, jakby spodziewał się znaleźć skarb templariuszy albo jakieś głęboko ukryte hemoroidy.

- Własnym uszom nie wierzę.

- Niech pan lepiej usiądzie, bo wielki finał dopiero przed nami. Po minucie czy dwóch tej prospekcji analnych terytoriów Salgado wydaje z siebie tęskne westchnienie a la Święty Jan od Krzyża w ekstazie i, na moich oczach, staje się cud. Mój towarzysz niedoli wyjmuje rękę ze wspomnianych wcześniej oddolnych parti ciała i trzyma w niej mały błyszczący przedmiot, który, jak nawet z mojej nie najkorzystniejszej perspektywy zdołałem ocenić, nie jest z pewnością kawałkiem gówna.

- Ale co to było?

- Klucz. Nie francuski, ale jeden z tych kluczyków jak do walizeczki

albo niewielkiej szafki.

- A potem?

- A potem bierze ten klucz, spluwa nań kilkakrotnie i poleruje go, bo nietrudno się domyślić, że musiał cuchnąć gorzej niż obora. Na koniec podchodzi do ściany i upewniwszy się, że nadal śpię - a ja, by utwierdzić go w tym przekonaniu, dobywam z siebie kilka potężnych chrapnięć niczym dorodne szczenię bernardyna - zaczyna wciskać go w szczelinę pomiędzy kamieniami, którą maskuje później ziemią chyba, a być może jeszcze jaką inną miękką i podatną materią, produktem ubocznym wcześniejszych inspekcji.

Martin i Fermín spojrzeli na siebie w milczeniu.

- Pomyślał pan o tym samym co ja?

Martin pokiwał głową.

- Jak pan sądzi, ile ta słodka ptaszyna mogła ukryć w swym gniazdku chciwości? - zapytał Fermín.

- Wystarczająco dużo, by uważać, że lepiej stracić palce, całe dłonie i Bóg wie jaką część męskich atrybutów, niż zdradzić, gdzie to wszystko pochował - odparł Martin.

- I co mam teraz zrobić? Za nic w świecie nie dopuszczę, by ta naczelnikowska kreatura dobrała się do skarbu Salgada i sfinansowała wydanie swoich dzieł wszystkich w skórzanej oprawie, z przypisami i komentarzem, a może jeszcze kupiła sobie fotel w Królewskiej Akademii Języka... Co to, to nie.

Gotów jestem sam połknąć ten klucz albo nawet zaaplikować go sobie a rebours, od tej mniej nobliwej strony aparatu trawiennego.

- Proszę się z tym jeszcze chwilę wstrzymać - polecił Martin. - Na razie niech się pan tylko upewni, że ten klucz nadal tam jest, a potem czeka na moje instrukcje. Dopracowuję ostatnie szczegóły pańskiej ucieczki.

- Bez urazy, panie Davidzie, jestem panu nad wyraz wdzięczny za pańskie światłe rady i wsparcie moralne, ale tym razem chodzi o moją głowę i inne, może nie tak nieodzowne, ale równie drogie memu sercu członki, a w świetle najbardziej rozpowszechnionej wersji, według której jest pan kompletnie stuknięty, konstatacja, że powierzam w pańskie ręce moje życie, budzi we mnie pewien nieokreślony niepokój.

- Niech pan da spokój, panie Fermínie. Komu ma pan zaufać, jeśli

nie pisarzowi?

Fermín długo patrzył za oddalającym się Martinem, który szedł spowity w nieodłączną chmurę dymu z najpodlejszych papierosów.

- O matko jedyna - wymamrotał przybity.

### 13.

Totalizator makabrycznych zakładów przyjmowanych przez więźnia numer 17 działał nieprzerwanie przez wiele dni; czasem zdawało się, że Salgado wyzionie ducha, a czasem wręcz przeciwnie -

niedoszły nieboszczyk, odzyskawszy resztkę animuszu, podczołgiwał się z wysiłkiem do krat celi i ryczał niespodziewanie na całe gardło: „Pieprzonechujegroszaniedostanieciekurwawaszamać”, odmieniając swój wojenny okrzyk przez rozmaite liczby i osoby, dopóki nie zabrakło mu tchu i nie padł bez sił na podłogę.

Fermín podnosił go i dźwigał z powrotem na pryczę.

- Czy nasz dzielny Robin Hood dokonał wreszcie żywota, Ferminie?  
- dopytywał się numer 17, kiedy tylko usłyszał, jak ciało Salgada bezwładnie pada na pryczę.

Fermín nie kłopotał się już udzielaniem informacji na temat stanu zdrowia swojego towarzysza z celi. Jeśli rzeczywiście miał skonać, i tak w swoim czasie cały blok zobaczy, jak strażnicy wynoszą brezentowy worek.

- Niech pan słuca, Salgado, jeśli ma pan umrzeć, niech pan wreszcie umiera, ale jeśli zamyślił pan pożyć jeszcze trochę, niechże pan to czyni nieco ciszej, bo mam już powyżej dziurek pańskich recitali wyzwisk i plwocin - powtarzał Fermín, przykrywając go kawałkiem brudnego płótna, który, pod nieobecność Beba, zdołał wyżebrać u innego strażnika, w zamian za rzekomo udowodniony naukowo sposób na wykorzystywanie pięknych nastolatek, polegający na uprzednim upajaniu ich koktajlem mlecznym i oszałamianiu marcepanem.

- Niech mi pan nie zgrywa samarytanina, bo przejrzałem pana na wylot. Wiem, że jest pan taki sam jak cała ta zgraja ścierwojadów, którzy nawet gacie postawili na to, że umrę - odpowiadał Salgado, zdecydowany najwyraźniej utrzymać swój wizerunek opryskliwego drania do samego końca.

- Co prawda nie przystoi zaprzeczać ostatnim, albo przynajmniej przedostatnim, rzężeniom konającego, ale musi pan wiedzieć, że w tej akurat konkurencji nic nie obstawiłem i jeśli któregoś dnia wpadnę w szpony hazardu, to na pewno nie będę robił zakładów o życie ludzkiej

istoty, chociaż akurat z ludzkiej istoty to ma pan tyle co ja z pterodaktyla - oznajmił Fermín.

- Myśli pan, że tym swoim gadulstwem zdoła pan uspić moją czujność? - zapytał złośliwie Salgado.

- Wiem doskonale, co knujecie. Pan i ten pański serdeczny przyjaciel od Hrabiego Monte Christo.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, Salgado. Niech pan się prześpi chwilę, a najlepiej od razu cały rok, bo i tak nikt za panem nie zatęskni.

- Jest pan równie stuknięty jak on, jeśli naprawdę pan uwierzył, że zdoła pan stąd uciec.

Fermín poczuł, że po plecach płyną mu strugi zimnego potu. Salgado uśmiechnął się, pokazując wyszczerbione pałką uzębienie.

- Wiedziałem - powiedział.

Fermín zaklął pod nosem i odszedł na swoją pryczę. Zwinął się w kłębek, pragnąc być jak najdalej od Salgada. Spokój trwał zaledwie minutę.

- Moje milczenie ma swoją cenę - obwieścił Salgado.

- Szkoda, że nie pozwoliłem panu umrzeć, kiedy pana przynieśli - mruknął Fermín.

- W dowód wdzięczności jestem gotów dać panu zniżkę - powiedział Salgado. - Proszę tylko, by wyświadczył mi pan ostatnią przysługę. Potem obiecuję dochować tajemnicy.

- Skąd pan wie, że będzie to ostatnia przysługa?

- Bo złapią pana tak samo, jak złapali wszystkich, co chcieli stąd uciec, i po kilku dniach sprawdzania, gdzie ma pan łaskotki, skończy pan na naszej garocie jako element budującego spektaklu dla innych, zgromadzonych na dziedzińcu współwięźniów. A wówczas o nic już pana nie zdołam poprosić. No i co pan na to? Mała przysługa i mój współudział zapewniony. Daję panu moje słowo honoru.

- Pańskie słowo honoru? To zmienia postać rzeczy. Czemu mówi pan to dopiero teraz?

- Proszę tu podejść...

Fermín po chwili wahania uznał, że nie ma nic do stracenia.

- Wiem, że ten sukinsyn Val s kazał panu się dowiedzieć, gdzie ukryłem pieniądze - zaczął. - Niech pan nawet nie próbuje zaprzeczać.

Fermín wzruszył tylko ramionami.

- Chcę więc, żeby zdradził mu pan sekret - niespodziewanie powiedział Salgado.

- Do usług, panie Salgado. Co tylko pan sobie życzy. Więc gdzie pan ukrył te pieniądze?

- Niech pan powie naczelnikowi, że musi się stawić po nie osobiście. I ma być sam. Jeśli przyjdzie z kimś, może zapomnieć o forsie. Niech mu pan powie, by poszedł do starej fabryki Vilardel w Pueblo Nuevo, tej za cmentarzem. Równo o północy. Ani minuty wcześniej, ani minuty później.

- Brzmi jak kiepskie naśladownictwo powieści gotyckiej.

- Niech pan mnie słucha uważnie. Proszę mu powiedzieć, że ma wejść do fabryki i odnaleźć dawną stróżówkę, obok hali z krosnami. Kiedy się tam znajdzie, niech zapuka do drzwi, a kiedy go zapytają, kto idzie, ma powiedzieć: „Durruti żyje!”.

Fermín z trudem zdusił wybuch śmiechu.

- To największa bzdura, jaką słyszałem od czasu ostatniego przemówienia pana naczelnika.

- Nie proszę pana o komentarze. Niech się pan ograniczy do przekazania moich słów i już.

- A skąd ma pan pewność, że ja nie pokrzyżuję pańskich planów? Skoro znam hasło i wszystkie nieodzowne wskazówki, godne zeszytowej serii drugorzędnych kryminalików, mógłbym przecież przywłaszczyc sobie te pieniądze.

Oczy Salgada zapłonęły chciwością.

- Nie musi pan odpowiadać. Sądzi pan, że wkrótce będę martwy - domyślił się Fermín.

Salgado uśmiechnął się gadzim uśmiechem, który ledwo zmieścił mu się na ustach. Fermín popatrzył mu uważnie w oczy, w których czaiło się pragnienie zemsty. I nagle zrozumiał, o co chodzi Salgadowi.

- To pułapka, tak?

Salgado nie odpowiedział.

- A jeśli Val s ujdzie z życiem? Nie zastanawiał się pan nad tym, co może panu zrobić?

- Nic gorszego mi już nie robi.

- Powiedziałbym, że ma pan parę jąder, gdyby nie to, że został

panu tylko kawałek jednego, a jeśli ten podstęp spali na panewce, gotów jestem ręczyć, że nawet tego panu nie oszczędzą - stwierdził Fermín.

- To już mój problem - uciął Salgado. - To co, panie Monte Christo? Umowa stoi?

Salgado wyciągnął do Fermína ocalałą dłoń. Ten przez chwilę patrzył na nią niechętnie, zanim zdecydował się wreszcie podać mu swoją.

## 14.

Fermín musiał zaczekać na tradycyjną przemowę w niedzielę po mszy i następującą po niej, zawsze zbyt krótką, pauzę na świeżym powietrzu, by podejść do Martina i zrelacjonować mu swoją rozmowę z Salgadem.

- Nie zmienia to w niczym naszego planu - zapewnił Martin. - Niech pan zrobi to, o co prosi. W tej chwili nie możemy pozwolić sobie na to, by nas wsypał.

Fermín, którego od paru dni męczyły mdłości na zmianę z tachykardią, otarł sobie chusteczką pot z czoła.

- Panie Davidzie, nie to, żebym panu nie ufał, ale jeśli rzeczywiście opracowany przez pana plan jest tak perfekcyjny, to dlaczego nie skorzysta pan z niego osobiście?

Martin pokiwał głową, jakby od dłuższego czasu spodziewał się tego pytania.

- Gdyż ja, panie Fermínie, zasługuję na to, by tu zostać. I nawet gdyby tak nie było, nie ma dla mnie miejsca poza tymi murami. Nie mam dokąd pójść.

- Ma pan Isabel ę...

- Isabel a jest mężatką. I wyszła za mąż za człowieka wartego dziesięć razy więcej niż ja. Gdybym się stąd wydostał, tylko bym ją unieszczęśliwił.

- Zdaje się, że ona robi, co może, żeby pana stąd wyciągnąć...

Martin zaprzeczył.

- Musi mi pan coś obiecać, Fermínie. Tę jedną jedyną rzecz, o jaką poproszę pana w zamian za pomoc w ucieczce.

Istna litania życzeń, pomyślał Fermín i chcąc nie chcąc, pokiwał głową.

- Obiecuję.

- Jeśli uda się panu stąd wydostać, chciałbym, żeby w miarę swoich możliwości czuwał pan nad nią. Z oddali, tak by ona się nigdy o tym nie dowiedziała. Niech pan czuwa nad nią i nad jej synem Danielem. Zrobi pan to dla mnie, Fermínie?

- Oczywiście.



Martin uśmiechnął się smutno.

- Dobry z pana człowiek.

- Mówi mi pan to nie pierwszy raz i za każdym razem brzmi równie żałośnie.

Martin wyjął jednego ze swoich cuchnących papierosów i zapalił go.

- Nie mamy wiele czasu. Wczoraj był tu Brians, adwokat, którego wynajęła dla mnie Isabel a.

Popełniłem wielki błąd i opowiedziałem mu, czego chce ode mnie Val s.

- To znaczy, żeby zredagował mu pan te jego wycieczki?

- Właśnie. Prosiłem go, by broń Boże nie wspominał o niczym Isabel i. Ale o ile go znam, prędzej czy później to uczyni. A znając Isabel ę, a jak pan może sobie wyobrazić, znam ją o wiele lepiej niż jego, natychmiast wpadnie w furję. Na pewno zjawi się tu, by zagrozić Val sowi, że rozpowszechni wszem i wobec jego pilnie strzeżony sekret.

- Nie może jej pan powstrzymać?

- Powstrzymać Isabel ę to jak powstrzymać rozpędzony pociąg towarowy. Tylko głupiec mógłby się porwać na coś podobnego.

- Im więcej pan o niej mówi, tym większą mam ochotę ją poznać. Kobiety z charakterem...

- Fermínie, przypominam o pańskiej obietnicy.

Fermín położył dłoń na sercu na znak uroczystej przysięgi. Martin kontynuował swój wywód.

- Jak mówiłem, kiedy to się stanie, Val s może wymyślić jakieś głupstwo. Tym człowiekiem powodują próżność, zawiść i chciwość. Kiedy poczuje się osaczony, z pewnością zrobi fałszywy krok.

Nie jestem pewien, jak zareaguje, ale się boję. I chcę, by pana wówczas już tu nie było.

- No, wielkiej ochoty, żeby siedzieć tu dłużej, to ja nie mam...

- Nie zrozumiał, mnie pan. Chcę powiedzieć, że trzeba wcielić w życie nasz plan szybciej, niż przypuszczaliśmy.

- To znaczy kiedy?

Martin patrzył na niego długo zza kurtyny dymu wydobywającej się z jego ust.

- Dziś w nocy.

Fermín spróbował przełknąć ślinę, ale całkiem zaschło mu w gardle.

- Ale ja nawet nie wiem jeszcze, co to za plan...

- Więc zaraz się pan dowie.

## 15.

Tego popołudnia Fermín przed powrotem do celi podszedł do jednego z żołnierzy, który ostatnim razem poprowadził go do gabinetu Val sa.

- Proszę powiedzieć panu naczelnikowi, że muszę z nim porozmawiać.

- A o czym, jeśli można spytać?

- Proszę mu powiedzieć, że mam oczekiwane przez niego wyniki. Będzie wiedział, o czym mówię.

Przed upływem godziny dwaj strażnicy stanęli przed celą numer 13, by odebrać Fermína. Salgado z wyrazem twarzy zbitego psa obserwował swego towarzysza, masując sobie kikut. Fermín puścił do niego oko i odszedł w eskorcie żołnierzy.

Pan naczelnik przyjął go z wylewnym uśmiechem i półmiskiem pełnym wyrobów ciastkarni Casa Escriba.

- Fermínie, drogi przyjacielu, witam pana z nieklamana radością i już się cieszę na naszą inteligentną i owocną rozmowę. Proszę siadać i raczyć się do woli tą wyborną próbką wyrobów cukierniczych, które przyniosła mi żona jednego z więźniów.

Fermín od wielu już dni nie mógł strawić nawet najdrobniejszego płątka owsianego, niemniej by nie urazić pana naczelnika, sięgnął po jedno z ciastek i trzymał je w palcach, jakby miał do czynienia z jakimś amuletem. Zauważył, że pan naczelnik nagle przeszedł na pan, co wzbudziło w Fermínie podejrzenia, że nieuniknione konsekwencje tej przemiany mogą być jedynie katastrofalne. Val s nalał

sobie kieliszek brandy i wygodnie rozsiadł się w swym generalskim fotelu.

- No i co słyhać? Rozumiem, że przynosi mi pan dobre wieści - pan naczelnik zaprosił Fermína do zabrania głosu.

Fermín przytaknął.

- W rozdziale Literatura piękna mogę potwierdzić waszej wielmożności, że pan Martin zmotywowany i zdopingowany jest jak nigdy do wykonania drobnych retuszków i lekkich korekt, o które pan naczelnik prosił. Co więcej, dał mi do zrozumienia, że materiał

dostarczony mu przez pana naczelnika jest tak wysokiej i wysmakowanej jakości, że sądzi, iż powierzone mu zadanie będzie proste, bo ograniczy się do postawienia dwóch, może trzech kropek nad i tak genialnymi „i” pana naczelnika, by otrzymać arcydzieło godne najwybitniejszego Paracelsusa.

Val s cierpliwie zniósł werbalny ostrzał Fermína, po czym grzecznie, acz z lodowatym uśmiechem na ustach rzekł: - Nie musi mi pan tego aż tak okadzać. Wystarczy mi informacja, że Martin robi to, co ma zrobić. Obaj dobrze wiemy, że zadanie nie wzbudza jego entuzjazmu, niemniej cieszy mnie, że trafiają doń przedłożone argumenty i że rozumie, iż ułatwianie sobie życia przynosi nam wszystkim korzyści.

Przechodząc do następujących dwóch punktów...

- Właśnie do nich przechodziłem. Co się tyczy pogorzeliśka zabłąkanych tomów...

- Cmentarza Zapomnianych Książek - poprawił Val s. - Udało się panu wyciągnąć od Martina adres?

Fermín z pełnym przekonaniem przytaknął.

- Z tego co mogłem wydedukować, wspomniane wykopalisko kryje się za labiryntami tuneli i komór pod targiem Borne.

Val s przyjął informację wyraźnie zaskoczony.

- A wejście?

- Tegom nie zdołał jeszcze rozwikłać, panie naczelniku. Śmiem sądzić, że jest zakamuflowane pomiędzy paskudnie cuchnącymi i odstręczającymi zapleciami kramów warzywnych. Martin nie chciał rozmawiać o szczegółach, a ja uznałem, że lepiej będzie go nie naciskać, bo mógłby nabrać podejrzeń i już słowem się nie odezwać.

Val s przytaknął z ociąganiem.

- Słusznie pan postąpił. Proszę kontynuować.

- I finalizując już, co do trzeciej petycji waszej wielmożności, korzystając z przedśmiertnych i agonalnych drgawek tego arcyłotra, zdołałem nakłonić go, by w swych majakach ujawnił miejsce ukrycia owego łupu stulecia, który stał się jego zdobyczą w wyniku kolejnego skoku w służbie masoneri i marksizmu.

- Czy chce pan powiedzieć, że jest umierający?

- Skona lada chwila. Jestem przekonany, że już polecił swoją duszę świętemu Lwu Trockiemu i czeka jedynie na tchnienie ostatnie, by

wniebowstąpić do politbiura wieczności.

Val s zaklął pod nosem.

- Mówiłem tym bydlakom, że niczego z niego nie wycisną w ten sposób.

- Technicznie rzecz ujmując, pozbawili go gruczołu, może dwóch, ewentualnie ukrócili o członek jakowyś, ale w pełni podzielałam osąd pana naczelnika, że w postępowaniu z takimi potworami jak Salgado jedyną skuteczną metodą jest psychologia stosowana.

- Wracając jednak do rzeczy. Gdzie ukrył pieniądze?

Fermín pochylił się ku panu naczelnikowi i przybrał konfidencjonalny wyraz twarzy.

- Niezmiernie trudno to wytłumaczyć.

- Tylko bez kręcenia, bo w kazamaty pana poślę, żeby retorykę nieco panu przetrzepać.

Fermín wobec takich argumentów natychmiast przystąpił do sprzedania Val sowi instruktazowego steku bzdur, które usłyszał z ust Salgada. Pan naczelnik z niedowierzaniem, bo z niedowierzaniem, ale jednak słuchał.

- Ostrzegam pana, że jeśli stara się pan mnie oszukać, gorzko pan tego pożałuje. To, co spotkało Salgada, to zaledwie ćwiczenia na palcówki wobec walca na cztery ręce, jaki czeka pana.

- Zapewniam waszą wielmożność, że powtarzam jedynie słowo w słowo to, co mi opowiedział

Salgado. Jeśli najszanowniejszy pan naczelnik zechce, to ja gotów jestem przysiąc na przewiarygodny portret Generalissimusa z łaski Bożej, który rozpościera się nad pana naczelnika biurkiem.

Val s spojrział mu badawczo w oczy. Fermínowi wykonującemu ściśle zalecenia Martina nawet powieka nie drgnęła. W rezultacie i w wyniku otrzymania oczekiwanych informacji panu naczelnikowi zniknął uśmiech z ust, a w ślad za uśmiechem zniknął również półmisek ciasteczek. Nie siląc się na jakąkolwiek oznakę zadowolenia czy serdeczności, strzelił palcami. Do gabinetu weszło dwóch żołnierzy i odprowadzili Fermína do celi.

Tym razem Val s nawet nie potrudził się pogrozić Fermínowi. Ten zaś ciągnięty przez korytarz spostrzegł, że mija ich sekretarz pana naczelnika, a następnie zatrzymuje się na progu gabinetu Val sa.

- Panie naczelniku, Sanahuja, lekarz z celi Martina...

- Tak, o co chodzi?

- Mówi, że Martin zemdlął i że obawia się, że to coś poważnego.

Prosi o zgodę, by mógł udać się do ambulatorium i przynieść coś z apteczki...

Val s wstał wściekły.

- Więc na co czekasz? No, ruszaj się, zaprowadźcie go i niech weźmie, czego tam potrzebuje.

## 16.

Podczas gdy doktor Sanahuja zajmował się Martinem, przed jego celą stanął, z rozkazu pana naczelnika, strażnik. Był to młody, niespełna dwudziestoletni chłopak, który pojawił się na tej zmianie po raz pierwszy. Teoretycznie to Bebo powinien być na nocnej zmianie, ale zamiast niego, bez żadnego uprzedzenia czy wyjaśnienia, pojawił się ten młokos, który zdawał się mieć problemy nawet z rozpoznaniem poszczególnych kluczy, a zdenerwowany był bardziej od więźniów. Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy doktor, wyraźnie zmęczony, podszedł do krat i poprosił strażnika.

- Potrzebuję więcej gazy i wody utlenionej.

- Nie mogę opuścić posterunku.

- A ja nie mogę opuścić pacjenta. Bardzo proszę. Gaza i woda utleniona.

Strażnik zareagował nerwowo.

- Panu naczelnikowi bardzo się nie podoba, jeśli nie wykonuje się ściśle jego rozkazów.

- Ale jeszcze mniej by mu się podobało, gdyby Martina spotkało coś złego, bo się mnie pan nie posłuchał.

Młody strażnik rozważył wszystkie za i przeciw.

- Szefie, przecież nie przejdziemy przez ściany ani nie zjemy prętów... - argumentował doktor.

Strażnik zaklął przez zęby i ruszył jak najszybciej ku ambulatorium. Sanahuja odprowadzał go wzrokiem, nie odchodząc od krat. Salgado spał od dwóch godzin, ciężko oddychając. Fermín przesunął się cichutko bliżej korytarza i spojrzał na doktora. Sanahuja rzucił mu wówczas pakuneczek nie większy od tali kart, obłożony w kawałek płótna i owinięty sznurkiem. Fermín złapał go w locie i natychmiast schronił się w głębi swej celi.

Strażnik, wróciwszy, wpierył się do doktora, o co go ten poprosił, a później podszedł do prętów celi numer 13 i z odległości przyjrzał się sylwetce Salgada.

- To już ostatnie jego chwile - powiedział Fermín. - Nie dociągnie do rana.

- Ty rób wszystko, żeby dożył do szóstej. Lepiej, żeby wykitował na następnej zmianie.

- Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy - odparł Fermín.



## 17.

Tej samej nocy, podczas gdy Fermín rozpakowywał w swojej celi pakunek, który doktor Sanahuja przerzucił mu przez korytarz, czarny studebaker wioził pana naczelnika drogą schodzącą z Montjuic ku ciemnym ulicom w portowej części miasta. Jaime, szofer, prowadził uważnie, starając się omijać wyboje i przeszkody, które uprzykrzyłyby jazdę lub mogłyby wybić jego pasażera z głębokiego zamyślenia. Nowy naczelnik w niczym nie przypominał poprzedniego. Poprzedni i

porozmawiał czasami, i nawet potrafił przesiąść się do przodu. Naczelnik Val s zaś, poza wydawaniem poleceń, słowem się nie odzywał i rzadko obrzucał Jaimego spojrzeniem, chyba że szofer popełnił jakieś przewinienie albo najechał na kamień lub zbyt szybko wszedł w zakręt. Wówczas oczy pasażera rozbłyskiwały w lusterku wstecznym, a na twarzy pojawiał się wyraz niezadowolenia. Pan naczelnik Val s nie pozwalał włączać radia, bo, jak mówił, audycje, które w nim nadawano, obrażały jego inteligencję. Nie pozwalał również trzymać w samochodzie rodzinnych zdjęć szofera: fotografi żony i córki.

Na całe szczęście o tej porze nie było właściwie ruchu i jazda przebiegała bez zakłóceń. Dość szybko samochód znalazł się u stóp wzgórza, minął doki, objechał kolumnę Kolumba i skierował się na Ramble. Po kilku minutach zatrzymał się przed kawiarnią Ópera. Do Liceo, po drugiej stronie alei, na spektakl wieczorny wchodzili już ostatni widzowie, a Ramble były niemal puste. Szofer wysiadł i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, otworzył drzwiczki Mauricio Val sowi. Pan naczelnik stanął na chodniku i rozejrzał się wokół obojętnie. Poprawił węzeł krawata i otrzepał ramiona marynarki.

- Proszę tu czekać - polecił szoferowi.

Kiedy pan naczelnik wszedł do kawiarni, było w niej prawie pusto. Zegar wiszący za kontuarem wskazywał za pięć dziesiątą. Pan naczelnik skinieniem głowy odpowiedział na pozdrowienie jednego z kelnerów i usiadł przy stoliku w głębi. Powoli zdjął rękawiczki, wyjął srebrną papierośnicę, prezent od teścia w pierwszą rocznicę ślubu. Zapalił papierosa i rozejrzał się po starej kawiarni. Do stolika podszedł

kelner z tacą w dłoni i mokrą, cuchnącą ługiem ścierką wytarł blat. Pan naczelnik spojrział na kelnera z pogardliwym wyrzutem, ten jednak całkowicie to zignorował.

- Szanowny pan sobie życzy?
- Dwa rumianki.
- W jednej filiżance?
- Nie, w oddzielnych filiżankach.
- Czy szanowny pan czeka na towarzystwo?
- Nie da się ukryć.
- Wyśmienicie. Czy szanowny pan ma jeszcze jakieś życzenie?
- Proszę podać miód.
- Wedle życzenia szanownego pana.

Kelner odszedł niespiesznie, pan naczelnik zaś burknął pod nosem coś mało pochlebnego. Ze stojącego na kontuarze radioodbiornika płynął szmer jakiegoś kącika złamanych serc przerywanego reklamami kosmetyków Bel a Aurora, których codzienne stosowanie gwarantowało młodość, urodę i wigor. Cztery stoliki dalej starszy mężczyzna zdawał się usypiać z gazetą w ręku. Pozostałe stoliki były puste. Dwie dymiące filiżanki przybyły po pięciu minutach. Kelner stawiał je na stoliku jakby w zwolnionym tempie. A potem postawił miseczkę miodu.

- To wszystko, szanowny panie?

Val s przytaknął. Począł, aż kelner odejdzie do kontuaru, a następnie wyciągnął z kieszeni fiolkę.

Odkorkował ją i rzucił okiem na gościa znokautowanego przez prasę. Kelner stał tyłem do sali i wycierał szklanki.

Val s wziął fiolkę i wlał jej zawartość do filiżanki stojącej dalej od niego. Następnie szczerze dolał

miodu i łyżeczką wymieszał rumianek. W radio czytano list zrozpaczonej słuchaczki z Betanzos, której mąż, przypuszczalnie wyprowadzony z równowagi, bo przypaliła jej się duszona wołowina na Wszystkich Świętych, wyszedł z domu, by z przyjaciółmi wysłuchać transmisji radiowej z meczu piłkarskiego, wobec czego nie było go ani w domu, ani na mszy. Kobiecie zalecano modlitwę, wytrwałość, sugerowano również użycie oręża kobiecego, ale w ścisłych ramach rodziny chrześcijańskiej. Val s ponownie spojrział na zegar. Była

dziesiąta piętnaście.

## 18.

O dziesiątej dwadzieścia w drzwiach ukazała się Isabel a Sempere. Ubrana była w skromny płaszcz, włosy miała upięte, twarz - nieumalowaną. Val s, zauważywszy ją, skinął ręką na powitanie.

Isabel a obserwowała go przez chwilę, a potem niepewnie podeszła do stolika. Val s wstał i uśmiechając się sympatycznie, wyciągnął ku niej dłoń, ale ona zignorowała jego gest i usiadła.

- Pozwoliłem sobie zamówić dwie filiżanki rumianku. Uznałem, że to najlepsze, czego można się napić w tak burzliwą noc.

Isabel a pokiwała głową. Próbowała unikać spojrzenia pana naczelnika, który, przeciwnie, niemal pożerał ją wzrokiem. Pani Sempere za każdym razem, kiedy przychodziła z nim na spotkanie, starała się wyglądać jak najgorzej. Val s patrzył na obrys jej ust, na pulsujące żyły na jej szyi, na rysujący się pod płaszczem kształt piersi.

- Prosił pan, bym przyszła.

- Na początek chciałbym podziękować pani, że zgodziła się na to tak naprędce zaaranżowane spotkanie. Dziś po południu otrzymałem pani list i pomyślałem, że na poruszane przez panią tak delikatne tematy powinniśmy porozmawiać poza moim gabinetem i z dala od więziennych murów.

Isabel a pokiwała tylko głową. Val s spróbował rumianku i oblizał wargi.

- Pyszny. Najlepszy rumianek w całej Barcelonie. Proszę spróbować.

Isabel a jakby nie słyszała jego słów.

- Na pewno domyśla się pani, że ten przypadek wymaga najwyższej dyskrecji.

Chciałbym wiedzieć, czy mówiła pani komuś o tym, że pani tu jest.

Isabel a zaprzeczyła.

- Może wspomniała pani o tym mężowi.

- Mój mąż robi inwentaryzację w księgarni. Wróci do domu dopiero nad ranem. Nikt nie wie, że tu jestem.

- Zamówić pani coś innego? Jeśli nie ma pani ochoty na rumianek...

Isabel a pokręciła głową i uniosła filiżankę do ust.

Val s uśmiechnął się zadowolony.

- Więc, jak już mówiłem, otrzymałem pani list. Rozumiem pani oburzenie i chciałbym zapewnić panią, że zaszło wielkie nieporozumienie.

- Szantażuje pan człowieka chorego psychicznie, swojego więźnia, żeby napisał panu utwór, który uczyni pana sławnym. Czy to nieprawda? Na czym więc polega nieporozumienie?

Val s położył dłoń na ręce Isabel i.

- Isabel o. Mogę tak do pani mówić?

- Proszę mnie nie dotykać.

Val s zabrał rękę i spróbował zrobić pojednawczą minę.

- Dobrze, chcę tylko, byśmy spokojnie porozmawiali.

- Nie mamy o czym rozmawiać. Jeśli nie zostawi pan Davida w spokoju, gotowa jestem pojechać do Madrytu albo gdzie tylko będzie trzeba, by nagłośnić historię pańskiego oszustwa. Wszyscy się dowiedzą, jaką jest pan nikczemną osobą, jak miernym literatem. I nic mnie nie powstrzyma.

Do oczu Isabel i napłynęły łzy, filiżanka rumianku drżała w jej dłoniach.

- Isabel o, proszę się napić. Dobrze to pani robi.

Isabel a wypita dwa małe łyeczki i zamyśliła się.

- Z odrobiną miodu smakuje najlepiej - zachęcał Val s.

Wypiła jeszcze trochę.

- Muszę przyznać, że podziwiam panią - powiedział Val s. - Niewiele osób miałoby odwagę i hart ducha, by bronić kogoś takiego jak nieszczęsny Martin... kogoś, kogo wszyscy zdradzili i opuścili.

Wszyscy oprócz pani.

Isabel a spojrzała nerwowo nad wiszącą nad barem zegar. Była dziesiąta trzydzieści pięć. Wypiła do końca rumianek.

- Musi pani bardzo go cenić - ciągnął Val s. - Zastanawiałem się niejednokrotnie, czy z czasem, kiedy poznamy się lepiej, zacznie mnie pani cenić tak samo jak jego.

- Brzydzę się panem, Val s. Panem i całą zgrają mętów takich jak pan.

- Wiem o tym, Isabel o. Ale to właśnie zgraja mętów nieustannie rządzi tym krajem, a ludzie szlachetni, jak pani, zawsze stoją w cieniu.

Niezależnie od tego, która ze stron trzyma ster władzy.

- Nie tym razem. Tym razem pańscy zwierzchnicy dowiedzą się, co pan wyprawia.

- Czy pani naprawdę myśli, że się tym przejmą? Przecież oni robią dokładnie to samo, tylko na znacznie większą skalę. Przy nich jestem skromnym amatorem.

Val s uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę.

- Chcę, żeby wiedziała pani, że nie jestem wcale taki bezduszny. Na dowód moich słów przyniosłem rozkaz uwolnienia Davida Martina, opatrzony jutrzejszą datą.

Val s pokazał jej dokument. Isabel a czytała go z niedowierzaniem.

Pan naczelnik tymczasem wyjął

pióro i złożył na kartce swój podpis.

- Bardzo proszę. Za godzinę z kawałkiem David Martin będzie, formalnie rzecz ujmując, wolnym człowiekiem. Dzięki pani, Isabel o. Dzięki pani...

Isabel a spoglądała na niego szklanymi oczyma. Val s dostrzegł, jak jej źrenice rozszerzają się powoli, a nad górną wargą pojawiają się kropelki potu.

- Wszystko w porządku? Bardzo pani pobladła...

Isabel a podniosła się z trudem i kurczowo złapała poręcz krzesła.

- Źle się pani czuje? Czy dokądś panią odwieźć?

Isabel a cofnęła się kilka kroków.

W drodze do wyjścia wpadła na kelnera. Val s został przy stoliku, dopijając spokojnie swój rumianek. Kiedy zegar wskazywał dziesiątą czterdzieści pięć, wstał, rzucił na stół kilka monet i skierował się do wyjścia. Na chodniku czekał jego samochód, a szofer wyskoczył, by otworzyć przed nim drzwiczki.

- Pan naczelnik życzy sobie jechać do domu czy do zamku?

- Do domu. Ale po drodze zrobimy jeszcze przystanek w Pueblo Nuevo, w starej fabryce Vilardel .

W drodze po upragniony łup Mauricio Val s, wschodząca gwiazda hiszpańskiej literatury, przyglądał

się ciemnym, wyludnionym ulicom tej przeklętej Barcelony, której tak bardzo nienawidził, i zapłakał

nad Isabel ą i nad jej zbyt wczesnie przerwany ą życiem.

## 19.

Kiedy Salgado obudził się ze swego letargu i otworzył oczy, zobaczył bacznie mu się przypatrującą postać stojącą nieruchomo w nogach łóżka. Poczł nagłą panikę. Przez chwilę był przekonany, że ciągle przebywa w kazamatach. Migocący blask światła padającego z lamp na korytarzu wydobył z cienia znajome rysy.

- Fermínie, to pan? - zapytał.

Postać w półmroku przytaknęła. Salgado głęboko odetchnął.

- Mam sucho w ustach. Jest jeszcze trochę wody?

Fermín podszedł powoli. W dłoni coś trzymał: szmatkę i szklany słoiczek.

Salgado zobaczył, jak Fermín przechyla słoiczek i nasącza szmatkę płynem.

- Co to jest?

Fermín nie odpowiedział. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nachylił się nad Salgadem i popatrzył mu w oczy.

- Fermínie, nie...

Zanim zdołał powiedzieć cośkolwiek więcej, Fermín zatkał mu szmatką usta i nos, przyciskając mu jednocześnie głowę do łóżka. Salgado usiłował wyrwać się resztką swych słabych sił. Fermín nie odrywał przez jakiś czas szmatki od twarzy Salgada.

Ten patrzył na współwięźnia z rosnącym przerażeniem. Po kilku sekundach stracił przytomność, mimo to Fermín nie oderwał szmatki od razu. Policzył w pierw do pięciu i dopiero wtedy uniósł dłoń.

Usiadł na łóżku plecami do Salgada i odczekał parę minut.

Następnie, zgodnie ze wskazówkami Martina, podszedł do kraty.

- Strażnik! - zawołał.

Usłyszał zbliżające się kroki żółtodzioba. Plan Martina zakładał, że tej nocy dyżur będzie pełnić Bebo, a nie inny strażnik, na domiar złego zupełnie nowy i, jakby tego było mało, skończony kretyn.

- Czego znowu? - spytał strażnik.

- Salgado odwalił kitę.

Strażnik pokręcił z niedowierzaniem głową, a na twarzy pojawiło się przerażenie.



- Kurwa jego mać! I co teraz?

- Niech pan przyniesie worek.

Strażnik nie przestawał kłąć.

- Szefie, jeśli pan chce, to ja mogę wsadzić go do worka - zaproponował Fermín.

Strażnik przytaknął, nie kryjąc wdzięczności.

- Jeśli mi pan teraz przyniesie worek, to ja od razu zajmę się pakowaniem, a pan w tym czasie powiadomi kogo trzeba, może przed północą zabiorą zwłoki - dodał Fermín.

Strażnik znowu przytaknął i poszedł szukać worka. Fermín pozostał przy prętach. Po drugiej stronie korytarza Martin i Sanahuja przypatrywali mu się w milczeniu.

Dziesięć minut później strażnik wrócił, ciągnąc worek i nie kryjąc odruchów mdłości, jakie wywoływał w nim fetor padliny. Fermín cofnął się w głąb celi, nie czekając na polecenia. Strażnik otworzył drzwi i wrzucił worek do środka.

- Szefie, niech ich pan powiadomi jak najszybciej, żeby zabrali nam tego trupa przed północą, bo jak nie, to będziemy się z nim bujać caluteńki dzień.

- A na pewno poradzi pan sobie sam?

- Szefie, spokojnie, ma się tę praktykę.

Strażnik pokiwał głową, niby przytakując, ale nie całkiem przekonany.

- Może szczęście nam dopisze, bo kikut zaczyna mu cuchnąć i ani się obejrzymy, jak zdechniemy w tym smrodzie...

- O kurwa - jęknął strażnik, oddalając się czym prędzej.

Gdy Fermín usłyszał, że strażnik dobiegł już do końca korytarza, natychmiast zaczął rozbierać Salgada, po czym sam się rozebrał. Włożył na siebie cuchnące ubrania złodzieja, a następnie ubrał w swój więzienny chałat nieprzytomnego towarzysza. Ułożył Salgada na boku twarzą do ściany i przykrył

kocem, niemal po czubek głowy. Złapał za worek i wsunął się do środka. Już zaczął zawiązywać sznur, kiedy nagle coś sobie przypomniał.

Szybko wylazł z worka i przyskoczył do ściany. Paznokciami począł rozdrapywać miejsce między dwoma kamieniami, gdzie Salgado

schował klucz. Dość szybko wyczuł pod palcami metal, ale gdy próbował uchwycić koniuszek klucza i pociągnąć, przedmiot wyslizgiwał się, zaklinowany pomiędzy kamieniami.

- Pospiesz się pan - doszedł go głos Martina.

Fermín wbił się paznokciami w końcówkę klucza i pociągnął z całej siły. Paznokieć z palca serdecznego oderwał się i ostry ból na kilka sekund zamroczył Fermína. Zdusił w sobie krzyk, a palec wetknął w usta. Poczuł rozlewający między zębami słony i metaliczny smak własnej krwi. Otworzył

oczy i zobaczył wystający ze szczeliny kawałek metalu. Tym razem wyciągnął klucz bez najmniejszego trudu.

Ponownie naciągnął wór na siebie i jak mógł najlepiej, zasznurował go od środka, zostawiając mały otwór. Powstrzymując się od targających nim co chwila odruchów wymiotnych, położył się na podłodze. Poprawił jeszcze zawiązanie i ścisnął palcami nos.

Wolał wciągać ustami własny smród niż czuć powalający fetor ścierwa. A teraz zostało mi tylko czekać, pomyślał.

## 20.

Ulice Pueblo Nuevo tonęły w wilgotnej gęstej mgle, pełzającej znad mrowiska i lepianek i baraków na plaży Somorrostro. Studebaker pana naczelnika powoli przecinał pasemka mgły i przemykał się niby wąwozem pomiędzy dwoma szeregami fabryk, magazynów i czarnych rozpadających się hangarów. Światła samochodu kreśliły przed nim dwie płynne smugi. Po chwili z mgły wynurzył się kształt starej fabryki tekstylnej w Vilardel. Na końcu ulicy ukazały się jej najeżone kominami dachy, opuszczone pawilony i warsztaty. Olbrzymią bramę wieńczyły szpiczasto zakończone sztachety.

Ogrodzonym terenem zakładu zawładnęły dzikie chaszczce, spomiędzy których wyłaniały się szkielety porzuconych ciężarówek i wozów. Szofer zatrzymał się naprzeciwko bramy.

- Proszę nie gasić silnika - polecił pan naczelnik.

Snopy świateł samochodu wrzynały się w czerń za bramą, obnażając opłakany stan budynków, zbombardowanych podczas wojny i, podobnie jak wiele innych w Barcelonie, nigdy nieodbudowanych.

Z jednej strony Val s zauważył baraki zaryglowane deskami, a potem budynek dawnej stróżówki znajdujący się naprzeciwko garaży, które padły pastwą płomieni. Czerwonawa, drżąca poświata świeczki albo lampki naftowej pełgała po ramie jednego z zamkniętych okien. Pan naczelnik z tylnego siedzenia samochodu niespiesznie lustrował wzrokiem panoramę. Po kilku minutach milczenia nachylił się i powiedział do szofera: - Jaime, widzi pan ten domek po lewej, naprzeciwko garaży?

Po raz pierwszy pan naczelnik zwrócił się do niego po imieniu. Ale w tonie jego głosu, nagle uprzejmym i przyjaznym, było coś, co sprawiało, iż szofer poczuł, że woli dawny sposób traktowania, obojętny i pełen dystansu.

- Mówi pan o stróżówce?

- W rzeczy samej. Chcę, żeby podszedł pan do niej i zapukał do drzwi.

- Pan naczelnik życzy sobie, żebym poszedł do fabryki?

Val s westchnął zniecierpliwiony.

- Nie do fabryki. Niech mnie pan uważnie posłucha. Widzi pan ten domek, prawda?

- Tak, panie naczelniku.

- Świetnie. Dojdzie pan do ogrodzenia, przeciąśnie się między sztachetami, podejdzie do domku i zapuka do drzwi. Wszystko jasne? Szofer przytaknął bez cienia entuzjazmu.

- Świetnie. Więc kiedy pan zastuka, otworzą panu. Wtedy ma pan powiedzieć: „Durruti żyje”.

- Durruti?

- Proszę mi nie przerywać. Powtórzy pan to, co przed chwilą powiedziałem. Wtedy coś panu dadzą.

Prawdopodobnie będzie to walizka albo worek. Przyniesie mi go pan i już. Proste, prawda?

Szofer zbladł. Co chwila niespokojnie zerkał w lusterko wsteczne, jakby w obawie, że zaraz ktoś wynurzy się z ciemności.

- Spokojnie, Jaime. Nic się nie stanie. Wyświadczą mi pan wielką przysługę. Niech mi pan powie, jest pan żonaty?

- Ożeniłem się trzy lata temu, panie naczelniku.

- Znakomicie. A ma pan dzieci?

- Dwuletnią córeczkę, panie naczelniku. A moja żona znów jest przy nadziei.

- Rodzina jest najważniejsza, Jaime. Jest pan przykładnym Hiszpanem. Chciałbym złożyć panu osobiste wyrazy uznania dla pańskiej wzorowej pracy, więc jako podarek z okazji chrztu wypłacę panu awansem sto peset. A jeśli wyświadczy mi pan tę drobną przysługę, zarekomenduję pana do awansu.

Co powiedziałby pan na pracę biurową? Może w jakimś urzędzie państwowym na szczeblu lokalnym?

Mam gdzie trzeba dobrych przyjaciół, mówili mi, że szukają ludzi z charakterem, takich, co mogliby pomóc wydźwignąć ten kraj z przepaści, w której pograżyli go bolszewicy.

Myśl o pieniądzach i perspektywie awansu wywołała na ustach szofera niepewny uśmiech.

- To nie jest niebezpieczne ani...?

- Jaime, nie ufasz mi? Mnie, naczelnikowi? Czyżbyś uważał, że mógłbym prosić cię o coś, co byłoby sprzeczne z prawem albo

niebezpieczne?

Szofer spojrział na niego, ale nie odpowiedział. Val s uśmiechnął się.

- Niech pan powtórzy raz jeszcze moje wskazówki.

- Podchodzę do domku i pukam do drzwi. Kiedy ktoś otworzy, mówię: „Niech żyje Durruti”.

- Durruti żyje.

- Właśnie. Durruti żyje. Dają mi walizkę, a ja ją przynoszę.

- I jedziemy do domu. Nic prostsze.

Szofer przytaknął i po chwili wahania wysiadł z samochodu i podszedł do ogrodzenia.

Val s patrzył na jego sylwetkę, przecinającą smugi światła z reflektorów studebakera. Jaime stanął

przed ogrodzeniem i obejrzał się w stronę samochodu.

- Dalej, durniu. Właż - mruknął Val s.

Szofer przecisnął się przez dziurę w sztachetach i omijając sterty odpadków i kępy zdziczałej roślinności, powoli podszedł do drzwi stróżówki. Pan naczelnik wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza rewolwer i go odbezpieczył. Szofer stał już przed drzwiami.

Val s patrzył, jak stuka dwa razy i czeka. Upłynęła prawie minuta i nic się nie działo.

- Zastukaj jeszcze raz - mruknął Val s.

Szofer patrzył w stronę samochodu, jakby nie wiedząc, co ma zrobić. Nagle drzwi się otworzyły, wypuszczając powiew bladego światła. Val s widział, jak szofer wymawia hasło. Odwrócił się raz jeszcze w stronę samochodu, uśmiechając się z zadowoleniem. Strzał oddany z bliska rozsadził mu skroń i przeszył na wylot czaszkę. Struga krwi wytrysnęła z drugiej strony i ciało, już martwe, trzymało się jeszcze chwilę w oparach prochu, a potem runęło na ziemię jak zepsuta lalka.

Val s wyskoczył z samochodu i ulokował się za kierownicą studebakera. Trzymając lewą ręką rewolwer i celując w kierunku wejścia do fabryki, wrzucił wsteczny i ruszył gwałtownie do tyłu.

Samochód cofał się w mgłę, podskakując raz po raz na wyboistej drodze.

Val s zobaczył rozbłysk wielu oddawanych z fabryki wystrzałów, ale żaden z nich nie zdołał trafić samochodu. Dopiero kiedy przejechał

jakieś dwadzieścia metrów, zdecydował się zawrócić. Potem pełnym gazem odjechał, zagryzając z wściekłości usta.

## 21.

Fermín zasznurowany w worze mógł polegać już tylko na słuchu.

- No, mamy szczęście, człowieku - powiedział strażnik żółtodziób.

- Fermín już zasnął - odezwał się doktor Sanahuja.

- Niektórzy to mają fart - skwitował strażnik. - Tam leży. Możecie go już sobie zabrać.

Fermín usłyszał obchodzące go kroki i serce skoczyło mu do gardła, kiedy poczuł, jak jeden z grabarzy wziął się do poprawiania wężła: wpierw go rozwiązał, by następnie ściągnąć sznur i zawiązać wór jak najmocniej. We dwójkę unieśli nieco pakunek i bez większych ceregieli zaczęli go taszczyć po kamiennej podłodze. Zatrwożonemu Fermínowi nie drgnął ani jeden mięsień. Bezlitosne uderzenia o stopnie, narożniki, drzwi i płyty raz po raz przeszywały bólem jego ciało. Uniósł pięść do ust i zagryzł, żeby nie wyć. Po dłuższym czasie poczuł gwałtowną zmianę temperatury, zniknęło też klaustrofobiczne echo rozlegające się we wnętrzu zamku. Znaleźli się na zewnątrz. Przetaszczyli go po wybrukowanym i pełnym kałuż podłożu. Ziąb natychmiast przeniknął przez brezent.

Wreszcie poczuł, jak go unoszą i rzucają w pustkę. Wylądował na drewnianej chyba powierzchni.

Kroki się oddaliły. Fermín odetchnął głęboko. Wnętrze worka cuchnęło ekskrementami, zgniłym mięsem i ropą naftową. Usłyszał hurgot uruchamianego silnika ciężarówki i poczuł nagłe szarpnięcie.

Pojazd ruszył w dół, co spowodowało, że wór potoczył się do tyłu. Zrozumiał, że samochód z wolna oddala się w dół stoku tą samą drogą, którą Fermín wjechał kilka miesięcy temu. Pamiętał, że wjazd na górę trwał długo i był bardzo kręty. Teraz jednak odczuł, że samochód dość szybko znalazł się na innej drodze, gruntowej, na płaskim terenie. Zjechali gdzieś w bok i Fermín był pewien, że wcale nie zjeżdżają z góry do miasta. Coś poszło nie tak.

Dopiero wtedy zdołał dopuścić do siebie myśl, że być może Martin nie wziął wszystkiego pod uwagę, że coś mogło mu umknąć, że przeoczył jakiś szczegół. Na dobrą sprawę przecież nikt nie miał całkowitej pewności, co naprawdę robią ze zwłokami więźniów.

Może Martinowi nie przyszło na myśl, że równie dobrze mogą wrzucać ciała do pieca w jakiejś kotłowni, likwidując je bez śladu. Wyobraził sobie Salgada, który obudzony się ze swego chloroformowego letargu, zaśmiewa się do łez, powtarzając sobie, że Fermín Romero de Torres, czy jak go tam zwali, nim go ogień piekielny pochłonał, spłonął już za życia.

Samochód jechał jeszcze kilka minut. Niebawem, kiedy pojazd zaczął zwalniać, Fermín poczuł to po raz pierwszy. Fetor, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuł. Serce mu się ścisnęło i gdy owe nieprawdopodobne opary przyprawiły go o mdłości, z całej duszy pożałował, że posłuchał tego wariata Martina i nie został w celi.



## 22.

Pan naczelnik wrócił na zamek Montjuic, wysiadł z samochodu i szybko ruszył do swojego gabinetu. Jego sekretarz siedział wciśnięty za swoje maleńkie biurko na wprost drzwi i wystukiwał dwoma palcami na maszynie bieżącą korespondencję.

- Zostaw to i każ tu przyprowadzić natychmiast tego sukinsyna Salgada - rozkazał.

Sekretarz spojrział nań skonsternowany, wahając się, czy otworzyć w ogóle usta.

- Rusz się. Nie siedź jak mumia.

Sekretarz wstał wylękniony, unikając wściekłego wzroku zwierchnika.

- Salgado umarł, panie naczelniku. Dziś w nocy...

Val s zamknął oczy i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Panie naczelniku...

Val s, nie bawiąc się w jakiegokolwiek wyjaśnienia, pobiegł, by zatrzymać się dopiero przy celi numer 13. Strażnik, ujrawszy go, wyszedł ze swej dyżurki i zasalutował na powitanie.

- Wasza ekscelencjo, melduję...

- Otwieraj, szybko.

Strażnik otworzył celę. Val s wszedł, nie zastanawiając się ani sekundy. I bez zastanowienia podszedł do pryczy. Położywszy dłoń na ramieniu leżącego na niej ciała, potrząsnął nim gwałtownie, a następnie szarpnął. Salgado przewrócił się na plecy. Val s pochylił się nad nim i powąchał oddech.

Wyprostował się i odwrócił do strażnika patrzącego nań oczyma pełnymi przerażenia.

- Gdzie jest ciało?

- Zabrali je grabarze...

Val s uderzył go na odlew w twarz. Strażnik upadł. Przed celę przybiegło dwóch żołnierzy i czekało na instrukcje pana naczelnika.

- Chcę go żywego - powiedział im.

Obaj skinęli głowami i oddalili się szybkim marszem. Val s stał w korytarzu oparty o pręty celi Martina i doktora Sanahujy. Strażnik, który

wstał, nie śmiać nawet oddychać, odniósł wrażenie, że pan naczelnik zaczął się śmiać.

- Pański pomysł, jak miemam, nieprawdaż, Martin? - zapytał w końcu Val s.

Pan naczelnik złożył ukłon, odwrócił się i odchodząc korytarzem, zaczął powoli klaskać.

## 23.

Fermín wyczuł, że samochód zwalnia, pokonując ostatnie wyboje na drodze gruntowej. Po kilku minutach jęków i zgrzytów pojazdu silnik zamilkł. Fetor przenikający brezent wóra był wszechobecny.

Dwaj grabarze podeszli do tylnej części ciężarówki. Fermín usłyszał skrzypnięcie skobelków, dźwięk otwieranej klapy, a potem nagle poczuł silne szarpnięcie.

Spadając, walnął bokiem o ziemię. Ostry ból rozpełzł się po jego ramieniu. Nim zdążył jakkolwiek zareagować, obaj grabarze złapali wór, każdy z jednego końca, podnieśli go z kamienistej gleby i zaczęli taszczyć pod górę, by po kilkunastu metrach się zatrzymać. Znowu puścili wór z rąk. Fermín usłyszał, jak jeden z nich klęka i zabiera się do rozsypywania sznura. Kroki drugiego oddaliły się kawałek. Fermín zdołał usłyszeć, że podnosi coś metalowego. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale unoszące się miazmaty paliły gardło. Zamknął oczy. Poczował na twarzy powiew zimnego powietrza.

Jeden z grabarzy złapał za koniec worka i pociągnął z całej siły. Ciało Fermína potoczyło się po kamieniach i kałużach.

- No dobra, na trzy - odezwał się drugi z nich.

Złapali go za nadgarstki i kostki. Fermín resztką sił wstrzymywał oddech.

- Ty, on się chyba poci.

- A ty co? Trup ci się poci? Z chujem żeś się na łby pozamieniał? Mokry jest od kałuż. No już. Raz, dwa i...

Trzy. Fermín poczuł, jak bujają go w powietrzu. W chwilę później leciał już, zdając się tylko na łaskę lub niełaskę losu. Otworzył oczy w locie. Zanim uderzył o ziemię, zdołał zobaczyć, że spada do dołu wykopanego na zboczu góry. wiatło księżyca pozwalało jedynie dostrzec sinawą biel pokrywającą dno. Fermín był pewien, że to kamienie, i w brakującym do zderzenia z ziemią ułamku sekundy spokojnie uznał, że mu już wszystko jedno i właściwie może umrzeć.

Podłoże nie było twarde. Fermín poczuł, że jego ciało spadło na coś miękkiego i wilgotnego. Pięć metrów nad nim jeden z grabarzy zamachnął się łopatą. Chmura białawego pyłu rozpadła się w lśniącą

mgiełkę, która zaczęła osiadać na jego skórze, a później ją przeżerać jak kwas. Obaj grabarze oddalili się i Fermín wstał, by odkryć, że znajduje się w dole pełnym zwłok obsypanych niegaszonym wapnem. Spróbował strzepać z siebie ten ognisty pył i z trudem wyciągając nogi spomiędzy zwłok, ciągle się między nie zapadając, dowlóknął się do urwistego brzegu dołu. Zaczął się wspinać, wrzynając się palcami w ziemię, nie zważając na ból.

Kiedy dotarł na górę, zdołał jeszcze doczołgać się do kałuży, w której się wytarzał, usiłując zmyć wapno. Wstał i zobaczył ginące w dali światła ciężarówki. Odwrócił się na chwilę i ujrzał u swoich stóp dół niczym ocean martwych, poplątanych ciał. Mdłości obezwładniły go. Padł na kolana, zaczął

wymiotować żółcią i krwią. Fetor śmierci i paniczny strach utrudniały mu oddychanie. Usłyszał w dali jakiś warkot. Uniósł wzrok i zobaczył reflektory dwóch nadjeżdżających samochodów. Rzucił się biegiem w dół stoku i dotarł do małej równi, z której widać było morze u stóp góry i latarnię portową na końcu falochronu.

W górze, pośród wlokących się czarnych chmur, co jakiś czas zasłaniających księżyc, widniał

zamek Montjuic. Warkot samochodów narastał. Fermín bez namysłu ruszył stromizną w dół, przewracając się co chwila, staczając się, uderzając o pnie i przedzierając się przez cierniste zarośla, które zdierały z niego skórę. Już nie czuł ani bólu, ani strachu, ani zmęczenia. Wytoczywszy się wreszcie na drogę, pobiegł w kierunku hangarów portowych.

Biegł bez przerwy, bez wytchnienia, nie mając pojęcia, jak długo już biegnie, i nie czując w ogóle ran pokrywających jego ciało.

## 24.

Dniało już, kiedy Fermín dotarł do bezkresnego labiryntu lepianek na plaży w Somorrostro.

Pełznąca znad morza mgła świtu wiła się niczym serpentyny pomiędzy dachami. Fermín zagłębił się w plątaniu wąziutkich uliczek miasta biedaków. Kiedy nie mógł już zrobić ani kroku, upadł bez sił pomiędzy dwoma zwałami gruzu. Tam znalazły go obdarte dzieciaki, które ciągnęły za sobą jakieś drewniane skrzynki i zatrzymały się na widok tej wychudzonej jak szkielet postaci, zdającej się krwawić wszystkimi porami ciała.

Fermín uśmiechnął się do nich i pokazał palcami znak wiktorii. Dzieciaki popatrzyły po sobie. Jeden z nich powiedział coś, czego Fermín nie zdołał usłyszeć. Skrajnie wyczerpany zobaczył jeszcze tylko na wpół otwartymi oczyma, jak cztery osoby unoszą go z ziemi i układają na jakimś barłogu, w pobliżu ognia. Poczuł rozplywające się po skórze ciepło i powoli odzyskał czucie w nogach, dłoniach i ramionach. Ból przyszedł później niczym powolna, ale bezlitosna fala. Wokół niego obce kobiety szeptały niezrozumiałe słowa. Zdjęły z niego resztę łachmanów, które jeszcze miał na sobie. Szmutki namoczone w ciepłej wodzie i kamforze pieściły z niezwykłą delikatnością jego udręczone nagie ciało.

Otworzył oczy, czując na czole dotyk czyjejś dłoni, i napotkał zmęczone, mądre spojrzenie staruszki.

- Skąd przychodzisz? - zapytała kobieta, którą Fermín, w malignie wziął za swoją matkę.

- Spośród umarłych, matko - wydusił z trudem. - Powróciłem spośród umarłych.

**Część trzecia. - Urodzić się raz jeszcze.**

1.

### **Barcelona, 1940**

Informacje o wydarzeniach w starej fabryce Vilardel nigdy nie pojawiły się w prasie barcelońskiej.

Nikomu nie zależało na tym, by owa historia ujrzała światło dzienne. To, co tam miało miejsce, pamiętają jedynie ci, którzy przy tym byli. Tej samej jeszcze nocy, podczas której Mauricio Val s wrócił

do zamku i dowiedział się, że więzień numer 13 uciekł, inspektor Fumero z sił bezpieczeństwa otrzymał od pana naczelnika informację wcześniej uzyskaną w wyniku cynku jednego z więźniów.

Przed wschodem słońca Fumero i jego funkcjonariusze już znajdowali się na swoich pozycjach.

Inspektor postawił dwóch ludzi na czujce, by dozorowali najbliższą okolice, resztę zaś skoncentrował przy głównym wejściu, z którego, tak jak przekazał Val s, można było zobaczyć stróżówkę. Pośród ruin wciąż leżało ciało bohaterskiego szofera naczelnika więzienia, Jaimego Montoi, który zgłosił się na ochotnika, by osobiście sprawdzić prawdziwość otrzymanych od jednego z więźniów doniesień o ukrywających się tam elementach wywrotowych. Tuż przed świtem Fumero wydał swoim ludziom rozkaz wejścia do starej fabryki. Otoczyli stróżówkę i kiedy okupujący ją lokatorzy, dwóch mężczyzn i jedna kobieta, zauważyli ich obecność, było właściwie po wszystkim, nie licząc drobnego i właściwie nieznaczącego incydentu, kiedy kobieta strzeliła do jednego z funkcjonariuszy i trafiła go w ramię. Rana była niewielka, draśnięcie zaledwie. Unieszkodliwienie buntowników zajęło inspektorowi Fumero i jego ludziom trzydzieści sekund.

Po obezwładnieniu całej trójki Fumero rozkazał z powrotem zamknąć ich w stróżówce. Polecił

również przenieść tam ciało zabitego szofera. Inspektor nie zażądał żadnych dokumentów i nie pytał o nazwiska. Kazał swoim ludziom skrępować nogi i ręce buntowników drutem kolczastym i przywiązać ich do pordzewiałych metalowych krzeseł rzuconych W kąt. Kiedy buntowników już unieruchomiono, Fumero polecił funkcjonariuszom, by wyszli na zewnątrz, zostawiając go samego w środku z więźniami, i

czekali przy drzwiach na dalsze instrukcje. Zamknął za nimi drzwi i usiadł na wprost związanych.

- Nie spałem całą noc i jestem zmęczony. Chcę już iść do domu. Powieście mi tylko, gdzie są pieniądze i kosztowności, które ukrywacie dla niejakiego Salgada, i święty spokój, rozchodzimy się, każdy w swoją stronę. Zgoda?

Więźniowie przyglądali mu się tyleż zaskoczeni, co przerażeni.

- Nic nie wiemy o żadnych kosztownościach i żadnym Salgadzie - odezwał się najstarszy z całej trójki mężczyzna.

Fumero przytaknął z niejakim znudzeniem i obrzydzeniem.

Opieszale przesunął swój wzrok po trójce więźniów, tak jakby potrafił czytać w ich myślach, ale te go nudziły. Wahał się przez jakiś czas, w końcu zdecydował się wybrać kobietę i przysunął jej krzesło jak najbliżej do siebie. Kobieta trzęsa się cała.

- Zostaw ją w spokoju, skurwysynu - splunął młodszy mężczyzna. - Spróbuj jej tylko dotknąć, a przysięgam, że cię zabiję.

Fumero uśmiechnął się melancholijnie.

- Masz bardzo ładną narzeczoną.

Navas, funkcjonariusz stojący przy drzwiach stróżówki, czuł, jak zimny pot przemacza mu ubranie.

Udawał, że nie słyszy krzyków dochodzących ze stróżówki, a kiedy towarzysze spod bramy fabryki rzucili w jego stronę ukradkowe spojrzenie, Navas przecząco pokręcił głową.

Nikt się słowem nie odezwał. Fumero siedział w stróżówce już od trzydziestu minut, kiedy nagle za plecami Navasa otworzyły się drzwi. Funkcjonariusz przesunął się w bok, starając się nie patrzeć na mokre plamy pokrywające czarne ubranie inspektora. Fumero powoli oddalił się ku bramie, a Navas, rzuciwszy przelotne spojrzenie w głąb stróżówki, powstrzymał mdłości i zamknął drzwi. Na znak Fumera dwóch ludzi podeszło z dwoma kanistrami benzyny i polali nią ściany stróżówki. Nawet nie przystanęli, by popatrzeć, jak płonie.

Fumero czekał na nich na tylnym siedzeniu, kiedy wrócili do samochodu. Ruszyli w milczeniu, podczas gdy słup płomieni i dymu unosił się między ruinami starej fabryki, zostawiając za sobą chmurę popiołów rozwiewanych przez wiatr. Fumero odkręcił okienko i wysunął otwartą dłoń na zimne i wilgotne powietrze. Jego palce były czerwone

od krwi. Navas prowadził ze wzrokiem utkwionym przed siebie, chociaż w oczach miał jedynie błagalne spojrzenie, które posłała mu młoda, jeszcze żyjąca kobieta, zanim zamknął drzwi. Zauważył, że Fumero mu się przypatruje, więc ścisnął mocniej kierownicę, aby ukryć drżenie dłoni.

Z chodnika przyglądała się przejeżdżającemu autu grupa dzieci w łachmanach. Jeden z chłopców, wyciągając rękę, jakby miał w niej pistolet, zaczął udawać, że strzela do policjantów. Fumero uśmiechnął się i odpowiedział tym samym gestem. Samochód zniknął w kłębowisku ulic otaczających dżunglę kominów i hał, jakby go nigdy tam nie było.



## 2.

Fermín przez tydzień leżał w malignie. Żaden zwilżony ręcznik nie mógł złagodzić trawiącej go gorączki, żadna mikstura przynieść ulgi w chorobie, która, jak powiadali, zżerała go od środka.

Staruszki z sąsiedztwa czuwały przy nim na zmianę i robiły, co mogły, żeby utrzymać go przy życiu.

Uważały, że nieznajomy jest opętany przez demona, demona wyrzutów sumienia, i że jego dusza rwie się, by uciec aż do końca czarnego tunelu.

Siódmego dnia mężczyzna, na którego wołano Armando i którego autorytet w tym miejscu porównywalny był z autorytetem samego Pana Boga, wszedł do baraku i usiadł przy pościeli chorego.

Przyjrzał się jego ranom, uniósł jego powieki i odgadł sekrety czające się w rozszerzonych źrenicach.

Staruszki pielęgnujące Fermína stanęły kołem za plecami Armanda i czekały w pełnym szacunku milczeniu. Po chwili Armando kilka razy pokiwał głową i wyszedł z chałupy. Dwóch młodych ludzi czekających na niego w progu poszło za nim aż do miejsca, gdzie fale rozbijały się o brzeg. Tam wysłuchali uważnie jego instrukcji, a potem odeszli. Armando patrzył za nimi, siedząc na szczątkach zdruzgotanej przez sztorm łodzi rybackiej, która osiadła na zawsze na piasku.

Zapalił krótkiego papierosa, osłaniając zapałkę przed powiewem porannej bryzy, i zaciągnął się głęboko. Pałac i zastanawiając się, co powinien zrobić, wyciągnął z kieszeni wycinek z „La Vanguardi”, z którym nie rozstawał się od paru dni. Spośród reklam bielizny wyszczuplającej i zapowiedzi rozmaitych kabaretowych widowisk w Paralelo wyzierała skromna notka informująca o ucieczce więźnia z Montjuic. Tekst miał ów sterylny posmak, jakim charakteryzują się artykuły przytaczające słowo w słowo oficjalne komunikaty. Jedynym odautorskim komentarzem, na który pozwolił sobie redaktor, była wzmianka o tym, że nikt wcześniej nie zdołał zbiec z tej niezdobytej twierdzy.

Armando uniósł wzrok i spojrzał zadumany na wznoszącą się na południu górę Montjuic.

Wynurzający się z mgły zamek zwieńczony szpiczastymi wieżami złowrogo górował nad Barceloną.

Armando uśmiechnął się gorzko, podpalił wycinek i patrzył z zadowoleniem, jak papier powoli zmienia się w popiół. Gazety, zgodnie ze swą odwieczną strategią, jak mogły, unikały mówienia prawdy. Może i miały rację... Cała ta notka na kilometr śmierdziała niedopowiedzeniami i starannie ocenzurowanymi niewygodnymi szczegółami. I to, że nikt wcześniej nie zdołał uciec i z więzienia w Montjuic? Chociaż być może w tym akurat punkcie autor się nie pomylił, gdyż mężczyzna zwany Armandem był kimś tylko w niewidzialnym świecie miasta nędzarzy i niedotykalnych. Są takie miejsca i takie czasy, kiedy bycie nikim przynosi większy zaszczyt niż bycie kimś.

### 3.

Dni wlokły się nieznośnie. Armando co dzień zaglądał do chaty, by zapytać o stan zdrowia mężczyzny, ciągle zawieszzonego pomiędzy życiem a śmiercią.

Gorączka zdawała się nieznacznie ustępować, a rany, otarcia i oparzenia, którymi pokryte było całe ciało chorego, goiły się powoli pod dobroczynnym działaniem maści. Nieznajomy przez większość dnia spał, a kiedy się budził, mamrotał w malignie jakieś niezrozumiałe dla nikogo słowa.

- Przeżyje? - pytał czasem Armando.

- Jeszcze się nie zdecydował - odpowiadała sterana życiem kobieta, którą nieszczęśnik wziął za swoją matkę.

Dni zmieniły się w tygodnie i było coraz bardziej oczywiste, że nikt nie przyjdzie zapytać o nieznajomego. Nikt przecież nie wkłada zbytniego wysiłku w szukanie czegoś, czego tak naprawdę nie chce odnaleźć. Ani policja, ani Gwardia Obywatelska nie zaglądały zwykle do Somorrostro. Niepisane prawo stanowiło, że miasto i świat kończą się u wejścia do osady lepianek, i obie strony traktowały tę granicę jako nieprzekraczalną. Armando doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wielu z tamtej strony modliło się w duchu, albo i całkiem otwarcie, o burzę, sztorm albo inną klęskę żywiołową, która raz na zawsze zmiecie miasto nędzarzy z powierzchni ziemi. A dopóki istniało, większość mieszkańców Barcelony wołała patrzeć w inną stronę, odwrócić się plecami do plaży i ludzi, którzy żyli tu w skrajnej nędzy, w labiryncie chatki wciśniętych pomiędzy brzeg morza a dżunglę fabryk Pueblo Nuevo. Tym razem jednak Armada dręczyły wątpliwości. Mogło się okazać, że burzliwa bez wątpienia przeszłość mężczyzny, którego do siebie przyjęli, znaczy więcej niż niepisane prawo.

Armando się nie mylił - po kilku tygodniach od przybycia Fermína dwóch policjantów nowicjuszy niespodziewanie zjawili się w osadzie. Pytali, czy nie widziano tu przypadkiem mężczyzny, który z ich opisu przypominał nieznajomego. Po ich wizycie Armando wzmógł czujność przez kilka kolejnych dni, ale gdy nikt więcej nie wrócił, by zapytać o przybysza, zrozumiał, że tego mężczyzny w rzeczywistości nikt nie

chciał odnaleźć. Być może nawet był już martwy, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

Półtora miesiąca od dnia przybycia do osady stan zdrowia chorego zaczął się zdecydowanie poprawiać. Kiedy otworzył wreszcie oczy i zapytał, gdzie jest, kobiety pomogły mu się podnieść na pościeli i dały parę łyżek bulionu, ale nie odpowiedziały.

- Musi pan odpoczywać.

- Czy ja jeszcze żyję? - zapytał.

Nikt nie kwapił się, by rozwiać jego wątpliwości. Mężczyzna nadal przez większość dnia spał.

Zmęczenie za nic nie chciało go opuścić. Za każdym razem, kiedy się mu poddawał i zamykał oczy, przenosił się znów w to samo miejsce. W swym powracającym noc w noc śnie wspinał się po zrębie ogromnej zbiorowej mogiły. Kiedy wydostawał się z niej i spoglądał w dół, spostrzegał z przerażeniem, że upiorne morze martwych ciał zaczyna falować u jego stóp i wić się jak ławica węgorzy. Umarli otwierali oczy, wspinali się po ścianach mogiły i wreszcie wydostawali się z niej. Potem biegli za nim w dół zbocza Montjuic i wpadali na barcelońskie ulice, w poszukiwaniu tych, których kiedyś kochali.

Dobijali się do swoich własnych drzwi. Niektórzy przemierzali miasto spragnieni zemsty, próbując wpaść na trop swych oprawców, ale większość chciała tylko powrócić do swoich domów, swoich łóżek, wziąć na ręce swoje dzieci, przytulić żony i kochanki, których nikt już nie przytulał. Nikt wszakże nie otwierał im drzwi, nikt nie rzucał się im w objęcia, nikt nie całował ich ust... Wtedy zawieszony między życiem a śmiercią mężczyzna budził się z tego koszmaru, cały złany potem, ciągle jeszcze mając w uszach rozpaczliwy szloch umarłych. Do chorego zaczęto docierać, że ów mężczyzna odwiedza go prawie codziennie. Pachniał tytoniem i wodą kolońską, artykułami w tamtych czasach więcej niż luksusowymi. Przystawiał sobie krzesło do łóżka rekonwalescenta i patrzył na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Miał włosy czarne jak smoła i bardzo ostre rysy. Kiedy chory otwierał oczy, mężczyzna uśmiechał się do niego.

- Jest pan Bogiem czy diabłem? - zapytał kiedyś pacjent.

Mężczyzna wzruszył ramionami i zastanowił się nad pytaniem.

- Po trochu tym i tym - odparł w końcu.

- Ja w zasadzie jestem ateistą - wyjaśnił pacjent. - Chociaż w głębi duszy mam chyba wielką wiarę.

- Nie jest pan jedyny. Niech pan teraz odpoczywa, przyjacielu. Niebo może jeszcze poczekać. A piekło jest dla pana za małe.

#### 4.

Między kolejnymi wizytami dziwnego mężczyzny o kruczoczarnych włosach rekonwalescent pozwalał karmić się, myć i ubierać w czystą, za dużą nań odzież. Kiedy potrafił już utrzymać się na nogach i postawić parę kroków, towarzyszą mu na brzeg morza, a tam mógł sobie moczyć stopy i wygrzewać się w śródziemnomorskim słońcu. Któregoś dnia patrzył przez kilka przedpołudniowych godzin, jak dzieci w łańchmanach i z brudnymi twarzami bawią się w piasku, i pomyślał, że chce żyć, przynajmniej jeszcze troszeczkę. Z biegiem czasu zaczęły nękać go wspomnienia i rosła w nim wściekłość, a z nią chęć powrotu do miasta i zarazem strach przed powrotem.

Nogi, ręce i inne części ciała funkcjonowały mniej lub bardziej normalnie. Znow zaczął odczuwać ową specyficzną przyjemność sikania z wiatrem bez pieczenia i innych wstydliwych przypadłości, więc uznał w duchu, iż mężczyzna, który potrafi sikać na stojąco, bez niczyjej pomocy, jest mężczyzną zdolnym do stawienia czoła czekającej go odpowiedzialności. Tej samej nocy wstał cichutko o świcie i oddalił się wąziutkimi uliczkami cytadeli aż do granicy wyznaczonej przez tory kolejowe. Po drugiej stronie wznosił się las kominów i pasmo nagrobnych aniołów, i mauzoleum cmentarza. Dalej, na świetlistym obrazie wznoszącym się po wzgórzach, majaczyła Barcelona. Usłyszał kroki za plecami.

Gdy się odwrócił, napotkał łagodne spojrzenie mężczyzny o kruczoczarnych włosach.

- Raz jeszcze się pan urodził - powiedział.

- No to może tym razem pójdzie mi lepiej niż za pierwszym, bo w tamtym życiu, szkoda gadać...

Mężczyzna o kruczoczarnych włosach uśmiechnął się.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. Jestem Armando, Cygan.

Fermín uściśnął mu dłoń.

- Fermín Romero de Torres, gadzio, ale stosunkowo swojski gadzio.

- Przyjacielu Fermínie, odnoszę wrażenie, że myśli pan wrócić między tamtych.

- Ciągnie wilka do lasu - przyznał Fermín. - Parę rzeczy powinienem jeszcze dokończyć.

Armando przytaknął.

- Rozumiem, ale jeszcze nie teraz, przyjacielu - powiedział mu. - Proszę o cierpliwość. Proszę z nami zostać jakiś czas.

Strach przed tym, co go czeka, kiedy tam wróci, jak również szlachetność i szczodrość tych ludzi zatrzymały go w tamtym miejscu, póki pewnej niedzieli rano nie pożyczył gazety od chłopaka, który wziął ją z kosza przy plażowym barku na Barcelonecie. Trudno było stwierdzić, jak długo gazeta leżała w śmieciach, ale na pewno wydano ją trzy miesiące od dnia jego ucieczki.

Przepatrzył wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś znaku, śladu, wzmianki jakiejś, ale nic tam nie było. Tego popołudnia, kiedy Fermín już postanowił, że po zmierzchu wróci do Barcelony, Armando podszedł doń i poinformował go, że jeden z jego ludzi zaszedł na stację, na której Fermín przedtem mieszkał.

- Fermínie, lepiej będzie, jeśli nie pójdzie pan tam po swoje rzeczy.

- A skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?

Armando uśmiechnął się, zbywając pytanie.

- Policja poinformowała ich, że pan nie żyje. Mała informacja o pańskiej śmierci opublikowana została w dziennikach wiele tygodni temu. Nic chciałem panu o tym mówić, bo jak przypuszczam, czytanie doniesień o własnej śmierci w trakcie rekonwalescencji nie dodaje animuszu.

- A na co umarłem?

- Spadł pan ze stromizny, kiedy usiłował pan zbiec przed sprawiedliwością.

- To znaczy jestem martwy?

- Jak łacina.

Fermín zastanowił się nad swoim nowym statusem.

- I co teraz ze mną będzie? Co mam robić? Dokąd pójść? Nie mogę zostać tu na zawsze, bo nadużywałbym waszej dobroci i wystawiał was na niebezpieczeństwo.

Armando usiadł koło niego i zapalił jednego z tych papierosów, które sam sobie skręcał i które pachniały eukaliptusem.

- Fermínie, może pan robić, co się panu żywnie podoba, bo pan nie

istnieje. Nawet skłonny jestem panu powiedzieć, żeby został pan z nami, gdyż teraz jest pan jednym z nas, czyli człowiekiem bez imienia, nigdzie niezameldowanym, niefigurującym w żadnym rejestrze. Jesteśmy widmami. Ludźmi niewidzialnymi. Ale wiem, że musi pan wrócić i dokończyć to, co ma pan tam do dokończenia.

Niestety, kiedy pan nas opuści, nie będę już mógł pana chronić.

- Zrobił pan dla mnie już wystarczająco dużo.

Armando poklepał go po ramieniu, po czym wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał mu ją.

- Niech pan zniknie z miasta jeszcze na jakiś czas. Najlepiej na rok.

A kiedy pan wróci, to niech pan zacznie od tego - powiedział na odchodnym.

Fermín rozłożył kartkę i przeczytał: FERNANDO BRIANS

Adwokat

Cal e de Caspe 12, Mansarda la Barcelona Telefon: 564375

- Jak mogę odwdzińczyć się wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście?

- Kiedy załatwi pan już wszystkie swoje sprawy, proszę zajrzeć któregoś dnia tutaj i zapytać o mnie.

Najpierw pójdziemy na występ Carmen Amai, a później opowie mi pan, jak udało się panu stamtąd zwać. Zżera mnie ciekawość - odparł Armando.

Fermín spojrzał w czarne oczy swego rozmówcy i pokiwał głową.

- W której był pan celi, Armando?

- W trzynastej.

- Te znaki krzyża na ścianie to pańskie ślady?

- W odróżnieniu od pana jestem wierzący, ale utraciłem wiarę.

Tego wieczoru nikt nie zatrzymywał go ani się z nim nie pożegnał. Odszedł jako jeszcze jeden pośród innych niewidzialnych, ku ulicom Barcelony, nad którą zbierały się naładowane elektrycznością chmury. Idąc, zobaczył z oddali wieże Sagrada Familia spowite kłębamii czerwonych chmur zwiastujących biblijną ulewę. Nogi same poniosły go do dworca autobusowego przy ulicy Trafalgar. W

kieszeniach płaszczka podarowanego mu przez Armanda znalazł pieniądze. Kupił bilet na najdłuższą z istniejących tras i spędził całą noc w autobusie jadącym pustymi drogami w strugach deszczu.



Następnego dnia zrobił to samo i w ten sposób, po całodniowych podróżach pociągami, pieszych wędrówkach i kolejnych nocach spędzonych w autobusach, dotarł tam, gdzie ulice nie miały nazw, a domy - numerów; gdzie nikt go nie pamiętał.

Imał się tysiąca zajęć, ale nie zaprzyjaźnił się z nikim. Co zarobił, to wydał. Czytał książki opowiadające o świecie, w który on już nie wierzył. Żył na przekór wspomnieniom i na przekór wyrzutom sumienia. Od czasu do czasu wchodził na jakiś most albo stawał na krawędzi zbocza i spoglądał spokojnie w przepaść. Ale zawsze w ostatniej chwili stawała mu w pamięci obietnica dana Więźniowi Nieba i jego spojrzenie. Gdy upłynął rok, opuścił wynajęty pokój nad barem, wziął z sobą przypuszczalnie jedyny egzemplarz ze wszystkich książek Martina, który ocalał przed spalaniem -

powieść z serii „Miasto Przeklętych”, wypatrzoną kiedyś, zupełnie przypadkiem, na bazarku i czytaną potem nieustannie, przynajmniej kilkanaście razy, i poszedł pieszo na oddalony o dwa kilometry dworzec kolejowy, gdzie kupił czekający na niego przez te wszystkie miesiące bilet.

- Jeden do Barcelony poproszę.

Kasjer wystawił bilet i spojrzał pogardliwie na podróżnego.

- Nie zazdroszczę - powiedział. - Po cholere pan jedzie do tych zasranych Katalońców?

## 5.

### **Barcelona, 1941**

Zapadała noc, kiedy Fermín wysiadł z pociągu na dworcu Francia.

Lokomotywa wypluła z siebie kłęby pary i sadzy, które rozpełzały się teraz po peronie, przysłaniając stopy pasażerów wysiadających z wagonów po długiej podróży. Fermína pochłonął płynący ku wyjściu tłum: obdarte kobiety, z trudem dźwigające ściśnięte pasami walizki, przedwcześnie postarzały mężczyźni, którzy mieścili cały swój dobytek w podróżnym tobołku, dzieci o przejmująco smutnych oczach.

Dwóch funkcjonariuszy Gwardi Obywatelskiej strzegło wejścia na peron. Fermín z niepokojem patrzył, jak błędzą wzrokiem pomiędzy pasażerami, wybierając na chybił trafił tych, których później legitymowali. Fermín szedł dalej pewnym krokiem wprost na jednego z nich. Gdy od funkcjonariusza dzieliło go zaledwie kilkanaście metrów, Fermín poczuł na sobie jego spojrzenie. Przypomniał sobie fragment jednej z powieści Martina, towarzyszącej mu wiernie przez wszystkie te miesiące, której bohater twierdził, że najlepszym sposobem na pokrzyżowanie szyków władzy jest zwrócić się do niej, nim ona zdąży zwrócić się do ciebie.

Zanim funkcjonariusz zdołał wskazać na niego palcem, Fermín podszedł do niego i zapytał

spokojnym głosem: - Dobry wieczór, panie władzo. Byłby pan tak uprzejmy, by wskazać mi, gdzie znajduje się hotel Porvenir? Powiedziano mi, że mam go szukać przy placu Palacio, ale zupełnie nie znam miasta.

Funkcjonariusz przyjrzał mu się badawczo, nieco zbity z tropu. Jego kolega zbliżył się i stanął tuż obok.

- Będzie pan musiał zapytać o to przy wyjściu - powiedział pierwszy mało przyjaznym tonem.

Fermín pokornie przytaknął.

- Tak też zrobię. Przepraszam za kłopot.

Już ruszał w kierunku hali dworcowej, kiedy drugi z funkcjonariuszy złapał go za ramię.

- Plac Palacio jest na lewo od wyjścia ze stacji. Naprzeciwko

Dowództwa Garnizonu.

- Dziękuję bardzo. Życzę panom dobrej nocy.

Funkcjonariusz puścił go i Fermín oddalił się spokojnie, starając się nie przyspieszać nerwowo kroku, aż wreszcie doszedł do hali i opuścił dworzec.

Szkarłatne niebo wisiało nad czarną Barceloną, powoli zacierając ciemne i szpiczaste sylwetki budynków. Pustawy tramwaj włókł się, rzucając przed sobą snop bladego światła. Fermín poczekał, aż tramwaj przejedzie, i przeszedł na drugą stronę ulicy. Przeskakując przez błyszczące szyny, spojrzał

przez chwilę w głąb Paseo Colón, na wyrastającą w dali górę Montjuic i zamek na jej szczycie. Spuścił

wzrok i ulicą Comercio skierował się na targ Borne. Ulice były wyludnione, a między zaułkami hulał

zimny wiatr. Fermín zrozumiał, że nie ma dokąd pójść.

Przypomniał sobie, jak Martin opowiadał mu, że wiele lat temu mieszkał nieopodal w starym domu wbitym w wąziutki wąwóz cieni ulicy Flassaders tuż przy fabryce czekolady Mauri. Udał się tam, ale na miejscu przekonał się, że zarówno ten, jak i sąsiedni budynek zostały zrównane z ziemią w wyniku bombardowań w czasie wojny. Władze nie spieszyły się, by odgruzować teren, okoliczni mieszkańcy zaś, usiłując utorować sobie przejście ulicą węższą niż korytarze niejednego mieszkania w bogatszej dzielnicy, jedynie odsunęli gruz i szczątki na bok.

Fermín się rozejrzał. W oknach ledwo tliły się mdławe światełka nielicznych żarówek i świec.

Fermín wszedł w rumowisko, omijając zwały gruzu, połamane gargulce i belki tworzące niewyobrażalne konstrukcje. Poszukując w miarę osłoniętego zakamarka, schronił się za kamieniem, na którym widniał jeszcze numer 17 dawnego domu Davida Martina.

Rozłożył palto, zwinął się w kłębek i jak mógł, okrył się gazetami. Zamknął oczy z nadzieją, że uda mu się zasnąć.

Minęło pół godziny i ziąb zaczął przejmować go do kości. Wilgotny wiatr myszkował w ruinach, wciskał się do szpar i szczelin. Fermín otworzył! oczy i wstał. Zaczął rozglądać się za bardziej osłoniętym miejscem, kiedy zobaczył obserwującą go z ulicy postać. Zamarł w

bezruchu. Postać ruszyła w jego kierunku.

- Kto tam się szwenda? - zabrzmiał głos.

Postać przybliżyła się o parę kroków, by stanąć w poświacie dalekiej latarni. Był to wysoki, silny mężczyzna ubrany na czarno. Fermín zatrzymał wzrok na szyi. Ksiądz. Fermín uniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Już sobie idę, ojczy. Proszę nie wzywać policji.

Ksiądz przyjrzał mu się uważnie. Spojrzenie miał surowe, a jego wygląd wskazywał, że pół życia spędził raczej na dźwiganiu worków w pocie czoła niż na podnoszeniu hostii .

- Jest pan głodny? - zapytał.

Fermín, który natychmiast rzuciłby się na którykolwiek z leżących obok kamieni, gdyby tylko ktoś skropił je odrobiną oliwy, zaprzeczył.

- Przed chwilą byłem na kolacji w Las Siete Puertas i objadłem się jak bąk czarnego ryżu - wyjaśnił.

Ksiądz uśmiechnął się kącikiem ust. Odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Proszę za mną - powiedział.

## 6.

Ojciec Valera mieszkał na mansardowym piętrze budynku mieszczącego się na samym końcu alei Borne, a okna jego mieszkania wychodziły na targ. Fermín z zapałem przyjął zaproszenie na kolację, spałaszował trzy talerze zupy, zagryzając czerstwym chlebem. Popił to wszystko dwiema szklaneczkami rozcieńczonego wina, które postawił przed nim ksiądz, przyglądając mu się nie bez ciekawości.

- A ksiądz nie je?

- Nie mam w zwyczaju jeść kolacji. Niech panu na zdrowie pójdzie, bo widzę, że nie jadł pan porządnego posiłku chyba od trzydziestego szóstego roku, co?

Siorbiąc zupę i pałaszując chleb, Fermín omiatał wzrokiem jadalnię. Obok niego stała serwantka, w której dostrzegł porcelanowy serwis, komplet szklanek, kilka świętych obrazków i coś, co wyglądało na skromną srebrną zastawę.

- Proszę nawet - o tym nie myśleć! Ja też czytałem Nędzników - ostrzegł ksiądz.

Fermín ze wstydem spuścił wzrok.

- Jak się pan nazywa?

- Fermín Romero de Torres, do usług waszej ekscelencji.

- Szukają pana, Fermínie?

- Zależy. To nader złożona kwestia.

- Nie będę pana wypytywał, to nie moja sprawa. Ale w tym stroju nie może pan chodzić po ulicach.

Nie zdąży pan dojść do Via Layetana, a skończy pan w areszcie. Ostatnio złapali wiele osób z tych, co się długo ukrywały. Trzeba być bardzo ostrożnym.

- Jak tylko odzyskam pieniądze, które zdeponowałem w dawnych czasach w pewnym banku, bez wątpienia wypłynę na szerokie wody wytwornej elegancji i zadbam o odpowiedni przydziewek.

- Mógłby pan wstać na chwileczkę?

Fermín odłożył łyżkę i wstał. Ksiądz patrzył na niego chwilę, jakby taksując w myślach jego wymiary.

- Ramón był od pana ze dwa razy wyższy, ale mam jeszcze kilka

ubrań z czasów jego młodości, które ostatecznie mógłby pan włożyć.

- Jaki Ramón?

- Mój brat. Zabili mi go, tam, na dole, na ulicy, przy samym wejściu do budynku. To po mnie przyszli, ale on uparł się, że z nimi porozmawia. Był muzykiem. Grał w orkiestrze miejskiej. Pierwsza trąbka.

- Bardzo mi przykro, ojciec.

Ksiądz wzruszył ramionami.

- Prawie każdy stracił kogoś w tej wojnie. Wszystko jedno, po której był stronie.

- Ja nie byłem po żadnej stronie - pospieszył wyjaśnić Fermín. - Co więcej, uważam, że sztandary to tylko cuchnące zgnilizną kolorowe szmaty, i na sam widok tych, co się nimi owijają i gęby mają pełne hymnów i patriotycznych frazesów, dostają rozwolnienia. Zawsze sądziłem, że kto czuje pociąg do stada, ten ma w sobie coś z barana.

- W takim razie w tym kraju musi pan być bardzo nieszczęśliwy.

- Nawet nie ma ksiądz pojęcia jak bardzo. Ale zawsze powtarzam, że bezpośredni dostęp do szynki serrano rekompensuje wszystko. Zresztą wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

- Co prawda, to prawda. A proszę mi powiedzieć Fermínie, kiedy ostatni raz miał pan w ustach dobrą szynkę serrano?

- Szóstego marca trzydziestego czwartego. Los Caracoles, ulica Escudelería. To było w innym życiu.

Ksiądz się uśmiechnął.

- Może pan zostać tu dziś na noc, Fermínie, ale jutro musi pan poszukać sobie innego miejsca.

Ludzie gadają. Dam panu trochę pieniędzy na jakiś pensjonat, ale uprzedzam, że wszędzie żądają od lokatorów dowodu osobistego, a każdy hotel ma obowiązek przesłania na komisariat listy zameldowanych.

- Nie musi mi ksiądz dwa razy powtarzać. Jutro, zanim jeszcze wzejdzie słońce, ulotnię się stąd szybciej niż dobre chęci. Natomiast na pewno nie zgodzę się przyjąć żadnych pieniędzy, już i tak nadużyłem...

Ksiądz przerwał mu w pół słowa, unosząc dłoń.

- Niech pan lepiej przymierzy kilka ubrań Ramona - powiedział, wstając od stołu.

Ojciec Valera postawił na swoim i zaopatrzył Fermína w parę nieco zdezelowanych butów, w skromny, ale czysty wełniany garnitur, kilka zmian bielizny i parę utensyliów niezbędnych do higieny osobistej, które zapakował mu do walizki. Na jednej z półek stała lśniąca trąbka i trochę fotografii przedstawiających młodych, bardzo do siebie podobnych i uśmiechniętych chłopaków na festynie, przypuszczalnie w czasie święta dzielnicy Gracia. Trzeba się było nader uważnie wpatrzeć w zdjęcie, żeby w jednym z chłopaków rozpoznać ojca Valerę, który teraz wyglądał trzydzieści lat starzej.

- Ciepłej wody nie mam. Zbiornik napełniają rano, więc albo pan poczeka, albo łapie się pan za miednicę i dzbanek.

Podczas gdy Fermín starał się jakoś dokonać ablucji, ojciec Valera zaparzył coś w rodzaju cykori z innymi substancjami o nieco podejrzanym wyglądzie. Nie było cukru, ale te pomyje były przynajmniej gorące, a i towarzystwo zacne nawet przydawało smaku.

- Ośmieliłbym się rzec, że cudem zostaliśmy przeniesieni do Kolumbi, by delektować się wysmakowanymi i specjalnie wyselekcjonowanymi ziarnami - powiedział Fermín.

- Trzeba przyznać, że jest pan szczególnym człowiekiem. Mogę panu zadać dość osobiste pytanie?

- A odpowiedź będzie objęta tajemnicą spowiedzi?

- Powiedzmy, że tak.

- No to niech ksiądz wali.

- Zabił pan kogoś? To znaczy: w czasie wojny.

- Nie - odpowiedział Fermín.

- A ja tak.

Fermín znieruchomiał z filiżanką uniesioną w dłoniach. Ksiądz spuścił wzrok.

- Nigdy tego nikomu nie powiedziałem.

- To wyznanie objęte jest tajemnicą spowiedzi - zapewnił Fermín.

Ksiądz potarł sobie oczy i westchnął. Fermín zadał sobie w duchu pytanie, jak długo już ten człowiek żyje jedynie w towarzystwie tego sekretu i pamięci o swoim zmarłym bracie.

- Ojciec, na pewno miał ojciec swoje powody.

Ksiądz pokręcił głową.

- Bóg opuścił ten kraj.

- Nie ma się czego ksiądz obawiać, bo gdy Bóg tylko zobaczy, jak wygląda podwórko na północ od Pirenejów, wróci z podkulonym ogonem.

Ksiądz milczał przez jakiś czas. Wypili erzac kawy i Fermín, żeby ożywić jakoś księdza, który zdawał się marnieć z minuty na minutę, nalał sobie drugą filiżankę.

- Naprawdę panu smakuje?

Fermín przytaknął.

- Może chce się pan wypowiadać? - niespodziewanie zapytał ksiądz. - Teraz już na serio.

- Niech się ksiądz nie obrazi, ale ja, jeśli o te rzeczy chodzi, to nie bardzo w nie wierzę...

- Ale może Bóg wierzy w pana.

- Wątpię.

- Nie trzeba wierzyć w Boga, żeby się wypowiadać. To sprawa między panem a pańskim sumieniem. Co ma pan do stracenia?

Przez kilka godzin Fermín opowiedział ojcu Valerze wszystko, co przemilczane narastało w nim od czasu ucieczki z zamku ponad rok temu. Ksiądz słuchał z uwagą, z rzadka potakując. W końcu, kiedy Fermín poczuł, że już się wywnętrzył i że zrzucił z siebie kamień, który - do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy - od miesiący go przytłaczał, ksiądz wyjął z szuflady piersiówkę i bez pytania nalał

Fermínowi to, co jeszcze zostało w środku.

- Nie dostanę rozgrzeszenia, ojczy? Tylko parę łyčzków koniaku?

- Na jedno wychodzi. A poza tym kim ja w ogóle jestem, żeby komukolwiek przebaczać czy kogokolwiek osądzać, Fermínie. Ale wierzę, że potrzebował pan wyrzucić z siebie to wszystko. I co teraz zamierza pan robić?

Fermín wzruszył ramionami.

- Jeśli wróciłem i tym samym wystawiam na szwank własną głowę, to wyłącznie z powodu przyrzeczenia złożonego Martinowi. Muszę znaleźć tego adwokata, a później panią Isabel ę, by chronić ją i jej dziecko. Daniela.

- Jak?

- Nie wiem. Coś wymyślę. Pomysły, podpowiedzi, sugestie mile widziane.



- Przecież pan ich w ogóle nie zna. To jacyś obcy ludzie, o których mówił panu człowiek poznany w więzieniu...

- Wiem. Na pierwszy rzut oka to szaleństwo, prawda?

Ksiądz patrzył nań, jakby potrafił przeświecić każde jego słowo.

- Może widział pan tyle nędzy i tyle szubrawstwa, że chce pan teraz zrobić coś dobrego, choćby i wyglądało to na szaleństwo?

- A dlaczego by nie?

Valera uśmiechnął się.

- No, wiedziałem, że Bóg w pana wierzy.

## 7.

Następnego dnia Fermín wyszedł na paluszkach, żeby nie obudzić ojca Valery, który zasnął na sofie z tomikiem wierszy Antonia Machado w ręku i chrapał niczym byk przed walką. Tuż przed wyjściem pocałował księdza w czoło i odłożył na stole w jadalni srebro, wcześniej przez księdza owinięte w serwetkę i przemycone do walizki. Następnie w czystych ubraniach i z czystym sumieniem zszedł schodami, zdeterminowany jeszcze trochę pożyć, przynajmniej kilka dni.

Tego dnia wyszło słońce, a czysty wiatr znad morza rozciągnął nad miastem lśniące, stalowoniebieskie niebo. Na ziemię kładły się długie cienie przechodniów. Fermín całe przedpołudnie chodził po ulicach, które pamiętał, zatrzymywał się przed witrynami sklepowymi, siadał na ławkach i patrzył na śliczne dziewczyny, czyli na wszystkie, z jego punktu widzenia. W południe wszedł do małego baru na początku ulicy Escudellers, nieopodal restauracji Los Caracoles, tak wdzięcznie zapisanej w jego pamięci. Nawet wśród najodważniejszych i pozbawionych jakichkolwiek uprzedzeń smakoszy bar cieszył się złą sławą lokalu sprzedającego najtańsze kanapki w całej Barcelonie.

Ekspert tłumaczyli, iż fortel pozwalający je jeść polegał na tym, by nie pytać o składniki.

W swoim nowym pańskim przydzwisku, pod którym przepasany był kilkoma warstwami egzemplarzy „La Vanguardia”, już to dla dodania sobie korpulencji, może bezpretensjonalnego zarysu muskulatury, już to jako niskobudżetowej odzieży ciepłej, Fermín usiadł przy barze i po zapoznaniu się z menu delicji dostępnych najskromniejszym kieszeniom i żołądkom przystąpił do negocjacji z kelnerem.

- Nurtuje mnie, młody człowieku, następujące pytanie: w ofercie dnia macie kanapkę z mortadellą i wędliną z Cornelia w wiejskim pieczywie. Czy pieczywo jest ze świeżym pomidorem?

- Jak najbardziej, ze świeżo zebranych pomidorów pochodzących z naszych własnych pól w Prat, rozciągających się tuż za fabryką kwasu siarkowego.

- Wyrafinowany bouquet. A powiedzcie mi, dobry człowieku, czy dajecie tu na krechę?

Kelnerowi uśmiech zniknął z ust. Mało przyjaznym gestem przewieszając sobie serwetę przez ramię, zaparł się mocno obydwoma dłońmi o ladę.

- Nie.

- A nie dopuszcza się wyjątków w przypadku odznaczonych orderami inwalidów wojennych?

- Koleś, albo znikasz, albo wzywamy bezpiekę.

Wobec takiego obrotu sprawy Fermín szybko się wycofał, szukając jakiegoś spokojnego zakątka, w którym mógłby na nowo przemyśleć swoją strategię. Ledwie zdążył usiąść na schodkach w jednej z bram, kiedy zobaczył biegnącą dziewczynę, na oko siedemnastoletnią, może nawet młodszą, ale już obdarzoną krągłościami chórzystki. Dziewczyna nagle padła na bruk.

Fermín wstał, by jej pomóc. Chwycił ją za ramię i w tej samej chwili usłyszał za sobą szybkie kroki i głos... W porównaniu z nim głos grubiańskiego kelnera, który przed chwilą wysłał go do diabła, brzmiał niczym niebiańska muzyka.

- Ty mi tu, bladziaro obesrana, nie wyjeżdżaj z takimi, bo ci zara ryło poczochara albo na brukowicy cię samą zostawię, żeby cię inne kurwy zjadły.

Autorem owej płomiennej tyrady był rajfur o ponurej twarzy i wątpliwym guście, sądząc po galanterijno-biżuteryjnych dodatkach. Nie bacząc na to, że osobnik był dwukrotnie większy od Fermína, a w dłoni dzierżył przedmiot, najpewniej tnący, w najlepszym zaś razie na pewno ostry, Fermín, który miał już powyżej uszu wszelkiej maści typów spod ciemnej gwiazdy i alfonsów, stanął

między dziewczyną a owym osobnikiem.

- A ty co się stawiasz, ciulu niewyględny? Spieprzaj stąd, ale już, bo ci zara bużkę przefasonuję.

Fermín poczuł, że dziewczyna uczepliła się jego ramion. Odniósł wrażenie, że pachnie dziwną mieszanką cynamonu i smażeniny. Wystarczyło rzucić okiem na bandziora, żeby uznać, że konfliktu nie da się rozwiązać na drodze dialogu, wobec tego Fermín postanowił miast ciętej i celnej riposty natychmiast przejść do działania.

Błyskawicznie i detalicznie otaksował swego przeciwnika i doszedł do wniosku, że jego imponująca masa cielesna składa się w znakomitej

większości z łoju i że jeśli chodzi o tak zwaną muskulaturę i szarą materię, nie był to okaz szczególny.

- Nie ma pan prawa odzywać się do mnie takim językiem, a tym bardziej do młodej damy.

Zbir patrzył na niego zbity z tropu i sprawiał wrażenie, że żadne z wypowiedzianych przez Fermína słów do niego nie dotarło. W chwilę później osobnik, przypuszczalnie spodziewający się po kurduplu wszystkiego, tylko nie ataku, otrzymał w nagrodę niespodziankę miesiąca, czyli potężne uderzenie walizką w miękkie podbrzusze. Jakby tego było mało, gdy leżał na bruku, zwijając się z bólu i chroniąc swe rodzinne precjoza, zainkasował w nie mniej strategiczne miejsca kolejne cztery czy pięć uderzeń skórzanym rogiem walizki. Unieszkodliwiło go to i w dużej mierze zdemotywowowało przynajmniej na jakiś czas.

Grupa przechodniów obecna przy incydencie zaczęła klaskać, a kiedy Fermín odwrócił się, by sprawdzić, co z dziewczyną, napotkał jej cielecy wzrok promieniejący wdzięcznością i czułością na wieki wieków.

- Fermín Romero de Torres, do usług szanownej panienki.

Dziewczyna stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- A ja jestem Rociíto.

Leżący u jej stóp typas usiłował złapać oddech i wstać. Fermín, uprzedzając ewentualną zmianę układu sił na swoją niekorzyść, postanowił jak najszybciej wycofać się i opuścić obecną scenę konfrontacji.

- Należałoby wynieść się stąd honornie i bez ociągania - oświadczył. - Oddanie inicjatywy może przeważać losy bitwy...

Rociíto wzięła go pod ramię i poprowadziła przez labirynt wąziutkich ulic, który wychodził na plac Real. Znalazszy się wreszcie na słońcu i na otwartej przestrzeni, Fermín zaczerpnął głęboko powietrza, dziewczyna zaś mogła zobaczyć, że Fermín co jakiś czas blednie i w ogóle nie wygląda najlepiej. Intuicyjnie zrozumiała, że emocje towarzyszące spotkaniu albo wygłodzenie spowodowały nagły spadek ciśnienia u jej nieustraszonego wybawcy, więc odprowadziła go do ogródka przy podrzędnym hoteliku Dos Mundos, gdzie Fermín padł na jedno z krzesel.

Rociíto, która może i miała zaledwie siedemnaście lat, ale oko tak

przenikliwie, że sam słynny doktor Trueta by się takiego nie powstydział, oddaliła się, by zamówić odpowiednio regenerujący wybór tapas. Kiedy Fermín ujrzał nadchodzący karnawał przekąsek, przeraził się.

- Rociíto, ja nie mam przy sobie ani grosza...

- Ja stawiam - odparła dumnie dziewczyna. - Bo ja umiem dbać o swojego mężczyznę i na pewno głodny to on chodzić nie będzie.

Rociíto nie żałowała mu małych chorizos, pieczywa i patatas bravas, popijanych często gęsto piwem z ogromnego kufła. Z każdym kęsem i łykiem Fermínowi wracały siły i animusz na oczach rozanielonej dziewczyny.

- Na deser, gdyby miał pan życzenie, mogę zrobić panu taką specjalność zakładu, że normalnie pan oszaleje - zaproponowała, oblizując usta.

- Słuchaj, dziecko, czy ty nie powinnaś aby teraz być w szkole u siostr niepokalanek?

- Uff, sto pociech z pana, ale się pana dowcipy trzymają.

W miarę rozkręcania się karnawałowego szaleństwa Fermín coraz bardziej pojmował, że gdyby to zależało tylko od dziewczyny, stawiała przed nim otworem wielce obiecująca kariera rajfura. Niemniej jednak jego uwagę przyciągały inne sprawy, o znacznie większym kalibrze.

- Rociíto, ile ty masz lat?

- Osiemnaście i pół, kawalerze Fermínie.

- Wyglądasz na dużo starszą.

- A to dzięki przednim zderzakom. Wyrosły mi takie, gdy miałam trzynaście lat, no niczego sobie, nie ma się czego wstydzić, choć może mnie nie wypada się tak głośno chwalić.

Fermín, który podobnego sprzyśiężenia krzywizn i wypukłości nie widział od swych z utęsknieniem wspominanych dni w Hawanie, starał się nie rozstać ze zdrowym rozsądkiem.

- Rociíto - zaczął - ja nie mogę się podjąć opieki nad tobą...

- Ja to wiem, proszę kawalera, taka głupia to ja już nie jestem. Ja wiem, że pan nie jest z tych, co to mogą żyć z kobiety. Może i jestem młoda, ale takich to ja już nauczyłam się rozpoznawać...

- Musisz mi powiedzieć, gdzie mam ci przesłać pieniądze za ten bankiet, bo niestety trafiłaś na dość delikatny moment finansowy w moim życiu...

Rociíto pokręciła głową.

- Wynajmuję pokoiik, tu w tym hoteliku, na spółkę z Lali, ale ona teraz jest cały dzień w porcie, bo obstawia statki handlowe... Może kawaler wejdzie na górę, a ja zrobię kawalerowi masaż?

- Rociíto...

- Na koszt firmy...

Fermín przyglądał się dziewczynie nie bez melancholi .

- Takie smutne ma kawaler oczy. Niech pan pozwoli Rociíto wnieść trochę radości w swoje życie.

Choćby na troszeczkę. Co w tym złego?

Zawstydzony Fermín spuścił wzrok.

- Od jak dawna kawaler nie był z kobietą jak Pan Bóg przykazał?

- Nawet nie pamiętam.

Rociíto wzięła go za rękę i zaciągnęła po schodach do maleńkiego pokoiku, gdzie stały tylko łóżko i umywalnia. Wąski balkonik wychodził na plac. Dziewczyna zasunęła zasłonę i jednym ruchem wyskoczyła z kwiecistej sukienki, pod którą miała wyłącznie swoje nagie ciało.

Fermín przyjrzał się temu cudowi natury i pozwolił się przytulić sercu, które było niewiele młodsze od jego serca.

- Jeśli kawaler nie chce, to nie musimy nic robić.

Rociíto położyła Fermína na łóżku i wyciągnęła się obok niego.

Przytuliła go i pogłaskała po głowie.

- Szsz, szsz - szeptała.

Fermín z twarzą wtuloną w owe osiemnastoletnie piersi zaczął płakać.

Po południu, kiedy Rociíto musiała pójść na swoją zmianę, Fermín sięgnął po skrawek papieru z adresem adwokata Briansa otrzymany rok temu od Armanda i postanowił tam się udać. Rociíto uparła się, że musi mu koniecznie pożyczyć trochę grosza, żeby miał na tramwaje i na małą kawę. Zarazem wymusiła na nim przysięgę, że będzie ją odwiedzać, choćby tylko po to, żeby pójść z nią do kina albo do kościoła na mszę, bo ona jest żarliwą admiratorką Matki Boskiej z Carmen i uwielbia wszelkie ceremonie, szczególnie kiedy towarzyszą im śpiewy. Rociíto odprowadziła go na dół, pocałowała na pożegnanie w usta i uszczypnęła w tyłek.

- Cukiereczku ty mój - powiedziała, patrząc, jak odchodzi między

arkadami placu.

Kiedy opuszczał plac Cataluña, na niebie zaczynał już zawiązywać się węzeł ciężkich chmur. Stada gołębi zazwyczaj fruujących nad placem pochowały się teraz w gałęziach drzew, w niepokoju czekając na najgorsze. Ludzie czuli już w powietrzu ten dziwny przedburzowy zapach i przyspieszali kroku, podążając ku zejściom do metra. Zerwał się nieprzyjemny wiatr, który unosił z ziemi tumany suchych liści. Fermín przyspieszył. Kiedy docierał już do ulicy Caspe, zaczęły spadać pierwsze krople potopu.

## 8.

Adwokat Brians był młodym człowiekiem, z wyglądu można by go wziąć za klepiącego biedę studenta. Żywił się wyłącznie słonymi paluszkami i czarną kawą, której zapach unosił się w kancelarii .

Zapach kawy i papieru pokrytego kurzem. Za całą kancelarię robiła izdebka, zawieszona w samym końcu korytarza bez światła, na poddaszu budynku mieszczącego w dolnych kondygnacjach wielki teatr Tivoli. Fermín, mimo późnej pory, bo było już wpół do dziewiątej wieczorem, zastał jednak pana mecenasa. Brians otworzył mu drzwi w samej koszuli, a ujrawszy na progu Fermína, zdołał jedynie pokiwać dwa, trzy razy głową i ciężko westchnąć.

- Fermín, jak sądzę. Martin mówił mi o panu. Nawet zacząłem się głowić, kiedyż to pan wreszcie do mnie zajrzy.

- Przez jakiś czas byłem w podróży.

- Tak, jasne. Proszę do środka.

Fermín ruszył za nim.

- Co za noc, nieprawdaż? - stwierdził adwokat, dziwnie zdenerwowany.

- To tylko woda.

Fermín rozejrzał się wokół, choć nie było po czym, bo na całe umeblowanie pokoju składały się biurko i jedno krzesło. Brians grzecznie mu je przysunął, a sam usiadł na stosie tomów prawa handlowego.

- Czekam jeszcze na pełne umeblowanie.

Fermín szybko oszacował, że w pomieszczeniu nie zmieści się już nawet temperówka, ale wołał

trzymać język za zębami. Na biurku leżał talerz z kanapką i stała butelka piwa.

Papierowa serwetka zdradzała, że ucztą pana mecenasa przybyła z kawiarni na parterze kamienicy.

- Właśnie siadałem do kolacji. Spraw mi pan zaszczyt, przyjmując moje zaproszenie do stołu.

- Niech się pan nie krępuje, proszę jeść, proszę jeść, wy, młodzi, musicie rosnąć, a ja już jestem po kolacji.



- Może da się pan jednak na coś namówić? Może kawy?

- A ma pan sugusa jakiegoś, może...

Brians zaczął szperać w szufladzie, w której mogło być wszystko, tylko nie cukierek.

- A może pastylki Juanola?

- Dziękuję, z gardłem u mnie wszystko w porządku.

- Wybaczy pan. - Brians łakomie wbił zęby w kanapkę, odgryzł kęs i zaczął go łapczywie przeżuwać. Fermín zastanawiał się, który z nich właściwie jest głodniejszy. Biurko stało przy uchylonych drzwiach, prowadzących do drugiego pokoiku, gdzie można było zobaczyć złożone jeszcze łóżko polowe, wieszak z pomiętymi koszulami i stos książek.

- Pan mecenas tu mieszka? - spytał Fermín.

Gołym okiem było widać, że adwokat, na którego stać było Isabelę, nie należy do elity barcelońskiej palestry. Brians podążył za wzrokiem Fermína i uśmiechnął się doń pokornie.

- Tak jest, to moje tymczasowe lokum, kancelaria i mieszkanie zarazem - odparł Brians, pochylając się, by zamknąć drzwi do sypialni.

- Pewnie sądzi pan, że nie bardzo wyglądam na adwokata. Nie jest pan zresztą osamotniony w swoim osądzie, mój ojciec też tak uważa.

- Proszę się tym nie przejmować. Mój ojciec ciągle powtarzał mnie i moim braciom, że do niczego się nie nadajemy i że w życiu daleko nie zajedziemy. A ja proszę bardzo, zajechałem, i to niejedną szkapę. Odnieść w życiu sukces, kiedy rodzina wspiera i pomaga, to żaden powód do dumy.

Brians, chcąc nie chcąc, się zgodził.

- Jeśli spojrzeć na to w ten sposób, kto wie... Prawdę mówiąc, od niedawna zacząłem pracować na własne konto. Przedtem byłem zatrudniony w znanej kancelarii, zresztą nieopodal, za rogiem, na Paseo de Gracia. Ale doszło między nami do pewnej różnicy zdań.

Od tamtego czasu same kłody.

- Co pan powie? Val s?

Brians przytaknął, w trzech łykach wypijając piwo z butelki.

- Z chwilą kiedy przyjąłem sprawę pana Martina, Val s nie popuścił, dopóki z moich usług nie zrezygnowali niemal wszyscy klienci. A kiedy do tego doszło, kancelaria pożegnała się ze mną. A ci, co pozostali

przy mnie, groszem nie śmierdzą, tym bardziej więc nie mają z czego opłacać moich honorariów.

- A pani Isabel a?

Wzrok adwokata zasepił się. Odstawił butelkę na biurko i z wahaniem spojrzał na Fermína.

- To pan nie wie?

- Nie wiem czego?

- Isabel a Sempere zmarła.

## 9.

Nad miastem rozszalała się burza. Fermín pił kawę, słuchając Briansa, który stał przy otwartym oknie i zapatrzonej w ulewny deszcz smagający dachy dzielnicy Ensanche opowiadał o ostatnich dniach życia Isabel i.

- Zachorowała niespodziewanie, nikt nie umiał tego wytłumaczyć. Gdyby pan ją znał... Isabel a była młoda, pełna życia. Zdrowie miała żelazne, nawet w trudnych wojennych czasach. Wszystko stało się, jak to mówią, z dnia na dzień. Tej samej nocy, kiedy panu udało się uciec z zamku, Isabel a późno wróciła do domu. Jej mąż zastał ją w łazience, klęczała na podłodze, złana potem, miała silne mdłości.

Powiedziała, że bardzo źle się czuje. Pan Sempere wezwał lekarza, ale zanim dotarł on na miejsce, zaczęły się konwulsje i krwawe wymioty. Lekarz stwierdził, że to zatrucie, przepisał Isabel i ścisłą dietę, ale rano jej stan jeszcze się pogorszył. Pan Sempere owinął ją w koce, a sąsiad taksówkarz zawiózł ich do szpitala del Mar. Na skórze Isabel i wystąpiły ciemne plamy, a włosy wypadły jej garściami. W szpitalu czekali kilka godzin. W końcu nie zostali przyjęci, bo jeden z pacjentów, który też czekał w kolejce, zaczął krzyczeć, że zna rodzinę Sempere, że to zdrajcy i komuniści. Wie pan, same oszczerstwa, żeby pozbyć się konkurencji. Jedna z pielęgniarek dała im jakiś syrop, mówiąc, że dobrze jej zrobi, że oczyści żołądek, ale Isabel a nie mogła niczego przełknąć. Sempere nie wiedział, co robić. Wrócili do domu, a on wezwał kilku lekarzy, ale żaden nie potrafił powiedzieć, co dolega jego żonie. Odwiedził ich też znajomy pielęgniarz, stały bywalec księgarni, znał kogoś w szpitalu Clínico.

Sempere zawiózł tam Isabel ę.

W Clínico stwierdzili, że to pewnie cholera. Nie chcieli jej przyjąć, bo mówili, że wybuchła epidemia i nie mają wolnych łóżek. Ludzie padali jak muchy. I Sempere znów zabrał ją do domu. Stan Isabel i pogarszał się z dnia na dzień. Majaczyła. Jej mąż poruszył niebo i ziemię, zrobił wszystko, co było w jego mocy, by ją ocalić. Na próżno, po paru dniach była tak słaba, że nie mógł nawet zawieźć jej do szpitala. Po tygodniu od owej fatalnej nocy umarła w mieszkaniu nad księgarnią przy ulicy

Santa Ana...

Zapadła długa cisza. Ani Fermín, ani Brians nie kwapili się, by ją przerwać. W pokoju słychać było tylko uderzenia kropel deszczu, oddalające się grzmoty i coraz słabsze podmuchy wiatru.

- Dopiero miesiąc później dowiedziałem się, że widziano ją w kawiarni Ópera, naprzeciwko teatru Liceo. Poszła tam spotkać się z Mauricio Val sem. Isabel a, głucha na moje prośby, zagroziła Val sowi, że ujawni całemu światu to, jak wykorzystał Martina, kazał mu zredagować nie wiem jakie wypociny, dzięki którym rzekomo miał się zapisać złotymi zgłoskami w historii hiszpańskiej literatury i zostać obsypany odznaczeniami. Poszedłem do tej kawiarni, rozmawiałem trochę z kelnerami. Ten, który ich obsługiwał, dobrze pamiętał, że Val s zjawiał się na miejscu pierwszy i że zamówił dwa rumianki i miód.

Fermín zastanowił się nad słowami młodego adwokata.

- Sądzi pan, że Val s ją otrui?

- Nie mam na to dowodów, ale im dłużej się nad wszystkim zastanawiam, tym bardziej jestem tego pewien. To musiał być Val s.

Fermín spuścił wzrok.

- Czy pan David o tym wie?

Brians pokręcił głową.

- Nie. Po pańskiej ucieczce Val s posłał Martina do karceru w jednej z wież.

- A doktor Sanahuja? Nie zamknęli ich razem?

Brians westchnął ciężko, przybity.

- Doktor Sanahuja stanął przed sądem wojennym za zdradę. Dwa tygodnie później został rozstrzelany.

Zapadła cisza. Fermín wstał i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju.

- A dlaczego mnie nikt nie szukał? W końcu to ja ponoszę winę za wszystko...

- Bo pan, panie Fermínie, już nie istnieje. Val s, bojąc się o swoją obiecującą karierę w aparacie reżimu i nie chcąc przyznać się przed przełożonymi do porażki, kazał przysiąc żołnierzom, których wysłał za panem, że zastrzelili pana, kiedy uciekał pan zboczem Montjuic, a potem wrzucili ciało do zbiorowej mogiły.

Fermín poczuł, że ogarnia go wściekłość.

- Wie pan co, mam ochotę stawić się w siedzibie rządu wojskowego i powiedzieć: „Dzień dobry, panowie. Oto jestem”. Ciekawe, jak się Val s wytłumaczy z mojego zmartwychwstania.

- Niech pan nie gada głupstw. I co panu to da? Wrzucą pana do więziennej furgonetki, powiozą drogą Carretera de las Aguas i wpakują panu kulę w potylicę. Ta pluskwa nie jest tego warta.

- A Martin? Co się z nim stanie?

Brians rozłożył ręce.

- To, co teraz panu powiem, jest ściśle poufne. I musi pozostać między nami. Znam w zamku jednego strażnika, niejakiego Beba, który ma u mnie dług wdzięczności. Ocaliłem jego brata od wyroku śmierci, który po mojej interwencji został złagodzony: musi odsiedzieć dziesięć lat w więzieniu w Walencji. Bebo to dobry człowiek, opowiada mi wszystko, czego sam zdoła się dowiedzieć. Val s nie pozwala mi się zobaczyć z Martinem, ale od Beba wiem, że David żyje i że Val s zamknął go w wieży i kazał pilnować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dał mu papier i pióro. Bebo twierdzi, że Martin pisze.

- A co pisze?

- Trudno powiedzieć. Val s sądzi, że Martin pisze dla niego książkę na podstawie jego notatek, tak przynajmniej mówił mi Bebo. Ale Martin, który, jak obaj dobrze wiemy, nie jest do końca przy zdrowych zmysłach, pisze chyba coś zupełnie innego. Czasem czyta na głos napisane właśnie zdania albo wstaje i zaczyna kręcić się niespokojnie po celi, recytując fragmenty opisów i obszernie partie dialogowe. Bebo w nocy dyżuruje przy jego celi i kiedy tylko może, przemyca dla niego papierosy i kostki cukru, które są jedynym pożywieniem Martina. Czy David opowiadał panu kiedyś o czymś takim jak Gra anioła?

Fermín zaprzeczył.

- Czy to tytuł tej książki, którą pisze?

- Tak podejrzewa Bebo. Z tego, co opowiedział mu Martin, i z fragmentów, które Bebo usłyszał, siedząc pod jego celą, wygląda to na coś w rodzaju autobiografii albo wyznania... Jeśli chce pan znać moje zdanie, sądzę, że Martin zdał sobie sprawę, że traci rozum, i dlatego, zanim będzie za późno, stara się przelać na papier wszystko, co pamięta. Tak jakby pisał list do siebie samego, żeby nie zapomnieć, kim jest...

- Ale prędzej czy później Val s odkryje, że Martin pisze zupełnie co innego. Co się wtedy stanie z panem Davidem? - spytał Fermín.  
Adwokat Brians spojrział na niego z grobową miną.

## 10.

Koło północy przestało wreszcie padać. Z mansardy adwokata Briansa Barcelona, zasnutą całunem niskich chmur rozpiętych ponad dachami, przedstawiała złowrogi widok.

- Ma pan dokąd pójść, Fermínie? - zapytał Brians.

- Otrzymałem bardzo kuszącą ofertę zainstalowania się w roli konkubenta i obrońcy pewnej młodej damy, nieco lżejszych obyczajów, ale o poczciwym sercu i takiej aparycji, że od samego patrzenia czkawka człowiekowi przechodzi. Ja wszakże nie bardzo widzę siebie w roli żigolo, nawet u stóp samej Wenus z Jerez.

- Niezbyt podoba mi się pomysł, by włóczył się pan po ulicach. To niebezpieczne. Może pan zostać tutaj, jak długo pan zechce.

Fermín popatrzył wokół z powątpiewaniem.

- Wiem, że hotel Colón to to nie jest, ale mam rozkładane łóżko, nie chrapię i, prawdę mówiąc, przydałoby mi się towarzystwo.

- Nie ma pan narzeczonej?

- Miałem. Córkę wspólnika-założyciela kancelarii, z której mnie wyrzucono dzięki Val sowi i spółce.

- Ta historia z Martinem będzie pana»słono kosztować. Najpierw śluby ubóstwa, teraz czystości...

Brians roześmiał się serdecznie.

- Sama walka z wiatrakami zupełnie wystarcza mi do szczęścia.

- W takim razie z radością przyjmę pańską propozycję. Ale tylko pod warunkiem, że pozwoli mi pan zarobić na swoje utrzymanie. Mogę dbać o porządek, pisać na maszynie, gotować, służyć radą na przeróżne tematy, świadczyć dla pana usługi wywiadowcze, a jeśli w jakimś momencie poczuje pan, że znalazł się w sytuacji podbramkowej i musi koniecznie jakoś rozładować napięcie, mogę panu zaoferować najwyższej jakości usługi renomowanej specjalistki w osobie mojej przyjaciółki Rocifto. Po wizycie u niej poczuje się pan jak nowo narodzony, bo musi pan wiedzieć, że w latach młodości trzeba bardzo dbać o to, by kumulacja nasiennych płynów nie uderzyła człowiekowi do głowy.

Brians podał mu rękę.

- Umowa stoi. Został pan właśnie przyjęty na stanowisko aplikanta w kancelarii Brians i Brians, specjalizującej się w reprezentacji niewypłacalnych.

- Jakem Fermín, przysięgam panu uroczyście, że zanim tydzień dobiegnie końca, znajdę panu klienta, który zapłaci żywą gotówką, a do tego awansem.

W ten oto sposób Fermín Romero de Torres zamieszkał tymczasowo w małej kancelarii adwokata Briansa. Swoją działalność rozpoczął od porządków, wycierania kurzów, mycia podłóg i tworzenia archiwum z prawdziwego zdarzenia ze stert papierzysek, teczek i dossier poszczególnych spraw. Po kilku dniach za sprawą swych przemysłowych sztuk dokonał niemal cudu. Kancelaria sprawiała wrażenie trzy razy większej, a było w niej czysto, aż lśniło. Większą część dnia spędzał

Fermín na strychu, od czasu do czasu zdobywał się jednak na odwagę, by wyruszyć na jedną ze swych wypraw, z których wracał a to z naręczem kwiatów wygospodarowanych z westybulu teatru Tivoli, a to z odrobiną kawy uzyskanej podczas umizgów do kelnerki z baru na parterze, a to z najprzeróżniejszymi wspaniałościami z delikatesów Quílez, które kazał zapisywać na rachunek byłej kancelarii Briansa, przedstawivszy się uprzednio jako jej nowy goniec.

- Fermínie, ta szynka to czysta poezja, skąd pan ją wziął?

- Niech pan lepiej spróbuje tego sera manchego, po prostu olśniewający.

Rankami Fermín przeglądał dokumentację wszystkich spraw, którymi zajmował się Brians, i przepisywał na czysto jego notatki. Popołudniami chwycił za telefon i przeglądając listę nazwisk w książce telefonicznej, zaczynał poszukiwania klientów, którzy przynajmniej sprawialiby wrażenie wypłacalnych. Kiedy intuicja podpowiadała mu, że może coś wskóra, przypieczętował telefon wizytą domową. Na pięćdziesiąt wykonanych telefonów do okolicznych sklepików, przedstawicieli rozmaitych profesji i osób prywatnych dziesięć zakończyło się wizytami, a trzy zaowocowały nowymi klientami kancelarii Briansa.

Pierwszą klientką była wdowa procesująca się z zakładem ubezpieczeń, który nie chciał jej wypłacić odszkodowania za śmierć



męża, argumentując, iż zawał serca będący przyczyną zgonu małżonka po krewetkowym obżarstwie w Las Siete Puertas uznać należy raczej za rodzaj śmierci samobójczej, nieobjętej polisą. Drugim był taksydermista, któremu emerytowany toreador przyniósł do wypchania pięćsetkilowego byka. Kiedy rzeczony zdołał zmienić bestię, która położyła kres karierze toreadora, w muzealny eksponat, klient odmówił jej odbioru i uiszczenia zapłaty, gdyż, jak twierdził, szklane oczy wprawione bykowi przydawały mu rzekomo demonicznego wyglądu. Do tego stopnia, że toreador wybiegł z zakładu, rozpaczliwie wołając o pomoc. Trzecim klientem był natomiast krawiec z ronda San Pedro, któremu dentysta amator wyekstrahował pięć zębów, jak się później okazało, niedotkniętych w najmniejszym stopniu próchnicą. Były to drobne sprawy, ale wszyscy nowi klienci podpisali umowy i wpłacili zadatki.

- Fermínie, muszę panu wyasygnować stałą pensję.
- Nie ma mowy.

Fermín uparcie nie chciał przyjąć w zamian za swoje usługi żadnego uposażenia. Od czasu do czasu prosił tylko o małą pożyczkę, by móc w niedzielny wieczór zaprosić Rociíto do kina, na tańce w La Paloma albo do parku Tibidabo. Tam właśnie, w gabinecie luster dziewczyna zostawiła mu na szyi ślad, który jeszcze przez tydzień przypominał o sobie dotkliwym pieczeniem, i tam też, korzystając z okazji, że byli jedynymi pasażerami lunaparkowego samolociku, krążącego nad miniaturową Barceloną, Fermín, który pierwszy raz od bardzo dawna znalazł się w sceneri sprzyjającej pospiesznym amorom, poczuł się na nowo panem swojego ciała i swojej męskości.

Któregoś dnia na karuzeli, pieszcząc z zapalem krągłe kształty Rociíto, Fermín pomyślał sobie, że na przekór wszelkim oczekiwaniom, czasy, w których przyszło mu żyć, okazały się całkiem znośne. I ogarnął go wówczas strach, bo zrozumiał, że owe okruchy spokoju i skradzionego szczęścia nie będą trwały wiecznie, że przeminą szybciej niż lata młodości precudnej Rociíto.

## 11.

Tego samego wieczoru zasiadł w biurze w oczekiwaniu, aż Brians wróci ze swych pielgrzymek po sądach, urzędach, prokuraturach, więzieniach i aresztach, gdzie odbywał dziesiątki publicznych i mniej publicznych spotkań, które chcąc nie chcąc, musiał odbyć, żeby zdobyć informacje. Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy usłyszał kroki młodego pana mecenasa w korytarzu. Otworzył drzwi. Brians wszedł do środka, ledwie powłócząc nogami i jak nigdy dotąd załamany całkowicie. Padł w kącie i złapał się za głowę.

- Co się stało, panie mecenasie?

- Byłem w zamku.

- I co? Dobre wiadomości?

- Val s nie chciał mnie przyjąć. Cztery godziny mnie trzymali, a później powiedzieli, żebym sobie poszedł. Odebrali mi legitymację na widzenia i zezwolenie na przebywanie na terenie więzienia.

- A widział się pan z Martinem?

Brians pokręcił głową.

- Nie było go tam.

Fermín patrzył nań, niczego nie rozumiejąc. Brians siedział przez jakiś czas w milczeniu i szukał odpowiednich słów.

- Kiedy odchodziłem, Bebo poszedł za mną i zrelacjonował mi to, co wiedział. Zdarzyło się to dwa tygodnie temu. Martin pisał jak nawiedzony, dzień i noc, właściwie bez zmruczenia oka. Val s czuł, że coś tu nie gra, i rozkazał Bebowi, żeby ten zabrał Martinowi cały dotychczas napisany materiał. Trzech strażników trzeba było, żeby Martina unieruchomić i wyrwać mu rękopis. W niecałe dwa miesiące napisał ponad pięćset stron.

Bebo przekazał je Val sowi, a kiedy ten zaczął je czytać, natychmiast ponoć wpadł w furję.

- Widocznie spodziewał się czegoś zupełnie innego...

Brians pokręcił głową.

- Val s czytał manuskrypt przez całą noc, a rano wszedł na wieżę w towarzystwie swoich czterech zbirów. Kazał najpierw Martina zakuć od

stóp do głów w łańcuchy, a potem wszedł do celi. Bebo zdołał co nieco z ich rozmowy podsłuchać. Val s był wściekły. Powiedział, że bardzo czuje się rozczarowany, że przekazał mu ziarna arcydzieła, a on, niewdzięcznik jakich mało, miał postępować zgodnie z jego wskazówkami, zaczął pisać tę totalną, bez ładu i składu, bzdurę. „Nie takiej książki się po panu spodziewałem”, powtarzał raz za razem Val s.

- A co Martin na to?

- Nic. Ignorował Val sa. Jakby go tam nie było. Co oczywiście doprowadzało Val sa do jeszcze większej furi . Bebo słyszał, jak naczelnik bił i kopał Martina, ale ten nawet nie jęknął. Kiedy Val s zmęczył się już biciem i wymyślaniem, nic zresztą nie osiągając, bo Martin nie wydał z siebie żadnego, choćby i najcichszego jęku, nie mówiąc o tym, że nie raczył się do swego oprawcy zwrócić najmniejszym choćby słowem, pan naczelnik wyciągnął z kieszeni list, wysłany przez pana Sempere kilka miesięcy temu, który nigdy nie trafił do rąk Martina, został bowiem skonfiskowany. Do listu dołączonych było kilka zdań skreślonych przez Isabel ę tuż przed śmiercią...

- Rzadki skurwysyn...

- Val s zostawi! tę kartkę dołączoną do listu, wiedział bowiem, że nic nie sprawi Martinowi większego bólu niż wiadomość o śmierci Isabel i... Bebo mówi, że kiedy Val s odszedł, Martin przeczytał list i zaczął krzyczeć, drzeć się wniebogłosy, walić rękoma i głową w ściany i w pręty krat...

Brians uniósł wzrok, Fermín zaś ukląkł przed nim i położył mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze się pan czuje, panie mecenasie?

- Jestem jego adwokatem - odparł drżącym głosem. - Mam go chronić. To raz. I stamtąd wyciągnąć.

To dwa. Należy to do moich obowiązków, ponoć...

- Panie mecenasie, zrobił pan wszystko, co do pana należało. I Martin dobrze o tym wie.

Brians kwęknął coś pod nosem.

- Ale to nie wszystko - dodał. - Bebo powiedział mi, że w związku z tym, że Val s zakazał dostarczać Martinowi papieru i atramentu, ten zaczął pisać na rewersie tych stron, które Val s rzucił mu w twarz. A z braku atramentu nacinał sobie ręce i ramiona i pisał własną krwią...

Bebo próbował rozmawiać z nim, uspokoić go jakoś... Ale odrzucał każdego papierosa, jakim go częstowano, każdą kostkę cukru, bez której niegdyś nie potrafił funkcjonować... Nawet nie rozpoznawał Beba. A ten uważa z kolei, że Martin, z chwilą kiedy otrzymał wiadomość o śmierci Isabel i, całkowicie postradał zmysły i żył w piekle, które sam wznosił w swoim umyśle... Krzyczał nocami i słyszeć mogli go wszyscy. Plotki zaczęły krążyć między składającymi wizyty, więźniami i personelem więziennym. Val s stawał się coraz bardziej nerwowy. W końcu wydał swoim dwóm rewolwerowcom rozkaz, by wyprowadzili Martina z wieży...

Fermín przełknął ślinę.

- A dokąd?

- Bebo nie jest pewien. Z tego, co udało mu się usłyszeć, wydaje mu się, że do opuszczonego budynku przy parku Güel ... tam, gdzie, zdaje się, podczas naszej wojny zabito już niejednego, by zagrzebać później w ogrodzie... Kiedy rewolwerowcy wrócili, zameldowali Val sowi, że wszystko załatwione, ale powiedział mi Bebo, że tej samej nocy usłyszał, jak gadali między sobą i że chyba nie wszystko było z nimi w porządku. W tamtym domu coś się stało. Chyba ktoś tam jeszcze przebywał.

- Jak to ktoś?

Brians wzruszył ramionami.

- Czy to znaczy, że David Martin żyje?

- Nie wiem, Fermínie. Nikt nie wie.

## 12.

### **Barcelona, 1957**

Fermín mówił słabym głosem, a w jego spojrzeniu malował się bezgraniczny smutek. Wracanie wspomnieniami do tych bolesnych czasów było dla niego bardzo trudne. Miałem wrażenie, że nie ma nawet siły utrzymać się na krześle. Nalałem mu ostatni kieliszek wina. Grzbietem dłoni ocierał łzy, więc podałem mu serwetkę. Zignorował mój gest. Pozostali goście Can Lluís poszli już do domu, domyśliłem się więc, że minęła północ. Nikt jednak nie zwrócił nam uwagi, nie ponagłał, byśmy też się zebrali, nie przeszkodził nam w rozmowie. Fermín spoglądał na mnie zdruzgotany, miałem wrażenie, że opowieść, którą przed chwilą dokończył, zupełnie odebrała mu chęć do życia.

- Fermínie...

- Wiem, o co chce pan mnie zapytać. Odpowiedź brzmi: nie.

- Czy David Martin jest moim ojcem?

Fermín obrzucił mnie surowym spojrzeniem.

- Pańskim ojcem jest pan Sempere. Niech pan w to nigdy nie wątpi, Danielu. Nigdy.

Przytaknąłem. Fermín zapatrzył się w przestrzeń. Zdawał się przebywać zupełnie gdzie indziej.

- A pan? Co się działo z panem?

Fermín długo nie odpowiadał, jakby ta część historii nie miała żadnego znaczenia.

- Znów znalazłem się na ulicy. Nie mogłem zostać z Briansem. Nie mogłem zostać z Rociíto. Ani z nikim...

Fermín zamilkł, więc dokończyłem historię za niego.

- Znalazł się pan na ulicy jako bezimienny żebrak, niemający na świecie nikogo, człowiek, którego wszyscy brali za wariata i który ponad wszystko pragnął umrzeć, ale nie mógł, gdyż był związany obietnicą...

- Obiecałem Martinowi czuwać nad Isabel ą i nad jej synem... nad panem, Danielu. Ale byłem tchórzem. Ukrywałem się tak długo, tak bardzo bałem się wrócić, a kiedy wreszcie się na to zdecydowałem, okazało się, że pańska matka dawno nie żyje, zmarła, gdy leżałem

nieprzytomny i walczyłem ze śmiercią...

- I dlatego spotkaliśmy się tamtej nocy przy placu Real? To nie był przypadek, prawda? Od jak dawna chodził pan za mną?

- Od miesiący... od lat.

Wyobraziłem sobie, jak obserwował mnie z daleka, kiedy jako mały chłopiec szedłem do szkoły, kiedy bawiłem się w parku Ciudadela, kiedy przystawałem razem z ojcem, by przyjrzeć się pióru, które, jak święcie w to wierzyłem, należało do Victora Hugo, kiedy siadywałem na placu Real, by czytać Klarze i ukradkiem pieścić ją wzrokiem, przekonany, że nikt mnie nie widzi. Żebrak, cień, niezauważana przez nikogo postać, od której wszyscy odwracali wzrok. Fermín, mój obrońca i mój przyjaciel: - A czemu nigdy nie powiedział mi pan prawdy?

- Z początku chciałem to zrobić, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że moja opowieść tylko wyrządzi panu krzywdę, a pożytku przyniesie niewiele. Przeszłości i tak nie da się zmienić. Postanowiłem ukryć przed panem prawdę, gdyż chciałem, żeby miał pan raczej takie życie jak pański ojciec, a nie takie jak ja.

Zapadła długa cisza i żaden z nas nie wiedział, jak ją przerwać. Raz po raz spoglądaliśmy na siebie ukradkiem.

- Gdzie jest teraz Val s? - zapytałem w końcu.

- Niech pan o nim zapomni - uciął Fermín.

- Gdzie on jest? - powtórzyłem pytanie. - Jeśli mi pan nie powie, znajdę go sam.

- I co pan robi? Wejdzie mu pan do domu i go zabije?

- Czemu nie?

Fermín uśmiechnął się gorzko.

- Bo ma pan żonę i syna, szczęśliwe życie, bo jest pan otoczony ludźmi, których pan kocha i którzy kochają pana, bo ma pan wszystko, Danielu.

- Wszystko prócz matki.

- Mszcząc się, nie odzyska pan matki.

- Łatwo panu mówić. Pańskiej nikt nie zamordował...

Miałem wrażenie, że Fermín chce coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Jak pan sądzi, dlaczego pański ojciec nigdy nie opowiadał panu o

wojnie? Naprawdę pan myśli, że on nie ma żadnych podejrzeń, że nie domyśla się, co się stało?

- Jeśli tak jest, to dlaczego milczał? Dlaczego nic nie zrobił?

- Ze względu na pana, Danielu. Ze względu na pana. Pański ojciec przełknął to wszystko i słowa nie pisnął. Zrobił to samo co większość tych, którzy przeżyli wojnę. Z obu stron barykady. Po prostu nie mieli innego wyjścia. Codziennie mija ich pan na ulicy i nawet na nich nie zwraca uwagi. Ciepeli w milczeniu przez tyle lat, znosili trawiący ich ból, by pan i inni z pańskiego pokolenia mogli normalnie żyć. Niech się pan nie waży potępiać ojca. Nie ma pan do tego prawa.

Poczułem się tak, jakby najlepszy przyjaciel uderzył mnie w twarz.

- Niech się pan na mnie nie złości, Fermínie.

Fermín pokręcił głową.

- Nie złoścę się.

- Próbuję tylko lepiej to wszystko zrozumieć. Niech mi pan pozwoli zadać jedno pytanie. Tylko jedno.

- Jeśli dotyczy Val sa, to nie.

- Tylko jedno pytanie, proszę. Obiecuję, że nie będę dłużej pana męczył. Jeśli pan nie chce, proszę nie odpowiadać.

Fermín niechętnie pokiwał głową, mamrocząc coś pod nosem.

- Czy ten Mauricio Val s to ten sam Mauricio Val s, o którym myśle? - zapytałem.

Fermín przytaknął.

- Ten sam. Ten, który pełnił stanowisko ministra kultury jeszcze cztery czy pięć lat temu. Ten, o którym świętek czy piątek pisały gazety. Wielki Mauricio Val s. Pisarz, wydawca i myśliciel, półbóg i naj aśniejsza gwiazda na firmamencie frankistowskiej inteligencji. Ten oto Val s we własnej osobie -

odparł Fermín.

Dotarło do mnie wówczas, że tysiące razy natrafiałem w prasie na zdjęcia tego mężczyzny, słyszałem jego nazwisko, widywałem jego wizerunek na grzbietach książek w naszej księgarni. Do tamtej nocy Mauricio Val s był jedną z wielu postaci ze świecznika, jego nazwisko brzmiało mi znajomo, mogłem niewyraźnie przypomnieć sobie rysy jego twarzy; jego, i jak i tylu innych tworzących wokół nas ów specyficzny, rozmazany pejzaż, na który nie zwracamy uwagi, ale który zawsze nas

otacza. Do tamtej nocy, gdyby ktoś mnie zapytał, kim jest Mauricio Val s, odpowiedziałbym, że osobą, którą jakoś tam kojarzyłem, sławną w tamtych nędznych czasach, ale na którą nigdy nie zwróciłem szczególnej uwagi. Do tamtej nocy przez myśl mi nie przeszło, bo i skąd miałby powstać w mojej głowie podobny pomysł, że kiedyś nazwisko i twarz tego mężczyzny staną się na zawsze nazwiskiem i twarzą mordercy mojej matki.

- Ale... - zaprotestowałem.

- Nie ma żadnego ale. Powiedział pan „tylko jedno pytanie”, a ja”już na nie odpowiedziałem.

- Fermínie, nie może mnie pan zostawić w takiej niepewności.

- Niech mnie pan posłucha uważnie, Danielu.

Fermín chwycił mnie za rękę i spojrzał mi głęboko w oczy.

- Przysięgam panu, że jak tylko nadejdzie właściwy czas, osobiście pomogę panu znaleźć tego skurwysyna, choćby miała to być ostatnia rzecz, którą zrobię w życiu. Wtedy wyrównamy z nim porachunki. Ale nie teraz. Nie w ten sposób.

Spojrzałem na niego niepewny, co mam odpowiedzieć.

- Proszę mi obiecać, że nie zrobi pan żadnego głupstwa, Danielu.

Że zaczeka pan na odpowiedni moment.

Spuściłem wzrok.

- Nie może mnie pan o to prosić, Fermínie.

- Mogę. A nawet muszę to zrobić.

W końcu pokiwałem bez przekonania głową, a Fermín puścił moją rękę.



### 13.

Kiedy dotarłem do domu, była prawie druga w nocy. Wchodziłem już do bramy, kiedy zauważyłem, że w głębi księgarni, sądząc po słabym odbłasku za kotarą, pali się światło. Wszedłem od zaplecza i zobaczyłem ojca, który siedział przy swoim biurku. Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak pali papierosa. Przed ojcem na blacie leżała otwarta koperta, a obok niej list. Przysunąłem krzesło i usiadłem naprzeciwko ojca. Patrzył na mnie w milczeniu nieprzenikniętym wzrokiem.

- Dobre wieści? - zapytałem, wskazując na list.

Ojciec podał mi go.

- Od twojej ciotki Laury z Neapolu.

- Nie wiedziałem, że mam ciotkę w Neapolu.

- To siostra twojej matki, która wyjechała do rodziny we Włoszech w tym samym roku, w którym ty się urodziłeś.

Machinalnie przytaknąłem parę razy. W ogóle jej nie pamiętałem, a jej imię pobrzmiewało mi w pamięci pośród imion innych osób przybyłych na pogrzeb mojej matki, których nigdy więcej już nie spotkałem.

- Ciotka Laura pisze mi, że jej córka, Sofia, przyjeżdża na studia do Barcelony, i pyta, czy może przez jakiś czas zamieszkać u nas.

- Po raz pierwszy o niej słyszę.

- No to jest nas dwóch.

Trudno mi było wyobrazić sobie ojca dzielącego mieszkanie z nieznaną dziewczyną.

- I co jej odpowiesz?

Ojciec z obojętnym wyrazem twarzy wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę.

Przez jakiś czas patrzyliśmy na siebie w milczeniu, nie mając odwagi zacząć rozmowy na temat, który rzeczywiście nas zajmował, w przeciwieństwie do wizyty jakiejś kuzynki.

- Byłeś z Fermínem, prawda? - zapytał w końcu ojciec.

Skinąłem głową.

- Poszliśmy na kolację do Can Lluís. Mało brakowało, a Fermín

zjadłby nawet serwetki. Spotkaliśmy profesora Alburquerque, był tam na kolacji. Pozdrowiłem go od ciebie i zaprosiłem, żeby nas częściej odwiedzał.

Sam nie mogłem słuchać swojego głosu recytującego banał za banałem. Ojciec przyglądał mi się spięty.

- Opowiedział ci, co go gryzie.

- Ja myślę, że to są nerwy związane ze ślubem i tymi wszystkimi ceremoniałami, które dotąd omijał z daleka.

- I to wszystko?

Wytrawny kłamca wie, że najlepszym kłamstwem jest zawsze prawda podana z pominięciem najistotniejszej kwestii .

- No wiesz, opowiedział mi różne historie związane z jego przeszłością, kiedy siedział w więzieniu i tak dalej.

- W takim razie rozumiem, że wspomniał ci o adwokacie Briansie. Czy nie?

Nie miałem pojęcia, co dokładnie wie mój ojciec lub czego się domyśla, postanowiłem więc stąpać po temacie ostrożnie.

- Mówił mi, że trzymali go w zamku Montjuic i że udało mu się stamtąd uciec z pomocą niejakiego Davida Martina, którego ponoć ty też znałeś.

Ojciec długo nie odpowiadał.

- Nikt tego w mojej obecności nie miał odwagi powiedzieć, ale wiem, że są tacy, którzy wówczas wierzyli i wierzą nadal, że twoja matka była zakochana w Martinie - powiedział z uśmiechem tak smutnym, że natychmiast zdałem sobie sprawę, że i on się do tych osób zaliczał.

Są ludzie, którzy mają w zwyczaju uśmiechać się przesadnie, kiedy zbiera im się na płacz. Nie inaczej zachowywał się mój ojciec.

- Twoja matka była dobrą kobietą i dobrą żoną. Nie chciałbym, żebyś na podstawie tego, co ci Fermín mógł opowiedzieć, stworzył sobie o niej fałszywe wyobrażenie. On jej nie znał. A ja tak.

- Fermín niczego nie insynuował - powiedziałem.

- Mówił tylko, że mamę i Martina łączyła przyjaźń i że mama próbowała wydostać go z więzienia, wynajmując właśnie tego Adwokata, Briansa.

- Sądzę, że opowiedział ci również o Val sie.

Zawahałem się. Ojciec szybko dostrzegł konsternację w moich oczach i pokręcił przecząco głową.

- Twoja matka, Danielu, umarła na cholerę. Nie wiem dlaczego, i nigdy tego nie zrozumieć, Brians uparł się, by oskarżać tego karierowicza cierpiącego na manię wielkości o zbrodnię, nie mając na to żadnego dowodu ani nawet poszlaki.

Nic nie powiedziałem.

- Wybij sobie z głowy podobne pomysły. Chcę, żebyś mi przyrzekł, że nie będziesz o tym myślał.

Nadal milczałem, zastanawiając się, czy mój ojciec był rzeczywiście aż tak naiwny, czy też ból po śmierci mamy na tyle go zaślepił, że schował się w tchórzostwie tych, co przeżyli. Przypomniałem sobie słowa Fermína i powtórzyłem sobie, że nikt z nas nie ma prawa osądzać mojego ojca.

- Przyrzeknij mi, że nie popełnisz żadnego szaleństwa. A przede wszystkim że nie będziesz szukać tego człowieka - nalegał.

Zgodziłem się bez przekonania. Złapał mnie za ramię.

- Przysięgnij! Na pamięć swojej matki.

Poczułem, jak bolesny skurcz przeszywa mi twarz, i uświadomiłem sobie, że z całej siły zaciskam zęby. Odwróciłem wzrok, ale ojciec nie puszczał mojej ręki. Spojrzałem mu prosto w oczy, sądząc do ostatniej chwili, że będę umiał go okłamać.

- Przysięgam na pamięć mamy, że dopóki żyjesz, nic nie zrobię.

- Nie o to cię prosiłem.

- Tylko tyle mogę ci obiecać.

Mój ojciec pochylił głowę, oparł czoło o dłonie i głęboko westchnął.

- Kiedy umierała twoja matka, tam, na górze...

- Pamiętam doskonale.

- Miałeś pięć lat.

- Cztery lata i sześć miesięcy.

- Tamtej nocy Isabel a poprosiła mnie, żebym nigdy nie mówił ci, co się stało. Uważała, że tak będzie lepiej.

Po raz pierwszy słyszałem go, jak mówiąc o mamie, używa jej imienia.

- Tak, tato, wiem.

Spojrzał mi w oczy.

- Przepraszam - wyszeptał.

Wytrzymałem spojrzenie ojca. Czasami od samego wspomnienia i spoglądania na mnie zdawał się starzeć jakby szybciej. Wstałem i w milczeniu go przytuliłem. Przycisnął mnie mocno. Zaczął płakać i cała wściekłość i skrywany dotąd ból, nagromadzone przez te wszystkie lata, wreszcie znalazły ujście.

I wtedy zrozumiałem, choć nie potrafiłbym tego racjonalnie wyjaśnić, że mój ojciec powoli i nieubłaganie zaczął w tej właśnie chwili umierać.

**Część czwarta - Podejrzenie.**

1.

### **Barcelona, 1957**

Jasność świtu zaskoczyła mnie na progu sypialni małego Juliána, który nareszcie spał z dala od wszystkich i wszystkiego z uśmiechem na ustach. Usłyszałem zbliżające się korytarzem kroki Bei i poczułem na plecach jej dłonie.

- Jak długo tu jesteś? - spytała.

- Króciutko.

- Co robisz?

- Przyglądam mu się.

Podeszła do kołyski Juliána i pochyliła się, by pocałować go w czoło.

- O której wczoraj wróciłeś?

Nie odpowiedziałem.

- Co słysząc u Fermína?

- Radzi sobie jakoś.

- A u ciebie? - Uśmiechnąłem się zdawkowo. - Opowiesz mi? - nie ustępowała.

- Może jutro.

- Wydawało mi się, że między nami nie ma żadnych tajemnic - skwitowała Bea.

- Mnie też się tak wydawało.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Danielu?

- Nic. Nic nie chcę powiedzieć. Padam ze zmęczenia. Możemy się położyć?

Bea wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni. Gdy się położyliśmy, przytuliłem ją.

- W nocy śniła mi się twoja matka - powiedziała Bea. - Isabel a.

Szum deszczu zaczął drapać po szybach.

- Byłam małą dziewczynką, a ona prowadziła mnie za rękę.

Znajdowałyśmy się w ogromnym i bardzo starym domu, z przestronnymi salonami, z fortepianem, z galerią prowadzącą do ogrodu ze stawem. Przy stawie bawił się chłopczyk podobny do

Juliána, ale ja wiedziałam, że to nie Julián, tylko ty, ale nie pytaj mnie dlaczego. Isabel a klękała przy mnie i pytała mnie, czy cię widzę. A ty puszczałeś papierową łódeczkę na wodę. A ja odpowiadałam jej, że widzę. I wówczas prosiła mnie, żebym się tobą opiekowała. Żebym wzięła cię na zawsze pod opiekę, bo ona musi iść już daleko.

Leżeliśmy w milczeniu, długo słuchając dzwonięcia deszczu.

- Co ci Fermín powiedział?

- Prawdę - odparłem. - Powiedział mi prawdę.

Bea słuchała mnie w milczeniu, a ja usiłowałem zrekonstruować historię Fermína. Z początku czułem, jak wściekłość ponownie we mnie narasta, ale w miarę rozwijania opowieści opanowywał

mnie głęboki smutek i ogromna beznadzieja. Wszystko, co usłyszałem z ust Fermína, było dla mnie czymś tak zaskakująco nowym, że nie miałem jeszcze pojęcia, jak właściwie mam żyć z powierzonymi mi sekretami i z konsekwencjami tego wszystkiego, co Fermín mi wyznał. Wypadki przezeń opowiedziane miały miejsce prawie dwadzieścia lat temu i czas skaza! mnie na odgrywanie roli zwykłego widza w spektaklu, podczas którego zaczęła się prążyć nić mojego przeznaczenia.

Kiedy skończyłem swoją relację, zdałem sobie sprawę, że Bea przygląda mi się ze szczerą troską.

Nietrudno było odgadnąć, jakie myśli klębią jej się w głowie.

- Przynajmniej za jego życia nie zacznę szukać tego człowieka, Val sa, i w ogóle nic w tej sprawie nie zrobię - dodałem, żeby ją uspokoić.

- Za jego życia? A później? A o nas pomyślałeś? O Juliánie?

- Oczywiście, że pomyślałem. Nie masz powodu do zmartwienia - skłamałem. - Po rozmowie z ojcem zrozumiałem, że to wszystko wydarzyło się już dawno temu i nic już się nie da zrobić, żeby to zmienić.

Bea nie wyglądała na przekonaną co do mojej szczerości.

- Taka jest prawda - skłamałem znowu.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, ale wobec tego, że przecież takie właśnie słowa pragnęła usłyszeć, w końcu uległa pokusie, by tym słowom uwierzyć.

## 2.

Tego samego wieczoru, gdy deszcz bez wytchnienia biczował wyludnione i pokryte kałużami ulice, w szybach księgarskiej witryny wyrosła złowieszcza i wyniszczona przez czas postać Sebastiana Salgado. Przyglądał się nam z właściwym sobie drapieżnym wyrazem twarzy, na którą padało światło lampek bożonarodzeniowej szopki. Ubrany był w ten sam co poprzednio garnitur, który teraz ociekał wodą. Podeszedłem do drzwi, by mu je otworzyć.

- Śliczna szopka - powiedział.

- Zapraszam do środka.

Przytrzymałem drzwi. Salgado wszedł, kuśtykając. Postawiwszy kilka zaledwie kroków, zatrzymał się i wsparł na lasce. Fermín z obawą patrzył nań znad lady. Salgado się uśmiechnął.

- Kopę lat, Fermínie - odezwał się.

- Sądziłem, że pan nie żyje - odparł Fermín.

- I ja o panu też tak myślałem, jak zresztą wszyscy. Tak nas przynajmniej poinformowano. Że złapano pana podczas próby ucieczki i kulka w łeb.

- Płonna nadzieja.

- Jeśli mam być szczery, to jednak żywiłem cały czas nadzieję, że udało się panu zwać. Wie pan, złego licha...

- Wzrusza mnie pan, Salgado. Kiedy pan wyszedł?

- Już będzie z miesiąc.

- Nie powie mi pan, że wypuszczono pana za dobre sprawowanie? - spytał Fermín.

- Wydaje mi się, że zmęczyli się już oczekiwaniem, aż odwalę kitę. Nie uwierzy pan, ale ułaskawiono mnie. Mam akt podpisany przez samego Generalissimusa Franco.

- Śmiem podejrzewać, że kazał go pan w ramki oprawić.

- Trzymam go na honorowym miejscu: tuż przy klozecie, na wypadek gdyby mi się papier toaletowy skończył.

Salgado zbliżył się do lady i wskazał krzesło stojące w kącie.

- Nie będzie panom przeszkadzało, jeśli spocznę? Trudno mi się

jeszcze przyzwyczać do przejścia dziesięciu metrów w lini prostej, szybko się męczę.

- Proszę się nie krępować - zaprosiłem go.

Salgado padł na krzesło, głęboko nabrał powietrza i zaczął masować sobie kolano. Fermín przypatrywał mu się, jakby obserwował szczura, który właśnie wydostał się z muszli klozetowej.

- Trzeba trafu, że ten, o którym myśleliśmy, że pierwszy wyciągnie kopyta, jest ostatnim... Wie pan, Fermínie, co mnie trzymało przy życiu przez te wszystkie lata?

- Gdybym nie znał pana jak zły szeląg, to powiedziałbym, że dieta śródziemnomorska i zdrowe powietrze.

Z krtani Salgada wydobyło się coś, co pewnie miało być śmiechem, ale w rzeczywistości brzmiało jak charczenie i ostry napad kaszlu bliski atakowi duszności.

- Nic się pan, Fermínie, nie zmienił, nic a nic. Za to właśnie pana lubiłem. To były czasy. No ale nie przyszedłem tu państwa nudzić naszymi sprawkami, a zwłaszcza młodego człowieka, bo nasze przeżycia w ogóle przecież obecnej młodzieży nie interesują. Pana na pewno pasjonuje charleston czy jak go dzisiaj zwą. Możemy porozmawiać o interesach?

- Słucham.

- To raczej ja słucham pana, Fermínie. Bo to, co miałem do powiedzenia, już powiedziałem. Czy dostanę to, co mi się należy? Czy też będziemy musieli wywołać awanturę, której chyba powinien pan raczej uniknąć?

Fermín przez chwilę w ogóle nie reagował. W księgarni zapanowała krępująca cisza. Salgado przeszywał mego przyjaciela wzrokiem tak, jakby zaraz miał strzyknąć trucizną. Fermín rzucił ku mnie spojrzenie, którego nie zdołałem rozszyfrować, i westchnął ciężko przybity.

- Wygrał pan, Salgado.

Wyjął z kieszeni jakiś mały przedmiot i wyciągnął dłoń. Klucz. Klucz. Oczy Salgada rozbłysły jak oczy dziecka. Wstał i powoli podszedł do Fermína. Przejął klucz jedyną zdrową i drżącą od emocji dłonią.

- Jeśli ma pan zamiar znowu schować go sobie poprzez odbyt, byłbym wdzięczny, gdyby udał się pan w tym celu do toalety, bo przebywa pan w lokalu rodzinnym otwartym dla publiczności - ostrzegł



Fermín.

Salgado, który odzyskał rumieniec i wigor młodzieńczy, rozpląnął się w uśmiechu bezgranicznego zadowolenia.

- Jeśli się dobrze zastanowić, to przechowując ten klucz przez tyle lat, wyświadczył mi pan największą przysługę w życiu - oświadczył.

- Po to ma się przyjaciół - odparł Fermín. - Z Bogiem. I proszę bez wahania nigdy tu nie zaglądać.

Salgado uśmiechnął się i puścił do nas oko. Skierował się ku wyjściu, zaabsorbowany już całkowicie swoimi myślami. Zanim jednak wyszedł na ulicę, odwrócił się i uniósł rękę w jakby pojednawczym geście.

Patrzyliśmy za odchodzącym w strugach deszczu staruszką, w oczach nielicznych przechodniów pewnie biednym, starym człowiekiem, dożywającym swoich dni, który w tej chwili, byłem tego pewien, nie czuł ani zimnych kropel deszczu na twarzy, ani tych wszystkich lat i nieszczęść przebytych w więzieniu. Spojrzałem na Fermína. Stał jak wbity w podłogę, blady i niedowierzający własnym oczom, że w dal odchodzi dawny kompan z celi.

- I co? Puścimy go tak, po prostu? - zapytałem.

- A ma pan lepszy plan?

### 3.

Po upływie rutynowo odczekanej, na wszelki wypadek, minuty, wypadliśmy na ulicę, każdy z nas ubrany dla niepoznaki w ciemny płaszcz gabardynowy, chowając się przed deszczem pod jednym parasolem wielkości parasola plażowego, który Fermín kupił w portowym sklepiku ze starzyzną, uważając, że będzie w sam raz i na zimowe szarugi, i na letnie eskapady z Bernardą na plażę Barcelonety.

- Fermínie, pod tym spadochronem zwracamy większą uwagę niż dwie dupy zza krzaka -  
ostrzegłem.

- Panie Danielu, bez nerwów, nie ma się czego obawiać, bo ten nicpoń ma w oczach tylko złote dublony spadające z nieba -  
odpowiedział mi Fermín.

Salgado wyprzedzał nas o kilkaset metrów i choć kulał, szedł całkiem szparko ulicą Condal, nie zważając na deszcz. Przyspieszyliśmy, skracając dzielący nas dystans, i niemal w ostatniej chwili zauważyliśmy, że akurat wsiada do tramwaju jadącego Via Layetana.

Złożywszy w biegu monstrualny parasol, rzuciliśmy się za tramwajem, by cudem wskoczyć na tylne bufory. Jak za najlepszych czasów jechaliśmy „na cycu”. Salgado znalazł miejsce z przodu wagonu, którego, nie wiedząc, z kim ma do czynienia, ustąpił mu jakiś dobry samarytanin.

- Oto korzyści płynące z sędziwego wieku - skwitował Fermín. - Nikt już o starych nie pamięta, że oni też byli kiedyś najzwyczajszymi szczylami.

Tramwaj, jadąc ulicą Trafalgar, dotarł do Łuku Triumfalnego. Wychyliliśmy głowy, by zajrzeć do środka. Salgado siedział bez ruchu na swoim miejscu. Konduktor, mężczyzna obdarzony bujnym, przystrzyżonym wąsem, obserwował nas ze ściągniętymi brwiami.

- Proszę sobie nie myśleć, że za jazdę na buforze przysługuje panom prawo do biletu ulgowego.

Mam na panów oko od samego początku.

- Nikt już nie docenia realizmu społecznego - burknął Fermín. - Co

za kraj!

Podaliśmy konduktorowi drobne i wydał nam bilety. Gotowi byliśmy uznać, że Salgado zasnął, ale gdy tramwaj znalazł się na torach prowadzących w kierunku Dworca Północnego, wstał i pociągnął za sznurek, żeby tramwaj zatrzymał się na przystanku na żądanie. Korzystając z tego, że motorniczy zaczął hamować, zeskoczyliśmy przy modernistycznym pałacu, w którym mieściły się biura firmy hydroelektrycznej. Resztę drogi do przystanku pokonaliśmy na piechotę. Widzieliśmy, jak Salgado przy pomocy dwóch pasażerów wysiada z tramwaju i udaje się w stronę dworca.

- Czy myśli pan to samo co ja? - spytałem.

Fermín przytaknął. Podążaliśmy za Salgadem, kryjąc się albo wprost przeciwnie, demonstracyjnie obnosząc się z ogromnym parasolem Fermína. Znalazłszy się w hali dworcowej, Salgado podszedł do ściany metalowych szafek, stojących jedna przy drugiej i wyglądających jak niewielkie kolumbarium.

Usiedliśmy w bezpiecznej odległości na ławce znajdującej się w półcieniu.

Salgado stał przed rzędem szafek i przyglądał im się w skupieniu.

- Może zapomniał, gdzie ukrył łup? - spytałem.

- A gdzie tam. Od dwudziestu lat czeka na tę chwilę. A teraz tę chwilę smakuje.

- Skoro pan tak twierdzi... Ja jednak obstaję przy swoim, że zapomniał.

Siedzieliśmy na ławce, nie spuszczając w miarę możliwości oka z Salgada i czekając.

- Nigdy mi pan nie powiedział, gdzie też schował pan klucz po ucieczce z zamku... -

zaryzykowałem.

Fermín spojrzał na mnie oschle.

- Nie mam najmniejszego zamiaru poruszać tego tematu, panie Danielu.

- O nic nie pytałem. Koniec.

Oczekiwanie się przeciągało.

- Może ma współnika - powiedziałem - i czeka na niego.

- Salgado nie lubi się dzielić.

- Może jest ktoś jeszcze...

- Psst - Fermín nakazał mi milczeć, wskazując na Salgada, który w końcu się ruszył.

Staruszek podszedł do jednej z szafek i położył rękę na metalowych drzwiczkach. Wyjął klucz i włożył go do zamka. W tej samej chwili od strony peronów wyłonił się z zza węgła hali patrol Gwardi Obywatelskiej i zaczął zbliżać się do miejsca, w którym Salgado mocował się z czymś, co próbował wyjąć z szafki.

- Ojjoj... - jęknąłem.

Salgado odwrócił się i pozdrowił patrol. Zamienili ze sobą kilka słów i jeden z gwardzistów wyciągnął z szafki walizkę i postawił ją obok Salgada. Złodziej wylewnie podziękował za pomoc, gwardziści zaś, zasalutowawszy, ruszyli, by kontynuować patrolowanie dworca.

- Niech żyje Hiszpania - szepnął Fermín.

Salgado chwycił walizkę i zatargał ją ku ławce znajdującej się dość daleko od naszej, bo na przeciwległym końcu hali.

- Chyba nie otworzy jej tutaj, prawda? - spytałem.

- Musi się upewnić, że wszystko jest na miejscu - odparł Fermín. - Długo czekał ten łajdak i nacierpiał się niemało, żeby odzyskać swój skarb.

Salgado rozejrzał się raz wokół siebie, i jeszcze raz, by upewnić się, że w pobliżu nie ma nikogo, i wreszcie się zdecydował. Widzieliśmy, jak otwiera walizkę i zagląda do środka.

Zastygł w tej pozycji i siedział tak nieruchomo przez minutę niemal. Patrzyliśmy na siebie z Fermínem, nic nie rozumiejąc. Nagle Salgado zamknął walizkę i wstał. I jak wstał, tak ruszył ku wyjściu, zostawiając walizkę na wprost otwartej szafki.

- Co on wyprawia? - zapytałem. Fermín wstał i dał mi znak.

- Pan, Danielu, łapie za walizkę, a ja idę za nim.

Nie dając mi czasu na jakąkolwiek reakcję, Fermín pobiegł ku wyjściu, ja zaś szybkim krokiem udałem się w miejsce, gdzie Salgado zostawił walizkę. Jakiś cwaniaczek, który czytał gazetę na pobliskiej ławce, zdążył już zahaczyć okiem o sakwojaż i rozglądając się na boki, by upewnić się, że nikt go nie widzi, wstał i skoczył niczym sęp osaczający swą ofiarę. Przyspieszyłem. Już intruz sięgał

po nią ręką, kiedy cudem ubiegłem go w ostatniej chwili.

- To nie pańska walizka - powiedziałem.

Wbił we mnie wrogie spojrzenie i złapał za uchwyt.

- Mam wezwać Gwardię Obywatelską? - spytałem.

Chłystek przerażony wypuścił walizkę i zwiął w stronę peronów.

Wziąłem ją i usiadłem na najbliższej ławce. Upewniając się, że nikt na mnie nie patrzy, otworzyłem walizkę.

Były w niej tylko bezwartościowe stare gazety.

W tym samym momencie usłyszałem wrzaski i uniosłem wzrok.

Przy wejściu na dworzec zrobiło się zbiegowisko. Wstałem i przez szyby zobaczyłem, że patrol Gwardii Obywatelskiej przeciska się przez tłum ciekawskich stojących w strugach deszczu. Kiedy ludzie się rozstąpili, ujrzałem Fermína klęczącego na ziemi i trzymającego w ramionach Salgada. Krople deszczu spadały na otwarte oczy starca. Przechodząca obok mnie kobieta, przytknąwszy dłoń do ust, stłumiła krzyk przerażenia.

- Co się stało? - zapytałem.

- Biedny staruszek, padł właśnie jak ścięty - powiedziała.

Wyszedłem z dworca i dołączyłem do grupki przyglądającej się scenie. Zobaczyłem, jak Fermín unosi wzrok i rozmawia z obydwoma gwardzistami. Jeden z nich cały czas przytakiwał. Fermín zdjął swój płaszcz i przykrył nim ciało Salgada, zasłaniając również twarz. Kiedy dopchnąłem się do pierwszego rzędu ciekawskich, zauważyłem, że spod płaszcza wystaje dłoń z trzema palcami, na której leżał, rozbłyskując w kroplach deszczu, mały klucz. Ośloniłem Fermína parasolem i ująłem go pod ramię. Powoli się oddaliliśmy.

- Dobrze się pan czuje, Fermínie?

Przyjaciel wzruszył ramionami.

- Chodźmy do domu - zdołał tylko powiedzieć.

#### 4.

Gdy oddalaliśmy się od stacji, zdjąłem płaszcz i zarzuciłem Fermínowi na ramiona. Jego własny okrywał zwłoki Salgada. Dość szybko nabrałem przekonania, że mój przyjaciel nie nadaje się na jakąkolwiek dłuższą przechadzkę, więc zatrzymałem taksówkę. Otworzyłem drzwiczki, usadowiłem go na tylnym siedzeniu, po czym wsiadłem do taksówki z drugiej strony.

- W walizce były tylko stare gazety - powiedziałem. - Ktoś wyrolował Salgada.

- Kto złodzieja okrada...

- A jak pan myśli, kto to mógł być?

- Pewnie ten sam, który powiedział mu, że mam jego klucz i gdzie można mnie znaleźć - powiedział

cicho Ferrnín.

- Val s?

Przygnębiony Fermín westchnął głęboko.

- Nie mam pojęcia, Danielu. Sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Zauważyłem w lusterku pytający wzrok taksówkarza.

- Na ulicę Fernando przy samym placu Real - podałem adres.

- Nie wracamy do księgarni? - zapytał Fermín, tak przygaszony, że nawet nie miał siły i ochoty wszczynać dysputy na temat celu naszej podróży.

- Ja wracam. Ale pan pojedzie do domu don Gustava, by spędzić resztę dnia z Bernardą.

Przez całą drogę jechaliśmy w milczeniu. Deszcz rozmywał Barcelonę. Kiedy dojechaliśmy do arkad na ulicy Fernando, gdzie kilka lat temu poznałem Fermína, zapłaciłem za kurs i wysiedliśmy.

Odprowadziłem Fermína do portalu kamienicy don Gustava i uścisnąłem przyjaciela.

- Niech pan odpocznie. I niech pan coś zje, bo w przeciwnym razie Bernarda w noc poślubną nadzieje się na kość.

- Nie ma zmartwienia. Bo jeśli o mnie chodzi, mogę przybrać na wadze szybciej niż sopranistka, wystarczy tylko, że poweźmę takie

postanowienie. Zaraz jak tylko znajdę się na górze, nafaszeruję się ciasteczkami, które don Gustavo kupuje w delikatesach Quílez, i jutro będę utuczony jak gęś wielkanocna.

- Trzymam pana za słowo. Proszę pozdrowić narzeczoną.

- Bardzo dziękuję, nie omieszka, choć biorąc pod uwagę, jak się mają rzeczy z prawno-administracyjnego punktu widzenia, wydaje się, że niestety będziemy żyć w grzechu.

- Mowy nie ma. Pamięta pan, co mi pan kiedyś powiedział? Że przeznaczenie nie puka do drzwi naszego domu. Trzeba za nim ruszyć, wyjść mu na spotkanie.

- Muszę panu wyznać, że wziąłem to z jednej księżki Caraxa. Ładnie brzmiało.

- Ale ja w to uwierzyłem i nadal w to wierzę. I dlatego twierdzę, że pańskim przeznaczeniem jest ożenić się z Bernardą w wyznaczonym dniu i jak Bóg przykazał, z księżmi, ryżem, marszem weselnym, z imieniem i z nazwiskiem.

Fermín spojrzał na mnie sceptycznie.

- Jakem Daniel, będzie miał pan ślub jak angielski książę - przyrzekłem Fermínowi tak zdruzgotanemu, iż śmiałem sądzić, że ani paczka sugusów, ani film w kinie Femina z Kim Novak, prezentującą szpiczaste staniki zaprzeczające prawu ciąży, nie zdołałyby wydobyć go z tego stanu apatii .

- Skoro pan tak mówi. Danielu.

- Pan przywrócił mi prawdę - odparłem. - Ja panu przywrócę imię i nazwisko.

## 5.

Tego samego popołudnia po powrocie do księgarni zacząłem realizować plan przywrócenia Fermínowi tożsamości. Na początku przeprowadziłem na zapleczu kilkanaście rozmów telefonicznych i ustaliłem harmonogram działań. A potem pozostało mi jedynie odwołać się do talentu i niezawodnej skuteczności doświadczonych specjalistów.

Następnego dnia, słonecznym i przyjemnym popołudniem skierowałem swe kroki ku bibliotece przy ulicy Carmen, gdzie umówiłem się z profesorem Alburquerque, święcie przekonany, że jeśli on czegoś nie wie, to już nikt tego nie wie.

Zastałem go w głównej czytelni, obłożonego książkami i papierami i w skupieniu robiącego notatki.

Nic nie mówiąc, zająłem miejsce po drugiej stronie stołu i nie przeszkadzałem mu w pracy. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z mojej obecności. Uniósłszy wzrok znad stołu, spojrzał na mnie zaskoczony.

- Sądząc po pańskim skupieniu, pracuje pan nad czymś nader emocjonującym - zagałem na chybił trafił.

- Pracuję nad cyklem artykułów poświęconych barcelońskim pisarzom przeklętym - wyjaśnił. - Czy pamięta pan takiego autora jak Julián Carax, którego mi pan polecił parę miesięcy temu?

- Oczywiście - odparłem.

- Właśnie robię kwerendę, szukam materiałów o jego życiu i twórczości. Nawet nie wyobraża pan sobie, jaka to nieprawdopodobna historia. Czy wiedział pan, że przez całe lata jakaś postać z piekła rodem szukała po całym świecie egzemplarzy książek Caraxa tylko po to, żeby je spalić?

- Niemożliwe! - powiedziałem z udawanym zdziwieniem.

- Niezwykle ciekawa sprawa. Jak skończę o nim pisać, prześlę panu artykuł.

- Powinien pan napisać książkę na ten temat - zaproponowałem. - Sekretną historię Barcelony widzianą przez pryzmat naszych pisarzy przeklętych i zakazanych, funkcjonujących tylko w nieoficjalnym obiegu.



Widać było, że profesora zaintrygował ten pomysł.

- Prawdę mówiąc, chodziło mi to po głowie, ale zajęcia na uniwersytecie i pisanie artykułów zajmują mi już tyle czasu.

- Nikt poza panem tego nie napisze.

- Może wezmę głęboki oddech i dam nura. Nie wiem tylko kiedy...

- Firma Sempere i Synowie oddaje do pańskiej dyspozycji wszystkie swoje zasoby i służy wszelką pomocą.

- Będę to miał na uwadze. To co? Idziemy na obiad?

Profesor Alburquerque uznał, że nadszedł czas fajrantu, i skierowaliśmy nasze kroki ku Casa Leopoldo, gdzie umilając sobie czas winem i wyśmienitą szynką serrano, czekaliśmy na danie dnia, czyli byczy ogon.

- A co słyhać u naszego przyjaciela Fermína? Gdy ostatni raz widziałem go w Can Lluís, sprawił na mnie wrażenie mocno strapionego.

- Właśnie o tym chciałem z panem profesorem porozmawiać. To delikatna sprawa i muszę pana prosić, by ta rozmowa została między nami.

- Oczywiście. Na czym polega problem?

Przystąpiłem do naszkicowania mu sytuacji, krótko i treściwie, unikając wchodzenia w makabryczne i zbędne szczegóły. Profesor wyczuł natychmiast, że w swojej opowieści przeskakuję nad wieloma epizodami, ale jeszcze raz wykazał się swą sławetną dyskrecją i taktem.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem - powiedział. - Fermín nie może używać swojego imienia i nazwiska, gdyż oficjalnie został uznany za zmarłego osiemnaście lat temu i tym samym, z punktu widzenia państwa, nie istnieje.

- Zgadza się.

- Ale z pańskiej opowieści wynika, iż ta tożsamość, w swoim czasie skreślona z państwowego rejestru, była fikcją, wymysłem samego Fermína z czasów wojny, dzięki któremu ocalał życie.

- Zgadza się.

- Niemniej w tym miejscu się gubię. Niech mi pan, panie Danielu, pomoże. Jeśli Fermín wyciągnął już raz z kapelusza fałszywą tożsamość, dlaczego nie wymyśli

sobie teraz drugiej, żeby móc się ożenić?

- Z dwóch powodów, panie profesorze. Pierwszy jest natury praktycznej, to znaczy: czy Fermín użyje swojego obecnego nazwiska, czy wymyśli kolejne, i tak nie ma żadnych papierów ani żadnej tożsamości, a tym samym jakąkolwiek chciałby przyjąć, i tak trzeba ją stworzyć od zera.

- A on, jak się domyślam, chciałby pewnie pozostać Fermínem.

- Otóż to. I to jest ten drugi powód, tym razem, by tak rzec, natury duchowej, a tym samym znacznie ważniejszy. Fermín chce być nadal Fermínem, bo to w Fermínie, a nie w kim innym zakochała się Bernarda, bo to Fermín jest naszym przyjacielem, tym, którego znamy, i tym, którym on sam chce być.

Ten człowiek, którym był kiedyś, już od dawna dla niego nie istnieje. Tę skórę zrzucił całe lata temu.

Nawet ja, jego najbliższy przyjaciel, nie wiem, jakim imieniem go ochrzczono. Dla mnie osobiście, dla wszystkich, którzy go kochają, a przede wszystkim dla niego samego on jest Fermínem Romero de Torres. Wobec tego, jeśli mówimy o stworzeniu mu nowej tożsamości, dlaczego nie przywrócić mu jego własnej?

Wysłuchawszy mojego wywodu, profesor Alburquerque chwilę podumał i wreszcie przytaknął.

- Zgadza się - zawyrokował.

- Czy pana zdaniem, panie profesorze, jest to wykonalne?

- Szczerze mówiąc, to zadanie rodem z Don Kichota - ocenił profesor. - Jak zaopatrzyć kawalera smętnego oblicza, don Fermína z Manczy, w szlachecki herb i plik fałszywych dokumentów, dzięki którym będzie mógł poślubić swą wybrankę, piękną Bernardę z Toboso przed Bogiem i urzędem stanu cywilnego?

- Przeczytałem odpowiednie przepisy, przemyślałem to i owo - powiedziałem. - Tożsamość obywatela naszego kraju zaczyna się wraz z wydaniem metryki urodzenia, dokumentu, jeśli przyjrzeć mu się dokładnie, bardzo prostego w gruncie rzeczy.

Profesor zmarszczył brwi.

- To, co pan sugeruje, to rzecz bardzo delikatna. Nie wspominając już o tym, że to nawet nie pachnie przestępstwem, tylko po prostu jest przestępstwem.

- Za to bez precedensu, panie profesorze, przynajmniej w annałach sądowych. Sprawdziłem to.

- Proszę kontynuować, zamieniam się w słuch.

- Załóżmy, że ktoś, kto, hipotetycznie, ma dostęp do biur urzędu stanu cywilnego, mógłby podrzucić, by tak rzec, metrykę do archiwum... Czy nie stanowiłoby to podstawy, by orzec tożsamość danej osoby?

Profesor pokręcił głową.

- Dla kogoś nowo narodzonego, być może, ale jeśli mówimy, hipotetycznie, o osobie dorosłej, należałoby stworzyć cały zestaw dawnych dokumentów. Nawet gdyby miał pan, hipotetycznie, dostęp do archiwum, skąd teoretycznie miałby pan zdobyć owe dokumenty?

- Powiedzmy, że potrafiłbym zrobić pakiet wiarygodnych faksymiliów. Czy w takim przypadku rzecz cała byłaby do przeprowadzenia?

Profesor raz jeszcze wszystko dokładnie przemyślał.

- Główne ryzyko polega na tym, że ktoś może odkryć oszustwo i będzie je chciał ujawnić. Mając na uwadze, że w tym konkretnym przypadku strona, która mogłaby stwarzać potencjalne zagrożenie, zmarła, problem ograniczyłby się do, primo, dostępu do archiwum i włączenia do systemu teczki z jak najbardziej wiarygodnymi dokumentami poświadczającymi fałszywą tożsamość, i secundo, do wygenerowania całego pliku dokumentów niezbędnych do ustalenia owej tożsamości. Mówię o papierach wszelakiej maści, od parafialnego odpisu metryki chrztu po poświadczenia, zaświadczenia, dowody osobiste...

- Co do punktu pierwszego, o ile wiem, pan profesor jest w trakcie pisania cyklu artykułów o wspaniałych dokonaniach hiszpańskiego systemu prawnego na zamówienie władz miejskich Barcelony przygotowujących odpowiedni raport. Również przejrzałem trochę materiałów i popytałem tu i ówdzie, i wiem, że podczas wojny wiele archiwów urzędów stanu cywilnego zostało bezpowrotnie zniszczonych, co oznacza, że tysiące dokumentów poświadczających tożsamość musiały zostać, jakkolwiek, bo jakkolwiek, ale odtworzone. Nie jestem ekspertem, ale śmiem sądzić, że taka sytuacja mogła spowodować powstanie luki, którą ktoś dobrze poinformowany, posiadający

odpowiednie kontakty i plany, mógłby wykorzystać...

Profesor przyjrzał mi się uważnie.

- Panie Danielu, widzę, iż rzeczywiście przeprowadził pan kawał pracy badawczej.

- Proszę mi, panie profesorze, wybaczyć śmiałość, ale dla mnie szczęście Fermína jest warte tego, a nawet i dużo więcej.

- Przysparza to panu wyłącznie zaszczytu. Ale mogłoby to również przysporzyć nie lada kłopotów temu, kto usiłowałby coś takiego zrobić i zostałby przyłapany na gorącym uczynku.

- Dlatego pomyślałem, że gdyby ktoś miał, hipotetycznie, dostęp do jednego z archiwów urzędu stanu cywilnego, wówczas mógłby mieć ze sobą pomocnika, który, by tak rzec, wziąłby w razie czego całe ryzyko na siebie.

- W takim przypadku ów hipotetyczny pomocnik powinien zagwarantować pomocnej osobie dwudziestoprocentową zniżkę od ceny każdej książki nabytej w księgarni Sempere i Synowie.

Oczywiście dożywotnio. I bonus w postaci zaproszenia na ślub nowo narodzonego.

- To pan profesor ma jak w banku. A zniżka będzie nawet dwudziestopięcioprocentowa, aczkolwiek skądinąd wiem, że są i takie osoby, które hipotetycznie, dla samej przyjemności dokopania skorumpowanemu i zgniłemu reżimowi, przyjąłby propozycję współpracy pro bono, o nic w zamian nie prosząc.

- Panie Danielu, ja jestem tylko zwykłym nauczycielem akademickim. Sentymentalny szantaż to nie ze mną.

- Wobec tego dla Fermína.

- A, to zupełnie inna sprawa. Przejdźmy do ustaleń technicznych.

Wyciągnąłem stupeśetowy banknot, który dostałem od Salgada, i pokazałem profesorowi.

- Oto moja propozycja na pokrycie kosztów i wszelkich innych działań związanych z wystawieniem dokumentów - dopowiedziałem.

- Widzę, że nie żałuje pan amunicji, ale lepiej niech pan schowa te pieniądze na inne wydatki, których wymagać pewnie będzie to przedsięwzięcie, moje usługi bowiem wyświadczę panu gratis -

odrzekł profesor. - Najbardziej martwi mnie, szanowny pomocniku, sprawa niezbędnego zaplecza dokumentacyjnego. Nowi centurioni

reżimu, poza inwestowaniem w sztuczne zapory i mszały, zajęli się również rozbudowywaniem i tak już potwornego aparatu biurokratycznego, godnego najgorszych koszmarów Franza Kafki. Nasz przypadek wymagać będzie zebrania wszelkiego rodzaju listów, pism, podań i tym podobnych dokumentów, cechujących się nie tylko najwyższym stopniem prawdopodobieństwa, ale zarazem swoistą fakturą, przepojonych wonią, otoczonych odpowiednią aurą dla mocno już zużytego, zakurzonego i niepodważalnego dossier...

- To mamy zapewnione - stwierdziłem.

- Zastrzegam sobie prawo do otrzymywania na bieżąco informacji o liście kolejnych współników w tym sprzysiężeniu, bo muszę mieć pewność, że pan nie blefuje.

Przystąpiłem do wyjaśnienia mu następnych szczegółów planu.

- To się może nawet udać - podsumował profesor.

Gdy tylko na stole pojawiło się danie główne, uznaliśmy temat za zakończony, a rozmowa skierowana została na inne tory. W czasie kawy, choć dotąd gryzłem się co chwila w język, już nie wytrzymałem i udając, że sprawa jest zupełnie błaha, zadałem w końcu pytanie.

- A propos, panie profesorze, parę dni temu w księgarni, podczas rozmowy z jednym z naszych klientów wypłynęło nagle nazwisko Mauricio Val sa, tego, między innymi, byłego ministra kultury. Wie pan coś o nim?

Profesor uniósł brew.

- O Val sie? Chyba to samo co wszyscy ludzie, jak sądzę.

- Panie profesorze, na pewno wie pan więcej od innych. Dużo więcej.

- No cóż, szczerze mówiąc, wiele lat już nie słyszałem tego nazwiska, ale jeszcze nie tak dawno temu Mauricio Val s to była nietuzinkowa postać. Jak pan wspomniał, był naszym znamienitym i sławetnym ministrem kultury przez kilka lat, dyrektorem wielu instytucji i przewodniczącym rozmaitych ciał, człowiekiem dobrze umocowanym w aparacie władzy, cieszył się dużym prestiżem w branży jako protektor licznych artystów, beniaminek wielu działów kultury hiszpańskiej prasy... Cóż ja panu nowego mogę powiedzieć, bardzo znana kiedyś postać.

Uśmiechnąłem się leciutko, jakby to, co przed chwilą usłyszałem, było dla mnie miłym zaskoczeniem.

- A teraz już nie?

- Po prostu powiedziałbym, że jakiś czas temu zniknął ze sceny, a przynajmniej ze sfery życia publicznego. Nie jestem pewien, czy wysłano go w ambasadory, czy nominowano na szefa jakiejś instytucji międzynarodowej, przecież dobrze pan wie, jak to działa, nie będę jednak ukrywał, że od jakiegoś czasu nie mam o nim żadnych wieści... Wiem, że założył z jakimiś ludźmi spółkę wydawniczą, ale to już lata temu. Wydawnictwo prosperuje i publikuje sporo tytułów. Każdego miesiąca otrzymuję zaproszenia na uroczystą promocję jakiejś ich nowej publikacji.

- A Val s bierze udział w tych promocjach?

- Kiedyś owszem. Zawsze pokpiwaliśmy sobie z niego, bo więcej mówił o sobie niż o promowanej książce, ale to było już dawno temu. Nie widuję go od lat. Panie Danielu, a mogę wiedzieć, skąd to zainteresowanie? Bo jakoś mi pan nie wygląda na żadnego wieści z małego targowiska próżności naszej literatury.

- Nie, nie, to zwykła ciekawość.

- No tak.

Profesor Alburquerque, płacąc rachunek, patrzył na mnie z ukosa.

- Dlaczego zawsze ulegam wrażeniu, że z całego tortu dostaję już nawet nie kawałek, ale okruchy?

- Panie profesorze, nadejdzie dzień, kiedy opowiem panu wszystko. Przrzekam.

- I radzę dotrzymać słowa, bo miasta pozbawione są pamięci i ktoś taki jak ja, całkiem przytomny mól książkowy, jest im niezbędny, żeby tę pamięć zachować przy życiu.

- I taka jest nasza umowa: pan profesor pomaga mi rozwiązać problem Fermína, a ja któregoś dnia opowiem panu rzeczy, o których Barcelona wolałaby zapomnieć. Do pańskiej sekretnej historii .

Profesor podał mi dłoń. Uścisnąłem ją.

- Trzymam pana za słowo. A wracając do Fermína i sprawy dokumentów, które mamy wyciągnąć z kapelusza...

- Sądzę, że mam człowieka wprost stworzonego do wypełnienia tej misji - wyznałem.

## 6.

Oswaldo Dario de Mortenssen, księżę barcelońskich skrybów i mój stary znajomy, rozkoszował się poobiednią przerwą w swej budce naprzeciwko Pałacu Wicekrólowej, popijając kawę z brandy i zaciągając się z lubością cygaretką o podłym zapachu. Na mój widok ucieszył się.

- Patrzcie państwo, syn marnotrawny powraca. Czyżby zmienił pan zdanie? Napiszemy ten liścik miłosny, który otworzy panu drogę do zakazanych zameczków i haftek upragnionej gołąbki?

Pokazałem mu jeszcze raz swoją ślubną obrączkę. Pokiwał głową, przypominając sobie naszą ostatnią rozmowę.

- Proszę mi wybaczyć. To zapytanie już weszło mi w krew. Zapomniałem, że pan jest z innej gliny ulepiony. Co mogę dla pana zrobić?

- Parę dni temu przypomniałem sobie, skąd znam pańskie nazwisko, don Oswaldo. Pracuję w księgarni i znalazłem pańską powieść z trzydziestego trzeciego roku zatytułowaną Jeźdźcy purpurowego zmierzchu.

Oswaldo dał się porwać wspomnieniom, a na jego ustach pojawił się nostalgiczny uśmiech..

- To były czasy! Ta para bandytów, Barrido i Escobil as, moi wydawcy, oskubali mnie do ostatniego grosza. Niech ich Belzebub ma w swej opiece i nigdy nie wypuszcza z piekielnych czeluści. Ale powiem panu w sekrecie, że przedniej zabawy, jaką miałem z jej pisania, nikt mi nie odbierze.

- Zadedykuje mi ją pan, jeśli przyniosę panu któregoś dnia egzemplarz?

- Cóż za pytanie! Oczywiście, że zadedykuję. Niestety ta książka to mój łabędzi śpiew. Świat nie był

gotowy na western przeniesiony w realia delty Ebro, gdzie kowbojów na koniach zastąpili rozbójnicy w kanu, a Indian komary wielkości arbuza...

- Jest pan hiszpańskim Zane'em Greyem...

- Dziękuję za komplement. Co mogę dla pana zrobić, szlachetny

młodzieńcze?

- Chciałbym wykorzystać pański geniusz i talent dla celów równie heroicznego przedsięwzięcia.

- Zamieniam się w słuch.

- Chcę panu zlecić stworzenie zbioru dokumentów, które złożą się na administracyjną przeszłość mojego przyjaciela. Pragnie on wstąpić w związek małżeński z kobietą, którą kocha, a bez tych papierów może o wszystkim zapomnieć.

- Czy to dobry człowiek?

- Najlepszy, jakiego znam.

- W takim razie umowa stoi. Zawsze miałem słabość do ślubów i chrztów, uwielbiałem pisać te sceny.

- Potrzebujemy wszelkiego rodzaju zaświadczeń i podań, zezwoleń i aktów oraz innych pism urzędowych...

- Nie ma żadnego problemu. Część logistyczną scedujemy na Luisita, którego już miał pan okazję poznać. Można mieć do niego pełne zaufanie. A poza tym władza dwunastoma różnymi charakterami pisma...

Wyciągnąłem z portfela stupezetowy banknot, którego nie chciał przyjąć profesor, i wręczyłem skrybie. Oswaldo otworzył szeroko oczy i czym prędzej schował pieniądze do kieszeni.

- I mówią, że w Hiszpani nie da się wyżyć z pisania - wymamrotał zdumiony.

- Czy to wystarczy na pokrycie kosztów operacyjnych?

- Myślę, że tak. Kiedy dopnę już wszystko na ostatni guzik, będę mógł panu powiedzieć, ile kosztowała cała ta szalona impreza, ale tak, ad hoc, zaryzykowałbym twierdzenie, że siedemdziesiąt pięć peset wystarczy aż nadto.

- Ostateczną kwotę pozostawiam do pańskiego uznania, Oswaldo. Mój przyjaciel, profesor Alburquerque...

- Wspaniałe pióro - przerwał Oswaldo.

- I jeszcze wspanialszy człowiek. Otóż pan profesor zajrzy do pana, by omówić listę niezbędnych dokumentów i wszystkie pozostałe szczegóły. Jeśli będzie pan czegokolwiek potrzebował, znajdzie mnie pan w księgarni Sempere i Synowie.

Na sam dźwięk nazwy twarz mu pojaśniała.



- To moje sanktuarium. Kiedy byłem jeszcze młokosem, chodziłem tam w każdą sobotę, a pan Sempere otwierał mi oczy na cuda literatury.

- Mój dziadek.

- Już od lat tam nie zaglądam. Muszę przyznać, że cienko przędę i przywykłem do korzystania z bibliotek.

- Niech pan zaszczyci nas znów swoją wizytą w księgarni, don Oswaldo. To pański dom, a finanse nie mają tu nic do rzeczy.

- Nie omieszka.

Wyciągnął do mnie rękę. Uścisnąłem ją serdecznie.

- To wielka przyjemność robić interesy z rodziną Sempere.

- Mam nadzieję, że to pierwszy, ale nie ostatni raz.

- A co się stało z tym jegomościem, co to się wgapił w złoto jak cielę w malowane wrota?

- Okazało się, że nie wszystko złoto, co się świeci - odpowiedziałem.

- Syndrom naszych czasów...

7.

### **Barcelona, 1958**

Tamten styczeń przyniósł nam iskrzące od mrozu światło i krystalicznie czyste niebo. Od czasu do czasu zdarzało mu się poproszyć drobnym śniegiem nad dachami miasta, przeważnie jednak świeciło słońce, które narzucało na stare barcelońskie fasady swą drżącą siatkę światłocieni. Górne platformy krążących po mieście piętrowych autobusów gwałtownie opustoszały, a tramwaje, przejeżdżając, roztopiały osiadły na szynach biały nalot szronu.

Niebieskawe girlandy bożonarodzeniowych dekoracji połyskiwały nad uliczkami starego miasta.

Zdawało się, że płynące z tysięcy sklepowych głośników cukierkowe przesłanie o pokoju i ludziach dobrej woli zdołało zmiękczyć niektóre serca, bo kiedy jakiś śmiałek chcący zamanifestować swoją miłość do małej ojczyzny przystroił Dzieciątka Jezus z szopki, którą Ratusz ustawił na placu San Jaime, w tradycyjną katalońską czapkę, stojący nieopodal policjant, zamiast posłuchać rady grupki dewotek i zaprowadzić wicherzyciela na najbliższy komisariat, udał, że niczego nie zauważył. Porządek przywróciły dopiero trzy zakonnice przysłane czym prędzej z archidiecezji.

Przedświąteczny okres wpłynął zbawiennie na nasze obroty, a betlejemska gwiazda w postaci dodatniego bilansu w naszej księdze rachunkowej obwieszczała nam swoistą dobrą nowinę, a mianowicie że zdołamy zapłacić rachunki za prąd i ogrzewanie, a przy odrobinie szczęścia będziemy mogli nawet pozwolić sobie codziennie na ciepły posiłek. Mój ojciec, w znacznie lepszym nastroju, obwieścił nam nieznoszącym sprzeciwu tonem, że za rok nie będziemy czekać do ostatniej chwili, by udekorować witrynę księgarni.

- Oj, nieprędko się pozbędziemy tej szopki - wymamrotał Fermín bez krzty entuzjazmu w głosie.

Po święcie Trzech Króli ojciec przykazał nam ostrożnie spakować wszystkie dekoracje i znieść do piwnicy, gdzie miały zaczekać na następne Boże Narodzenie.

- Fermínie, nie chcę słyszeć, że poślizgnął się pan na schodach i

pudła wypadły panu z rąk -

pogroził mu palcem ojciec. - Obchodźcie się z nimi delikatnie.

- Jak z jajkiem - zapewnił Fermín. - Jak z jajkiem. Własną głową ręczę, że wszystkie bydłeta klękające przed Mesjaszem w powijakach przeżyją transport w nienaruszonym stanie.

Gdy wreszcie się nam udało zrobić miejsce dla wszystkich paczek, jeszcze raz rozejrzałem się po piwnicy i jej sekretnych zakamarkach. Podczas naszej ostatniej tu bytności rozmowa zбочyła na tematy, do których później ani Fermín, ani ja już nie wróciliśmy, chociaż mnie przynajmniej nie dawały one spać spokojnie. Fermín zdawał się czytać w moich myślach, bo niezadowolony pokręcił głową.

- Chyba nie myśli pan wciąż o liście tego kretyna?

- Czasami myślę.

- I nie rozmawiał pan z panią Beatriz?

- Nie. Włożyłem list z powrotem do kieszeni jej płaszcza i słówka na ten temat nie pisałem.

- A ona? Nie wspomniała panu o epistolarnych zalotach tego pożał się Boże don Juana Tenorio?

Pokręciłem głową. Fermín zmarszczył nos, dając mi do zrozumienia, iż zbyt dobrze to nie wróży.

- I zdecydował już pan, co robi?

- Z czym?

- Proszę nie udawać Greka, panie Danielu. Pójdzie pan się przekonać, czy pańska żona wybierze się na randkę z tym osłem, i urządzi pan scenę zazdrości?

- Insynuuje pan, że ona się wybierze - zaprotestowałem.

- A jest pan pewien, że nie?

Spuściłem wzrok, zniesmaczony własnymi wątpliwościami.

- Co to za mąż, co nie ufa własnej żonie? - zapytałem.

- Interesują pana statystyki, czy woli pan konkretne imiona i nazwiska?

- Ja ufam Bei. Nie zdradziłyby mnie. Ona nie jest z tych. Gdyby miała mi coś do powiedzenia, powiedziałyby mi to prosto w oczy, bez całej tej zabawy w kotka i myszkę.

- W takim razie nie ma się pan czym martwić, prawda?

Było w tonie głosu Fermína coś, co kazało mi się domyślać, że

swoją podejrzliwością w jakiś sposób sprawiłem mu zawód. Choć nie powiedział mi tego wprost, miałem wrażenie, że martwi się tym, iż spędzam całe godziny na obsesyjnych rozmyślaniach i wątpię w uczciwość osoby, która zupełnie sobie na to nie zasłużyła.

- Uważa mnie pan pewnie za skończonego głupca...

Fermín zaprzeczył.

- Nie. Myślę, że ma pan wielkie szczęście, przynajmniej w tak zwanych kwestiach sercowych, i podobnie jak inni w pańskiej sytuacji w ogóle nie zdaje pan sobie z tego sprawy.

Rozmowę przerwało nam stukanie dochodzące od drzwi na górze.

- Co się dzieje? Znaleźliście tam złoto czy co? Może byście wrócili do księgarni, robota czeka -

ponaglił nas ojciec.

Fermín westchnął.

- Odkąd wybrnęliśmy z długów, zrobił się z niego prawdziwy tyran - stwierdził. - Rozzuchwiał się nie na żarty...

Dni płynęły opieszale. Fermín zgodził się w końcu scedować najważniejsze przygotowania do ślubnych uroczystości na don Gustava i mojego ojca, oni zaś zaczęli zachowywać się tak, jakby przez całe życie nie zajmowali się niczym innym niż wydawaniem weselnych bankietów. Mnie jako świadkowi przyznano głos doradczy i mogłem wspierać komitet organizacyjny wszelkimi sugestiami, Bei natomiast jednogłośnie powierzono nadzór artystyczny nad wydarzeniem, który sprawowała iście żelazną ręką.

- Fermínie, Bea mówi, że musimy zajrzeć do Casa Pantaleoni. Pański garnitur jest gotowy do przymiarki.

- No trudno, niech będzie, lepsze sztuczkowe spodnie niż wdianko w paseczki.

Ja obiecałem solennie przyjacielowi, że w chwili ślubu jego imię i nazwisko będą widniały w archiwach urzędu stanu cywilnego i że kiedy zaprzyjaźniony proboszcz wymówi sakramentalne: „Fermínie, czy chcesz pojąć za żonę”, nie skończymy wszyscy w komisariacie. Mimo moich zapewnień Fermína dosłownie zżerały nerwy i w miarę zbliżania się daty ślubu był coraz chudszy i chudszy. Bernarda trzymała się jakoś dzięki wznoszonym nieustannie modłom i codziennie aplikowanym dawkom maślanych ciasteczek, chociaż, odkąd znajomy i zaufany

doktor potwierdził, że jest w stanie odmiennym, przez większość dnia nękały ją okrutne mdłości, niechybny znak, że pierworodny Fermína odziedziczył wojowniczy charakter po ojcu.

Były to dni pozornego, lecz jakże ułudnego spokoju, gdyż pod powierzchnią trysnął już ów ciemny, zmacony prąd, który powoli, acz zdecydowanie znosił mnie w głębiny zupełnie nieznanego mi uczucia - nienawiści.

W wolnych chwilach, nie mówiąc nikomu, dokąd idę, wymykałem się do biblioteki Ateneo przy ulicy Canuda i myszkowałem po katalogach albo przesiadywałem w tamtejszej czytelni czasopism, by odtworzyć koleje losu Mauricio Val sa. To, co przez całe lata było rozmazanym wizerunkiem, dzień po dniu zaczynało nabierać dla mnie coraz wyraźniejszych i boleśnie realnych kształtów. Moje kwerendy pozwoliły mi prześledzić ostatnie piętnaście lat zawrotnej kariery byłego naczelnika zakładu karnego.

Wiele wody upłynęło od tamtych czasów i z dawnego pionka reżimu don Mauricio zmienił się w jedną z jego najbardziej znamienitych osobistości. Jeśli wierzyć gazetom (którą to wiarę Fermín uważał za równie absurdalną jak, dajmy na to, przekonanie, że Mirindę otrzymuje się, wyciskając sok ze świeżych pomarańczy z Walencji), Val s wykorzystywał swe rozliczne znajomości i powoli, acz nader metodycznie, krok po kroku dążył do tego, co sobie zaplanował. W rezultacie stał się jedną z naj aśniejszych gwiazd na firmamencie hiszpańskiej literatury i sztuki.

Wspinał się konsekwentnie po szczeblach kariery. Począwszy od 1944 roku, otrzymywał awans za awansem na najprzeróżniejsze stanowiska w instytucjach kultury i nauki. Lista jego artykułów, przemówień i publikacji rosła w oczach. Jakakolwiek znacząca konferencja, szanujący się kongres czy istotne wydarzenie kulturalne nie mogły się odbyć bez udziału don Mauricia. W 1947 razem z dwoma współnikami założył wydawnictwo, Sociedad General de Ediciones Ariadna, mające swoje siedziby w Madrycie i Barcelonie i wynoszone przez prasę pod niebiosa jako najbardziej prestiżowe w hiszpańskim świecie edytorskim.

W roku 1949 ta sama prasa zaczęła nazywać Mauricio Val sa „najbardziej błyskotliwym i szanowanym intelektualistą nowej Hiszpani ”.

Samozwańcza inteligencja naszego kraju i ci, którzy mieli nadzieję wstąpić w jej szeregi, zdawali się przeżywać fazę zauroczenia Val sem. Dziennikarze działów kulturalnych rozplątali się w hołdowniczych elogiach, mając nadzieję, że w zamian otrzymają jakąś przysługę, a może nawet, przy odrobinie szczęścia, możliwość publikacji we wspomnianym wydawnictwie któregoś z pisanych do szuflady dzieł. Sądziło się, że w ten sposób otworzą sobie drogę na oficjalny parnas i zakosztują jego sławetnej ambrozji.

Val s szybko opanował reguły gry i wkrótce stał się jej prawdziwym mistrzem. Na początku lat pięćdziesiątych jego sława wykroczyła już poza kręgi wojskowe i zaczęła promieniować wśród elit nieumundurowanych. Aforyzmy Mauricio Val sa zmieniły się w kanon prawd objawionych, które każdy obywatel należący do uprzywilejowanego stanu złożonego z trzech czy czterech tysięcy Hiszpanów lubiących myśleć o sobie jak o wykształconej elicie i patrzących z góry na swych współobywateli przyswajał sobie w mig i recytował z zapalem niczym pojętny uczeń.

Podczas drogi na szczyt Mauricio otoczył się wianuszkami popleczników, którzy przybiegali na każde jego skinienie, a on w zamian umieszczał ich na stanowiskach kierowniczych w rozmaitych poważanych instytucjach. Kiedy ktoś śmiało podważył w jakikolwiek sposób autorytet Val sa, prasa natychmiast robiła na taką osobę bezwzględny nagonkę i nakreśliwszy groteskowy portret rzeczonoego nieszczęśnika, skazywała go na dożywotni status pariasa, przed którym zamykały się wszystkie drzwi i który miał do wyboru tylko dwie drogi: zapomnienie albo emigrację.

Przez ciągnące się w nieskończoność godziny czytałem teksty i podteksty, porównywałem opowieści i wersje, spisywałem daty i tworzyłem listy triumfów i trupów ukrytych w szafie. W innych okolicznościach, gdyby cel moich badań był wyłącznie naukowy, uchyliłbym czapki przed don Mauriciem i jego mistrzowskim zagranem. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że nauczył się perfekcyjnie czytać w sercach i w, duszach swoich współobywateli i pociągać za sznurki uruchamiające ich pragnienia, nadzieje i mrzonki.

Jeśli cośkolwiek mi pozostało po tym wielodniowym ślęczeniu nad oficjalną wersją życiorysu Val sa, to przekonanie, że mechanizm

budowania nowej Hiszpani cały czas się doskonalił, a błyskawiczne wyniesienie don Mauricia do władzy i na ołtarze wskazywało na wzrastającą siłę modelu o dużym potencjale, który bez najmniejszej wątpliwości miał przeżyć reżim, zapuszczając głębokie i nieusuwalne korzenie w całym państwie na długie dekady.

W roku 1952 Val s wspiał się na szczyty władzy: został ministrem kultury i trzy lata piastowania tego urzędu wykorzystał, by wzmocnić panowanie swoje i swoich zauszniików na tych niewielu stanowiskach, które jeszcze pozostawały do opanowania. Był obecny zawsze i wszędzie aż do znużenia. Jego słowa przytaczano jako krynicę mądrości i niewzruszonego przekonania.

Nieprzerwanie zasiadał w przeróżnych jury, prezydiach i innych hołdowniczych ciałach. Jego prywatna kolekcja dyplomów, nagród i odznaczeń wciąż się rozrastała.

I nagle zdarzyło się coś bardzo dziwnego.

W trakcie pierwszego przegłądania materiałów nie zauważyłem tego. Potok artykułów i wzmianek dotyczących don Mauricia płynął nieprzerwanie, ale od roku 1956 można było zauważyć w natłoku artykułów prasowych pewien drobiazg różniący obecne informacje od poprzednich. Treści w nich podawano wciąż w tonacji panegirycznej, ale czytając te materiały raz i drugi i porównując je, wreszcie odkryłem, co jest nie tak.

Don Mauricio Val s przestał się pojawiać publicznie.

Jego nazwisko, prestiż, reputacja i władza wciąż były na fali. Brakowało tylko jednego: jego osoby.

Po roku 1956 nie pojawiło się ani jedno zdjęcie, nie wspomniano o jego obecności, nie było żadnych bezpośrednich wzmianek o jakimkolwiek jego udziale w którymś z publicznych wydarzeń.

Ostatnia informacja o obecności Mauricio Val sa na publicznej uroczystości pochodziła z 2 listopada 1956 roku i związana była z wręczeniem mu nagrody za wyróżniającą się działalność wydawniczą w owym roku, podczas specjalnej imprezy w madryckim Círculo de Bel as Artes, na którą przybyli przedstawiciele najwyższych władz i ówczesnej śmietanki towarzyskiej. Tekst notatki napisany był

zgodnie z ówczesnymi normami przewidzianymi dla krótkich wiadomości. Znacznie bardziej interesująca była dołączona do niej

fotografia, ostatnie zdjęcie Val sa przed jego sześćdziesiątymi urodzinami. Elegancko ubrany, w świetnie skrojonym garniturze, uśmiechał się do oklaskującej go publiczności, serdecznie jej dziękując pokornym skinieniem głowy. Otaczał go stały na tego typu imprezach garnitur osobistości, a za jego plecami można było dojrzeć dwóch ubranych na czarno facetów, jakby trochę nie z tej bajki, o poważnym i nieprzeniknionym wyrazie twarzy, w okularach przeciwsłonecznych. Wydawali się nie brać udziału w ceremonii. Pełna powaga i całkowita obojętność wobec farsy. Czujni.

Od tamtej nocy w Círculo de Bel as Artes nie pojawiła się już potem żadna fotografia don Mauricio Val sa, a i on przestał pokazywać się publicznie. Mimo usilnych starań nie znalazłem żadnej informacji o jakimkolwiek jego pojawieniu się. Zmęczony już jałowym wertowaniem materiałów, z których niczego nowego nie mogłem się dowiedzieć, wróciłem do początku i zrekonstruowałem historię Mauricio Val sa do tego stopnia, iż znałem ją na pamięć, jakby chodziło o mój własny życiorys. Tropiłem go z nadzieją, że natrafię wreszcie na ślad, dzięki któremu będę mógł się dowiedzieć, gdzie przebywa ten człowiek uśmiechający się na fotografiach, obnoszący swą próżność po setkach stron ilustrujących dwór służalczy i chciwy łask. Ta próżność kazała mu zamordować moją matkę, gdy zagroziła, że ujawni światu całą jego nikczemność i brak talentu. Jak to możliwe, że przez tyle lat nikt nie zdemaskował tej podłości i miernoty?

Nauczyłem się nienawidzić podczas tych samotnych popołudni w bibliotece Ateneo, gdzie przecież nie tak dawno temu poświęcałem wszystkie swoje marzenia sprawom o wiele bardziej czystym - jak skóra mojej pierwszej miłości niemożliwej, niewidomej Klary, albo tajemnice Juliána Caraxa i jego powieści Cień wiatru. Im trudniej było mi natrafić na ślad Val sa, tym bardziej nie chciałem przyznać mu prawa do zniknięcia i wymazania na zawsze jego nazwiska z historii. Mojej historii. Musiałem wiedzieć, co się z nim stało.

Musiałem spojrzeć mu w oczy, choćby tylko po to, by przypomnieć mu, że ktoś, jedna jedyna osoba we wszechświecie, wie, kim Mauricio Val s jest naprawdę i co zrobił.



## 8.

Pewnego popołudnia, mając wreszcie dość ścigania widm, przerwałem swoją sesję w dziale czasopism i zabrałem z Beę i Juliána na spacer po Barcelonie czystej i słonecznej, której już niemal nie pamiętałem. Wyszliśmy z domu i udaliśmy się do parku Ciudadela. Usiadłem na ławce i patrzyłem, jak Julián bawi się ze swoją mamą na trawniku. Przyglądając się im, przypomniałem sobie słowa Fermína. To ja, Daniel Sempere byłem szczęściarzem. Szczęściarzem, który dopuścił, by zasiane ziarenko ślepej nienawiści rosnęło w nim i rosnęło, sprawiając, że odczuwałem mdłości na samą myśl o sobie.

Patrzyłem, jak mój syn oddaje się swojej największej pasji: pełzaniu na czworakach do ostatniej czystej nitki. Bea szła tuż za nim. Od czasu do czasu Julián zatrzymywał się i spoglądał w moją stronę. Podmuch wiatru podwiał Bei spódnice. Julián roześmiał się. Zacząłem klaskać, Bea zaś posłała mi karcące spojrzenie. Moje oczy spotkały się z oczyma syna. Stwierdziłem, że niebawem zaczną na mnie patrzeć, jakbym był najmądrzejszym człowiekiem na świecie, samą dobrocią, nosicielem wszystkich odpowiedzi. I wówczas przyrzekłem sobie, że już nigdy, nie wspomnę nazwiska Val sa i nie będę tropić jego cienia.

Bea zawróciła i usiadła przy mnie. Julián ruszył za nią na czworakach. Kiedy dotarł do moich nóg, wziąłem go na rękę. Zaczął wycierać sobie rączki o klapy mojej kurtki.

- Dopiero co ją odebrałam z pralni - powiedziała Bea.

Przepraszająco wzruszyłem ramionami. Bea pochyliła się ku mnie i chwyciła moją dłoń.

- Co za nogi - szepnąłem.

- To wcale nie śmieszne. Czego ty syna uczysz? Dobrze, że nikogo nie było.

- Nie do końca, bo tam siedzi dziadzius schowany za gazetą i dostał takich palpacji, że o mało nie zszedł z tego świata na zawał serca.

Julián uznał, że „palpacja” jest najzabawniejszym słowem, jakie dotąd w życiu usłyszał, i wracając do domu, co chwila śpiewaliśmy „palpacja”, podczas gdy Bea, idąc parę kroków przed nami, nie kryła złości.

Tej nocy, dwudziestego stycznia, Bea położyła Juliána, a później przysnęła przy mnie na sofie, ja zaś czytałem po raz trzeci jedną ze starych powieści Davida Martina, którą Fermín znalazł podczas swojego wielomiesięcznego exodusu po ucieczce z więzienia i którą zdołał zachować przez te wszystkie lata. Z przyjemnością smakowałem każdy zwrot i rozkładałem na czynniki pierwsze architekturę każdego zdania, wierząc, że jeśli rozszyfruję muzykę tej prozy, wówczas dowiem się coś o tym człowieku, którego nigdy nie poznałem, a o którym wszyscy mnie zapewniali, że nie jest moim ojcem. Ale tej nocy było to niemożliwe. Z trudem docierałem do końca zdania, bo moje myśli co chwila odrywały się od kart książki i jedyne, co miałem przed oczyma, to ów list Pabla Cascosa Buendi proponującego mojej żonie spotkanie w hotelu Ritz, jutro o drugiej po południu.

W końcu zamknąłem książkę i przyjrzałem się śpiącej u mego boku Bei, domyślając się w niej znacznie więcej sekretów niż w opowieściach Martina i w jego złowrogim mieście przeklętych. Było już po północy, kiedy Bea niespodziewanie obudziła się i zobaczyła, że się jej przyglądam. Uśmiechnęła się, ale odniosłem wrażenie, że coś w wyrazie mojej twarzy musiało ją chyba lekko zaniepokoić.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Myślałem o tym, jaki ze mnie farciarz.

Bea przyjrzała mi się uważnie, jakby mi nie ufając.

- Mówisz to tak, jakbyś sam w to nie wierzył.

Wstałem i podałem jej dłoń.

- Chodźmy już spać - zaproponowałem.

Wzięła mnie za rękę i poszliśmy korytarzem do sypialni. Położyłem się na łóżku i zacząłem się jej przyglądać.

- Zachowujesz się dziwnie, Danielu. Coś ci jest? Powiedziałaś coś nie tak?

Przecząco pokręciłem głową i przykleiłem sobie uśmiech jak znaczek pocztowy. Bea niby przyjęła to do wiadomości i zaczęła powoli się rozbierać. Nigdy w takich chwilach nie odwracała się do mnie plecami, nie chowała się w łazience, jak podpowiadały poradniki higieny matrymonialnej zalecane przez odpowiednie instancje rządowe. Przyglądałem się, spokojnie odczytując linie jej ciała. Bea patrzyła mi w oczy. Wślizgnęła się w tę koszulę nocną, której tak nienawidziłem, i

położyła się plecami do mnie.

- Dobrej nocy - powiedziała na pozór obojętnym tonem, ale ja dobrze wiedziałem, że jest urażona.

- Dobranoc - szepnąłem.

Sądząc po jej oddechu, dopiero po półgodzinie udało jej się zasnąć, ale w końcu zmęczenie okazało się silniejsze niż złość wywołana moim dziwnym zachowaniem. Leżałem przy niej, zastanawiając się cały czas, czy obudzić ją i przeprosić, czy tylko po prostu pocałować. Ostatecznie nie zrobiłem nic. Leżałem nieruchomo, przyglądając się jej plecom i słysząc, jak narastający we mnie ciemny głos podszeptuje, że za kilka godzin Bea pójdzie na spotkanie ze swym byłym narzeczonym i że te usta i tę skórę całować będzie ktoś inny, jak sugerował jego list jakby przepisany z najgorszego romansidła.

Przez wiele godzin nie mogłem usnąć, a kiedy się obudziłem, Bei już nie było. Dzwony kościoła wybiły właśnie dziewiątą. Zerwałem się z łóżka i ubrałem w to, co miałem pod ręką. Na zewnątrz czekał mnie zimny wtorek w płatkach śniegu, które wirowały w powietrzu i osiadały na płaszczech przechodniów niczym świetliste pajęczki zawieszane na niewidzialnych nitkach. W księgarni zastałem ojca stojącego na taborecie, na który wchodził codziennie, by oderwać kolejną kartkę w kalendarzu.

Dwudziesty pierwszy stycznia.

- Tylko nie mów mi, że nie zadzwonił ci budzik, bo to wytłumaczenie dobre dla dwunastolatka -

powiedział z przekąsem. - Dziś ty miałeś otworzyć.

- Przepraszam. Źle spałem. To już, się więcej nie powtórzy.

Przez kilka godzin próbowałem czymś zająć głowę i ręce, wyszukując sobie w księgarni różne dodatkowe zajęcia, ale moje myśli były zaprzątnięte jedynie tym przeklętym listem, który nieomal recytowałem w duchu zdanie po zdaniu. Minęło południe, kiedy Fermín zaatakował mnie, częstując sugusem.

- To dzisiaj, nie?

- Siedź pan cicho - uciałem tak niegrzecznie, że aż ojciec uniósł brwi ze zdumienia.

Schroniłem się na zapleczu. Słyszałem, jak naradzają się szeptem. Usiadłem przy biurku ojca i spojrzałem na zegarek. Była pierwsza

dwadzieścia. Gapiłem się w tarczę z nadzieją, że uda mi się przyspieszyć bieg czasu, ale wskazówki nie chciały się poddać mojej hipnozie. Kiedy wróciłem do księgarni, Fermín i ojciec spojrzeli na mnie zatroskani.

- Może chcesz wziąć wolne na resztę dnia - zaproponował ojciec. - Damy sobie radę z Fermínem.

- Dziękuję. Chyba skorzystam. Fatalnie spałem i nie czuję się najlepiej.

Czmychając przez tylne drzwi, nie miałem odwagi spojrzeć na Fermína. Ledwo wspiąłem się na piąte piętro. Gdy otworzyłem drzwi do mieszkania, usłyszałem szum wody w łazience. Wlokąc nogi za sobą, poszedłem do sypialni. Stałem w progu. Bea siedziała na brzegu łóżka. Nie zauważyła mnie i nie usłyszała. Patrzyłem, jak wkłada swoje jedwabne pończochy i ubiera się, cały czas spoglądając w lustro. Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę z mojej obecności.

- Kiedy przyszedłeś? - spytała, a w jej głosie wyczułem zarówno zaskoczenie, jak rozdrażnienie.

- Wychodzisz?

Pokiwała głową, malując sobie usta karminową szminką.

- Dokąd idziesz?

- Mam parę spraw do załatwienia.

- Ślicznie wyglądasz.

- Nie lubię pokazywać się na ulicy ubrana byle jak - odparła.

Obserwowałem, jak robi sobie staranny makijaż, nakłada na powieki cienie.

„Farciarz”, zdawał się naigrawać ze mnie ów ciemny głos.

- A co to właściwie za sprawy?

Bea odwróciła się i przyjrzała mi się bacznie.

- Pytałem, co takiego masz do załatwienia.

- Różne rzeczy.

- A Julián?

- Moja mama zabrała go na spacer.

- Jasne.

Bea podeszła do mnie. Teraz w jej wzroku malowało się raczej zmartwienie niż irytacja.

- Co ci jest, Danielu?
  - W nocy oka nie zmrużyłem.
  - Spróbuj trochę się zdrzemnąć. Dobrze ci to zrobi.
- Pokiwałem głową.

- Masz rację.

Bea uśmiechnęła się smutno, wzięła mnie za rękę i poprowadziła na moją stronę łóżka. Kiedy się położyłem, przykryła mnie kołdrą i ucałowała w czoło.

- Wrócę późno - powiedziała.

Patrzyłem za nią, jak wychodzi z pokoju.

- Bea...

Na moje wołanie wróciła i stanęła przy łóżku.

- Kochasz mnie? - zapytałem.

- Oczywiście, że cię kocham. Co za pytanie.

Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi, a potem kocie kroki Bei schodzącej po schodach. Stukot jej wysokich obcasów po chwili umilkł. Zerwałem się z łóżka i podszedłem do telefonu. W słuchawce rozległ się mechaniczny głos telefonistki.

- Poproszę z hotelem Ritz - powiedziałem.

Chwilę trwało, zanim uzyskałem połączenie.

- Hotel Ritz, dzień dobry. Czym mogę służyć?

- Chciałbym się upewnić, że pewna osoba zatrzymała się u państwa w hotelu.

Mogłaby to pani dla mnie sprawdzić?

- Jeśli będzie pan tak uprzejmy i poda mi jej nazwisko...

- Cascos. Pablo Cascos Buendia. Przypuszczam, że przyjechał wczoraj.

Nastąpiła dłużąca się w nieskończoność minuta oczekiwania, jakieś szepty w tle, zakłócenia na linii .

- Proszę pana...

- Tak?

- W tej chwili nie widzę rezerwacji nikogo o takim nazwisku...

Odczułem niebywałą ulgę.

- A może zarezerwował pokój na firmę?

- Proszę o jeszcze chwilę cierpliwości. Zaraz to sprawdzę.

Tym razem nie przyszło mi długo czekać.

- Rzeczywiście, miał pan rację. Pan Cascos Buendia. Teraz widzę. Apartament Continental.

Rezerwacji dokonano na wydawnictwo Ariadna.

- Słucham?

- Mówiłam, że pan Cascos Buendia zrobił rezerwację na wydawnictwo Ariadna. Czy mam pana połączyć z jego pokojem?

Słuchawka wyślizgnęła mi się z rąk. Ariadna. Tak nazywało się wydawnictwo założone przed laty przez Mauricio Val sa.

Cascos pracował dla Val sa.

Rzuciłem się do drzwi i wybiegłem na ulicę w ślad za moją żoną. Trucizna podejrzeń wsączała mi się w serce.

## 9.

Nie mogłem wypatrzeć Bei w tłumie przesuwanym się o tej porze po Puerta del Ángel ku placowi Cataluña. Uznałem, że moja żona właśnie tędy pójdzie do hotelu Ritz, choć z Beą właściwie nigdy nie było wiadomo, jak postąpi. Lubiła chodzić własnymi ścieżkami. Po jakimś czasie zrezygnowałem z jakichkolwiek prób wypatrzenia jej, doszedłszy do wniosku, że pewnie wsiadła do taksówki, co bardziej pasowało do kreacji, w jaką się na dzisiejszą okazję ubrała.

Dojście do hotelu Ritz zajęło mi piętnaście minut. Choć temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni, spocilem się i oddychałem z trudem. Portier obrzucił mnie mało łaskawym spojrzeniem, otaksował, niemniej otworzył przede mną drzwi, skłoniwszy się nieznacznie. Atmosfera westybulu nasuwająca skojarzenie ze scenerią powieści szpiegowskich lub wielkich romansów deprymowała mnie. Moje nikłe doświadczenie z luksusowymi hotelami utrudniało mi rozeznanie się w tej przestrzeni.

Ujrzałem kontuar, a za nim recepcjonistę prosto spod igły, przyglądającego mi się ni to z ciekawością, ni to z napięciem. Podszedłem do lady i uśmiechnąłem się, jak mogłem najmilej, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Przepraszam najmocniej, do restauracji którądy?

Recepcjonista dokładnie mi się przyjrzał z uprzejmym sceptycyzmem.

- Czy pan ma rezerwację?

- Jestem umówiony z gościem hotelu.

Recepcjonista uśmiechnął się chłodno i skinął głową.

- Wejście do restauracji znajduje się w głębi korytarza.

- Stokrotne dzięki.

Skierowałem się tam ze ściśniętym sercem. Nie miałem pojęcia, co powiem, a tym bardziej co zrobię, gdy spotkam Beę i tego nikczemnika. W moją stronę ruszył maitre, który zablokował mi drogę swym uśmiechem. Jego spojrzenie zdradzało całkowitą dezaprobatę, którą wzbudzał mój strój.

- Szanowny pan ma rezerwację? - spytał.

Wyciągnąłem rękę, odsunąłem go i wszedłem do restauracji. Gości

było niewielu.

Starsze małżeństwo o dziewiętnastowiecznych manierach przerwało wyrafinowane siorbanie zupy i zastygło niczym dwie mumie, patrząc na mnie z niesmakiem. Parę stolików dalej siedzieli goście wyglądający na ludzi interesu w towarzystwie eleganckich dam zafakturowanych pewnie jako koszty reprezentacyjne. Nie było ani Cascosa, ani Bei.

Usłyszałem za sobą kroki maitre'a w eskorcie dwóch kelnerów. Odwróciłem się z przepaszającym uśmiechem na ustach.

- Czy pan Cascos Buendia nie miał zarezerwowanego stolika na dwie osoby? - spytałem.

- Nasz gość poprosił o serwis w swoim apartamencie - poinformował maitre.

Spojrzałem na zegarek. Była czternasta dwadzieścia. Udałem się w stronę wind. Jeden z portierów ruszył w moją stronę, ale zdążyłem mu umknąć do czekającej windy. Wcisnąłem na chybił trafił guzik jednego z górnych pięter, nie pamiętając, że nie mam zielonego pojęcia, na którym z nich znajduje się apartament Continental.

„Zacznij od góry”, powiedziałem sobie.

Wysiadłem z windy na siódmym piętrze i zacząłem krążyć po zbyt kornie urządzonej i pustych korytarzach. Po jakimś czasie natrafiłem na drzwi wychodzące na ewakuacyjną klatkę schodową i zszedłem piętro niżej. Chodziłem od drzwi do drzwi, szukając apartamentu Continental, ale bez powodzenia. Na moim zegarku była czternasta trzydzieści. Na piątym piętrze spotkałem pokojówkę pchającą wózek ze szczotkami, miotełkami, mydłami i ręcznikami i zapytałem ją o apartament.

Spojrzała na mnie skonsternowana, ale pewnie na tyle ją przestraszyłem, że wyciągnęła palec w górę.

- Ósme piętro.

Na wszelki wypadek wolałem nie korzystać z wind, personel hotelowy mógł mnie przecież szukać.

Pokonawszy biegiem trzy piętra i długi korytarz, znalazłem się wreszcie przed drzwiami apartamentu Continental złany potem. Stałem przed nimi z minutę, usiłując wyobrazić sobie, co też dzieje się za tymi drzwiami ze szlachetnego drewna, i zastanawiając się, czy pozostała



mi jeszcze odrobina zdrowego rozsądku, która zmusiłaby mnie do odejścia stamtąd. Zdało mi się, że ktoś mnie obserwuje z drugiego krańca korytarza. Zląkłem się, że jest to jeden z portierów lub boyów, ale gdy spojrzałem w tamtą stronę, postać zniknęła za rogiem, więc uznałem, że to gość hotelu. Wreszcie nacisnąłem dzwonek.

## 10.

Usłyszałem zbliżające się do drzwi kroki. W głowie mignął mi obraz Bei zapinającej bluzkę. Szczęk klucza w zamku. Zacisnąłem pięści. Drzwi się otworzyły. Naprzeciwko mnie stał osobnik w wybrylantynowanych włosach, okryty białym szlafrokiem kąpielowym i w pięciogwiazdkowych papuciach. Lata minęły, ale nie zapomina się tak łatwo twarzy, których się serdecznie nienawidzi.

- Sempere? - zapytał niedowierzająco.

Cios trafił go między górną wargą a nosem. Poczułem, jak pięść wchodzi w ciało i w chrząstkę.

Cascos zakrył twarz dłońmi i zachwiał się. Spomiędzy palców płynęła krew. Pchnąłem go z całej siły w stronę ściany. Wszedłem do pokoju. Usłyszałem, jak Cascos za moimi plecami osuwa się na ziemię.

Łóżko było pościelone, a na stole ustawionym na wprost tarasu z widokiem na Gran Via stał dymiący talerz. Sztućce przygotowane były dla jednej tylko osoby. Odwróciłem się i stanąłem przed Cascosem, który próbował wstać, trzymając się krzesła.

- Gdzie ona jest? - zapytałem.

Twarcą Cascosa wykrzywił grymas bólu. Krew spływała mu na pierś. Rozciąłem mu wargę i prawdopodobnie miał złamany nos. Poczułem, jak pieką mnie knykcie. Spojrzałem na dłoń i zobaczyłem, że wałąc go w twarz, starłem sobie skórę. Niczego nie żałowałem.

- Nie przyszła. Zadowolony? - wycharczał Cascos.

- Od kiedy to zajmujesz się pisaniem liścików do mojej żony?

Miałem wrażenie, że śmieje się ze mnie, więc zanim zdołał cokolwiek z siebie wydusić, znów się na niego rzuciłem. Z całą wściekłością, jaka się we mnie nagromadziła, zadałem mu kolejny cios.

Usłyszałem trzask zębów, a w dłoni nie miałem czucia. Cascos zawył przeraźliwie i padł na krzesło, o które się opierał. Widząc, że się nad nim nachylał, schował głowę w ramiona. Złapałem go za szyję i zacisnąłem palce, jakbym chciał mu gardło rozszarpać.

- Co ty masz wspólnego z Val sem?

Cascos patrzył na mnie ściętymi z przerażenia oczyma, przekonany, że zaraz go zabiję. Wybełkotał

coś niezrozumiałego. Moje palce pokryły się śliną i spływającą z jego nosa krwią. Zacisnąłem palce jeszcze mocniej.

- Mauricio Val s. Co masz z nim wspólnego?

Nasze twarze były tak blisko siebie, że mogłem w jego źrenicach zobaczyć swoje odbicie. Jego naczynka włosowate zaczynały pękać pod rogówką i sieć czarnych kreseczek zaczęła osaczać tęczówkę. Nagle zrozumiałem, że go morduję, i natychmiast puściłem. Cascos, złapawszy powietrze, wydał z siebie bulgocące dźwięki i uniósł dłonie do szyi. Usiadłem na łóżku. Ręce mi się trzęsły. Były całe we krwi. Wszedłem do łazienki i je umyłem. Polałem sobie włosy i twarz zimną wodą.

Spojrząwszy na siebie w lustrze, ledwie się rozpoznałem. Przed chwilą o mało co nie zabiłem człowieka.

## 11.

Kiedy wróciłem do pokoju, Cascos siedział wciąż na krześle i ciężko dyszał. Nalałem wody do szklanki i mu podałem. Na mój widok skulił się w obawie, że znów go zaatakuję.

- Napij się - powiedziałem.

Otworzył oczy i widząc szklankę, zawahał się.

- Napij się - powtórzyłem. - To tylko woda.

Wreszcie ujął szklankę drżącą dłonią i uniósł ją do ust.

Zobaczyłem wówczas, że połamałem mu kilka zębów. Cascos jęknął i oczy napełniły mu się łzami, kiedy zimna woda dotknęła żywych ran. Milczeliśmy przez chwilę.

- Mam wezwać lekarza? - odezwałem się wreszcie.

Podniósł wzrok i pokręcił przecząco głową.

- Zmykaj stąd, zanim wezwę policję.

- Powiedz mi tylko, co masz wspólnego z Mauricio Val sem, i wtedy sobie pójdę.

Patrzyłem na niego zimno.

- To... to jeden z właścicieli wydawnictwa, w którym pracuję.

- To on poprosił, żebyś napisał ten list?

Cascos zawahał się. Wstałem i podszedłem do niego. Złapałem go za włosy i mocno pociągnąłem.

- Nie bij - poprosił.

- Val s prosił cię o napisanie tego listu?

Cascos unikał mego wzroku.

- To nie on - zdołał w końcu powiedzieć.

- Wobec tego kto?

Jeden z jego sekretarzy, Armero.

- Kto?

- Pablo Armero. To pracownik wydawnictwa. Powiedział mi, żebym odnowił kontakt z Beatriz. Że jeśli to zrobię, to coś mnie czeka. Jakaś nagroda.

- A po co miałbyś się znowu kontaktować z Beatriz?

- Nie wiem.

Zamierzyłem się znowu.

- Naprawdę nie wiem - zaskowytał Cascos. - Nie mam pojęcia.
- I dlatego zaprosiłeś ją tutaj?
- Ja nadal Kocham Beatriz.
- I tak to chciałeś okazać? Gdzie jest Val s?
- Nie wiem.
- Jak to, nie wiesz, gdzie jest twój szef?
- Ja go w ogóle nie znam. Rozumiesz? Nigdy z nim nie rozmawiałem. Nigdy go na oczy nie widziałem.
- Jaśniej proszę.
- Zacząłem pracować w Ariadnie półtora roku temu, w madryckim biurze wydawnictwa. I nigdy go w tym czasie nie spotkałem. I nie tylko ja. Nikt go nie widział.
- Zwłókł się z krzesła i ruszył w stronę telefonu. Nie zatrzymałem go. Podniósł słuchawkę i spojrzał na mnie wzrokiem pełnym nienawiści.
- Dzwonię na policję...
- Nie ma potrzeby - doszedł mnie głos z korytarza.
- Odróciłem się i zobaczyłem Fermína przebranego chyba w jeden z garniturów mojego ojca i trzymającego nad głową coś, co wyglądało na policyjną blachę.
- Inspektor Fermín Romero de Torres. Policja. Złożono doniesienie o podejrzanym burdzie. Który z panów gotów jest zrelacjonować pokrótce wypadki, jakie tutaj miały miejsce?
- Nie wiem, który z nas, Cascos czy ja, był bardziej zdezorientowany. Fermín wykorzystał tę chwilę, by delikatnie wyjąć słuchawkę telefoniczną z ręki Cascosa.
- Pozwoli pan - powiedział, odsuwając go. - Muszę skontaktować się z komendą.
- Wykręcił numer i uśmiechnął się do nas.
- Z komendą policji poproszę. Tak, dziękuję.
- Czekał przez parę sekund.
- Mari Pili? To ja, Romero de Torres. Proszę mnie połączyć z Palaciosem. Tak, poczekam, oczywiście.
- Fermín, czekając na połączenie, zakrył dłonią słuchawkę i skinął na Cascosa.
- A pan uderzył się o drzwi łazienki czy też gotów jest pan raczej

złożyć doniesienie?

- Ten dzikus zaatakował mnie i chciał mnie zabić. Chcę złożyć doniesienie, natychmiast. Nie puszczę tego płazem. Musi dostać po nosie.

Fermín spojrzał na mnie surowym policyjnym wzrokiem.

- Oczywiście. Po nosie i nie tylko.

Drgnął, jakby usłyszał coś w telefonie, i gestem ręki dał Cascosowi znak, żeby nic nie mówił.

- Tak, Palacios, to ja. W hotelu Ritz. Tak. Pokój czterysta dwadzieścia cztery. Jeden ranny. Rany na twarzy przede wszystkim. A to zależy. Powiedziałbym, że jak mapa. Tak jest. Przystępuję do natychmiastowego zatrzymania podejrzanego.

Odłożył słuchawkę.

- Zrobione.

Fermín podszedł do mnie i chwycił mnie za ramię gestem stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu, nakazując zarazem, bym nie śmiał się odzywać.

- A pan lepiej niech siedzi cicho. Wszystko, co pan powie, zostanie użyte przeciwko panu i wystarczy, żeby zapuszkować pana przynajmniej do Wszystkich Świętych. No już, idziemy, idziemy.

Cascos, skrecając się z bólu i wciąż skonfundowany obecnością Fermína, nieufnie przyglądał się scenie.

- Nie zakuje go pan w kajdanki?

- To szanujący się hotel. A obrączki założymy w radiowozie.

Cascos, który wciąż krwawił i pewnie widział nas podwójnie, chwiejnym krokiem próbował stanąć nam na drodze.

- Pan jest na pewno z policji?

- Tajna brygada. Zaraz wydam odpowiednie polecenie, żeby przystali panu jak najszybciej kawał

surowej wołowiny, bo musi pan obłożyć sobie twarz czymś zimnym. Najlepsze doraźne antidotum w takich przypadkach. Moi koledzy niebawem przybędą, żeby spisać raport, podjąć odpowiednie czynności i wszcząć kroki prawne - wyrecytował, odsuwając ramię Cascosa i popychając mnie, jak mógł najszybciej, ku drzwiom.

## 12.

Przed hotelem wsiedliśmy do taksówki. W milczeniu jechaliśmy przez Gran Via.

- Jezus Maryja, Józefie święty! - Fermín nagle eksplodował. - Zwariował pan całkiem? Własnym oczom nie wierzę... Czego pan szukał? Chciał pan załatwić tego idiotę?

- Pracuje dla Mauricio Val sa - brzmiała moja odpowiedź.

Fermín uniósł wzrok ku górze.

- Danielu, ta pańska obsesja zaczyna być już nieprzyzwoita. Że też zebrało mi się na opowieści... W

złą godzinę... Dobrze się pan czuje? Mogę zobaczyć rękę?

Pokazałem mu dłoń.

- Matko Boska!

- A skąd pan wiedział...?

- Bo znam pana, jakbym to ja, za przeproszeniem, pana na świat wydał, chociaż zdarzają się takie dni, kiedy gorzko tego żałuję - odparł wściekły.

- Nie wiem, co mnie napadło...

- A ja wiem. I nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. To nie jest Daniel, jakiego znam. I nie jest to Daniel, którego chcę mieć za przyjaciela.

Ręka bolała mnie strasznie, ale jeszcze bardziej zabolęło mnie to, że zawiodłem Fermína.

- Proszę się nie gniewać.

- Nie, jasne, jeszcze chłopczyka trzeba będzie orderem udekorować...

Znowu zapadła na jakiś czas cisza. Każdy z nas wyglądał na ulicę przez swoje okienko.

- Całe szczęście, że się pan pojawił - powiedziałem w końcu.

- A co? Myślał pan, że zostawię pana samego?

- Ale nie powie pan nic Bei, prawda?

- Skoro pan tak nalega, to jeszcze napiszę list do naczelnego „La Vanguardi”, żeby opowiedzieć pański wyczyn ze szczegółami.

- Nie mam pojęcia, co mnie napadło, naprawdę nie wiem...

Spojrzał na mnie groźnie, w końcu jednak złagodniał i poklepał mnie po ręku. Przełknąłem ból.

- Dajmy temu spokój. Sądzę, że zachowałbym się identycznie. Patrzyłem na płynącą za szybami Barcelonę.

- A blacha? Co robiło za blachę?

- Proszę?

- No, legitymację policyjną, którą pan okazał... Co to było?

- A, to legitymacja kibica Barcy księdza proboszcza.

- Miał pan rację. Trzeba być idiotą, żeby podejrzewać Beę. Jestem idiotą.

- Ja zawsze mam rację. Mam to od urodzenia.

Poddałem się wobec oczywistości i zamilkłem, bo jak na jeden raz, to i tak za dużo głupstw już powiedziałem. Fermín siedział i milczał z wyrazem zamyślenia na twarzy.

Zaniepokoiłem się na myśl, że tak bardzo go rozczarowałem, iż nie wie, co właściwie mi powiedzieć. i - Fermínie, o czym pan myśli?

Odwrócił się ku mnie i przyjrzał mi się zatroskany.

- Myślałem o tym człowieku.

- O Cascosie?

- Nie. O Val sie. O tym, co ten idiota powiedział wcześniej. I co z tego wynika.

- O czym pan mówi?

Fermín spojrzał na mnie ponuro.

- A o tym, że do tej pory martwiłem się tym, że chce pan odnaleźć Val sa.

- I co? Przestał się już pan martwić?

- Nie, ale jest coś, czym martwię się jeszcze bardziej, Danielu.

- Co?

- 100 -

- Ano tym, że to on pana szuka.

Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- A ma pan jakiś pomysł dlaczego? - spytałem.

Fermín, który na każde pytanie zawsze miał odpowiedź, tym razem pokręcił wolno głową i odwrócił wzrok.

Resztę kursu przejechaliśmy w milczeniu. Kiedy dotarliśmy do



domu, od razu poszedłem do mieszkania, wziąłem prysznic i połknąłem cztery aspiryny. A później spuściłem rolety i przytulając się do poduszki pachnącej Beą, zasnąłem jak przystało na idiotę, gorączkowo zastanawiając się, gdzie jest ta kobieta, dla której gotów byłem zdobyć tytuł frajera stulecia.

### 13.

- Wyglądam jak jeżozwierz - zawyrokowała Bernarda, przypatrując się swemu zwielokrotnionemu odbiciu w przymierzalni salonu Modas Santa Eulalia.

Dwie krawcowe klęczące u jej stóp nie przestawały zaznaczać szpilkami sukni ślubnej pod czujnym wzrokiem Bei, krążącej wokół Bernardy i sprawdzającej każdą plisę i każdy szew, jakby całe życie nic innego nie robiła. Bernarda stała ze skrzyżowanymi ramionami, skupiona, jakby nie śmiała nawet odetchnąć, niemniej czujnie śledziła każdą fałdkę i linię swej sylwetki odbitej przez lustra sześćściennej przymierzalni, czy aby zdradziecko nie uwydatniają jej brzucha.

- Pani Beo, na pewno nic nie widać?

- Nic a nic. Płaska jak deska do prasowania, tam gdzie trzeba, oczywiście...

- Sama nie wiem, no nie wiem...

Męki Bernardy i starania krawcowych, by dopasować i ułożyć, przedłużyły się o pół godziny. Kiedy zdawało się, że już nie ma na świecie ani jednej wolnej szpilki do wbicia w biedną Bernardę, osobiście zjawił się projektant, cudowne dziecko domu mody i zarazem autor kreacji, by po odświeżeniu kotary, pobieżnej analizie i kilku drobnych poprawkach wyrazić swą aprobatę i pstrykając w palce, dać znać swym asystentkom, że powinny dyskretnie zniknąć.

- Cudowniej nie zrobiłby pani nawet Manuel Pertegaz - zawyrokował usatysfakcjonowany.

Bea uśmiechnęła się i przytaknęła.

Projektant, dżentelmen smukły o wyszukanych manierach i manierycznych pozach, obdarzony prostym imieniem Evaristo, pocałował Bernardę w policzek.

- Jest panna najlepszą modelką na świecie. Najcierpliwszą i najwaleczniejszą. Łatwo nie przyszło, ale warto było.

- I myśli kawaler, że będę w tym mogła oddychać?

- Serdeńko, wstępuje pani w związek małżeński poprzez Świętą Matkę Kościół z iberyjskim macho.

Koniec z oddychaniem, ja to pani mówię. Proszę sobie wyobrazić,

że suknia ślubna jest jak skafander nurka: nie jest to najlepsze miejsce do oddychania, za to kiedy już można z tego wyskoczyć, zabawa zaczyna się na całego.

Bernarda przeżegnała się, słuchając insynuacji projektanta mody.

- A teraz poproszę, żeby panna zdjęła z siebie suknię, z największą ostrożnością, bo fastrygi mogą puścić, a nie chcę patrzeć, jak z powodu tyłu wbitych w pannę szpilek idzie panna do ołtarza niczym durszlak - powiedział Evaristo.

- Ja jej pomogę - zaoferowała się Bea.

Evaristo obrzucił Beę powłóczyстым wzrokiem, prześwietlając ją od stóp po głowę.

- A kiedy będzie mi dane miłą panią podfastrygować i rozfastrygować, skarbie? - spytał

kokieteryjnie i w teatralnym piruecie zniknął za kotarą.

- Widziała pani, jak na panią spojrział ten łobuz - powiedziała Bernarda. - A mówią, że on z tych z przeciwległej strony chodnika.

- Mam wrażenie, Bernardo, że Evaristo chodzi po wszystkich chodnikach.

- A można to tak?

- No chodź, spróbujmy cię stąd wydostać i nie zgubić żadnej szpilki.

- 101 -

Bea zajęła się uwalnianiem Bernardy z okowów sukni ślubnej, dziewczyna zaś zaczęła burczeć gniewnie pod nosem.

Z chwilą gdy dotarło do niej, jaka jest cena sukni, której koszty don Gustavo, chlebodawca dziewczyny, postanowił, wbrew jej protestom, ponieść z własnej kieszeni, Bernarda nie mogła się uspokoić.

- Przecież don Gustavo nie musiał wydawać takiej fortuny. Ale on, że tak ma być i koniec, że to musi być najdroższy salon w Barcelonie i że koniecznie Evaristo, który jest jego dalekim siostrzeńcem czy coś takiego i który w kółko gada, że tkaniny muszą być absolutnie z Casa Gratacós, bo od wszystkich innych dostaje alergii . I tak w kółko.

- Darowanemu koniowi... A ponadto don Gustawowi tak bardzo zależy na tym, żebyś miała ślub jak się patrzy. On już taki jest.

- Ale ja w sukni mojej matki i jako tako wystrojona tak czy siak wyjdę za mąż, a Fermínowi jest wszystko jedno, bo i tak za każdym razem, kiedy mu pokazuję nową suknię, to on chce mnie z niej tylko

rozebrać... No i takie są skutki, niech mi Bóg wybaczy - powiedziała Bernarda, poklepując się po brzuchu.

- Bernardo, ja też byłam w ciąży, kiedy wychodziłam za męża, i jestem pewna, że Bóg ma znacznie większe zmartwienia na głowie.

- Mój Fermín mówi mi to samo, ale sama nie wiem...

- Ty słuchaj Fermína i niczym się nie przejmuj.

Bernarda, w halce, wycieńczona dwugodzinnym stanieniem w butach na obcasach i z rękami w górze, osunęła się na fotel i westchnęła.

- Biedaczek, zmizerniał mi tak bardzo, że go ledwo widać. Bardzo mnie martwi.

- Daj spokój, zobaczysz, jak od ślubu się zregeneruje. Mężczyźni tak mają, są jak geranium: kiedy wygląda na to, że nadają się już tylko do wyrzucenia, nagle odżywają.

- No nie wiem, pani Beo, Fermín widzi mi się jakiś mocno przygnębiony. Zarzeka się, że chce się żenić, ale czasem dopadają mnie wątpliwości.

- Ależ Bernardo, przecież on świata poza tobą nie widzi.

Bernarda wzruszyła ramionami.

- Pani Beo, ja nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam. Ja w życiu tylko sprzątałam po mieszkaniach, zawsze to robiłam, od trzynastego roku życia, i pewnie wielu rzeczy nie potrafię zrozumieć, ale wiem, że mój Fermín zwiedził kawał świata, przeżył niejedną przygodę. On mi nigdy nie opowiadał o tym, co robił, zanim mnie poznał, ale ja wiem, że miał inne kobiety i tułał się po świecie.

- Żeby w końcu spośród innych wybrać właśnie ciebie. Proszę bardzo.

- Ależ to pies na kobiety. Kiedy idziemy na spacer albo na tańce, ma tak rozbiegane oczy, że aż się boję, że któregoś dnia ten zez zostanie mu już na zawsze.

- Dopóki go ręce nie świerzbią... Ja wiem, i to z dobrego źródła, że Fermín zawsze był ci wierny.

- Wiem. Ale, pani Beo, wie pani, czego się najbardziej boję? Że nie dorosnę do niego. Kiedy widzę, jak patrzy na mnie cielecym wzrokiem i mówi mi, że pragnie, abyśmy się zestarzelili razem, i takie tam czułe słówka, jak to on, zawsze sobie wtedy myślę, że któregoś dnia obudzi się rano i przyjrzy mi się, i powie: „A co tu robi ten głupol, skąd ja ją

wytrzasnąłem?”.

- Sądzę, że się mylisz, Bernardo. Fermínowi nigdy taka myśl nawet nie zaświta. Wynosi cię na piedestał.

- To też niedobrze, proszę pani, bo niejednego ja panicza widziałam, co to panią stawiają na piedestale jakby świętą jakąś, a później lecą za pierwszą lepszą przechodzącą lafiryndą jak pies za suką w rui. Nie uwierzyłaby pani, co też się napatrzyły te moje oczęta, którymi mnie Pan Bóg obdarzył.

- Ale Fermín nie jest taki, Bernardo. On jest z tych dobrych. Tych nielicznych, bo mężczyźni są jak kasztany sprzedawane na ulicy: jak je kupujesz, wszystkie są gorące i pięknie pachną, ale ledwie je wyjmiesz z torebki, natychmiast stygną i nagle stwierdzasz, że większość z nich jest w środku zgniła.

- Chyba nie mówi pani tego z uwagi na pana Daniela, prawda?  
Bea zawahała się chwilę, nim odpowiedziała.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Bernarda spojrzała na nią podejrzliwie.

- W domu wszystko w porządku pani Beo?

- 102 -

Bea przygładziła dłonią wystającą znad ramienia Bernardy fałdkę koszulki.

- Tak, Bernardo, w porządku. Problem w tym, że i ty, i ja znalazłyśmy sobie mężów, którzy żyją swoimi sprawami i mają swoje sekrety.

Bernarda przytaknęła.

- Zachowują się czasem jak dzieciaki.

- To mężczyźni. Pozwól im pobrykać.

- Kłopot w tym, że mi się podobają - stwierdziła Bernarda - chociaż wiem, że to grzech.

Bea się zaśmiała.

- A jacy ci się podobają? Tacy jak Evaristo?

- Uchowaj Boże. Od tego gapienia się w lustro zużyje je całe. Bo jak tylko pomyślę o takim mężczyźnie, który ubiera się i szykuje dłużej ode mnie, to robi mi się jakoś tak. Sama nie wiem. Mnie to się podobają trochę tacy nieokrziesani, i co ja zrobię? Ja wiem, że Fermín urodziwy, tak naprawdę urodziwy, urodziwy nie jest, no nie. Ale dla

mnie jest piękny i dobry. I bardzo męski. A w sumie to o to chodzi, żeby był dobry i żeby był z krwi i kości, a nie malowany. I żebyś mogła się w zimową noc mocno do niego przytulić, i żeby cię porządnie ogrzał.

Bea uśmiechała się, przytakując.

- Amen. Aczkolwiek pewien ptaszek mi powiedział, że tobie tak naprawdę to podoba się Cary Grant.

Bernarda spłonila się.

- A pani może nie? Ja nie mówię, że zaraz do ślubu, co to, to nie, bo coś mi mówi, że ten, kiedy po raz pierwszy spojrział w lustro, od razu się w sobie zakochał, ale między nami mówiąc i niech mi Bóg wybaczy, ale tak do obściskania się to ja bym mu wstrętów nie czyniła...

- Bernardo, a co by powiedział Fermín, gdyby cię usłyszał?

- A to, co mówi zawsze: „W sumie, jeśli i tak robaki mają to zżreć...”.

**Część piąta. - Imię bohatera.**

1.

### **Barcelona, 1958**

Wiele lat później wszystkie dwadzieścia trzy osoby, zgromadzone, by uczcić tę niezwykłą chwilę, miały przypomnieć sobie wigilię owego historycznego dnia, kiedy to Fermín Romero de Torres pożegnał na zawsze swój kawalerski stan.

- To kres pewnej epoki - powiedział profesor Alburquerque, unosząc kieliszek szampana i wyrażając swoim toastem myśl, która każdemu z nas w ten czy inny sposób tłukła się po głowie.

Wieczór kawalerski Fermína, wydarzenie, które, by zacytować słowa don Gustava Barceló, wzbudziło w sercach żeńskiej populacji Barcelony rozpacz porównywalną jedynie z tą odczuwaną po śmierci Rudolfa Valentino, odbył się w lutową noc 1958 roku w największej sali tanecznej La Palomy.

W tej właśnie sali, na tym samym parkiecie pan młody odtańczył w swych złotych czasach namiętne tanga i przeżył niezapomniane chwile, które od tamtego dnia miały stać się częścią sekretnego i zamkniętego na zawsze rozdziału w jego życiu.

Mój ojciec, którego tym razem jakimś cudem zdołaliśmy wyciągnąć z domu, wynajął prawie profesjonalną orkiestrę pod szumną nazwą La Habana del Baix Llobregat. Ów band zgodził się zagrać dla nas za nader korzystną cenę i przez całą uroczystość bawił gości cudownym wykonaniem rozmaitych mamb, guarachy i sonów, które przenosiły pana młodego w jego młode lata, w czasy międzynarodowych intryg, splendoru hawańskich kasyn - na dawno zapomnianą Kubę. Wszyscy goście natychmiast pozbyli się zahamowań i ruszyli na parkiet, by podrygiwać i plesać na cześć ukochanego Fermína.

- 103 -

Barceló sobie tylko znanym sposobem przekonał mojego ojca, że szklaneczki wódki, które mu ciągle podsuwał, to tylko woda mineralna z kilkoma kropelkami nalewki Aromas del Montserrat, i za sprawą jego technik perswazji zostaliśmy świadkami niesamowitego widowiska: mój rodzic zaczął

wirować na parkiecie w objęciach jednej z piękności, które Rociíto -

prawdziwa gospodyni wieczoru -

przyprowadziła, by uświetnić uroczystość.

- Boże święty! - mruknąłem, przecierając oczy, podczas gdy mój ojciec entuzjastycznie kręcił

biodrami, a nawet co jakiś czas, odgadując intencje swojej partnerki, rytmicznie trącał się z nią pośladkami.

Don Gustavo tymczasem krążył wśród gości, częstując ich cygarami i rozdając pamiątkowe kartki, które zamówił w znajomej drukarni specjalizującej się w fabrykowaniu kart z okazji pierwszej komuni, chrztów i pogrzebów. Na ozdobnym papierze widniała karykatura Fermína z rękami złożonymi jak do modlitwy w stroju aniołka, a znajdujący się pod nią podpis głosił: Fermín Romero de Torres 19?? - 1958

Wielki uwodziciel odchodzi w stan spoczynku 1958 - 19??

Rodzi się pater familias Fermín, pierwszy raz od dawna, zdawał się spokojny i szczęśliwy. Pół godziny przed zabawą zaprowadziłem go do Can Lluís; tam profesor Alburquerque złożył krótkie sprawozdanie ze swojej porannej wizyty w urzędzie stanu cywilnego, do którego udał się zaopatrzonej w pękata teczki dokumentów sfabrykowanych mistrzowską ręką Oswalda Dario de Mortensseny i jego asystenta Luisita.

- Drogi Fermínie - obwieścił profesor - niezmiernie mi miło oficjalnie powitać pana z powrotem pośród żywych i wręczyć, mając pana Daniela Sempere i przyjaciół z Can Lluís za świadków, nowy i autentyczny dowód tożsamości.

Wzruszony Fermín z niedowierzaniem oglądał wytęskniony dokument.

- Jak się wam udało dokonać tego cudu?

- Wolalbym oszczędzić sobie szczegółów technicznych. Chciałbym jednak zapewnić pana, że kiedy ma się prawdziwego przyjaciela, gotowego poruszyć niebo i ziemię, by tylko mógł się pan ożenić z należytym ceremoniałem i zacząć sprowadzać na świat potomstwo z prawego łoża, które zapewni ciągłość rodu Romero de Torres, wtedy po prostu nie ma rzeczy niemożliwych - powiedział profesor.

Fermín popatrzył na mnie ze łzami w oczach, a potem przytulił mnie tak mocno, że myślałem, iż mnie, udusi. I wcale nie wstydzę się



przyznać, że była to jedna z najszczęśliwszych chwil w moim życiu.

## 2.

Po półtorej godziny szalonej muzyki, dzikich tańców i całkowitego braku umiaru, jeśli chodzi o spożycie wysokoprocentowych trunków, postanowiłem zrobić sobie chwilę przerwy i podszedłem do baru w poszukiwaniu czegoś bezalkoholowego. Byłem pewien, że nie zdołam przełknąć już ani kropli Daiquiri - najpopularniejszego tej nocy drinka. Barman podał mi szklankę zimnej wody, a ja oparłem się plecami o bar, by popatrzeć na tańczących.

Dopiero teraz zauważyłem, że przy drugim końcu kontuaru stoi Rociíto. Z kieliszkiem szampana w dłoni melancholijnie obserwowała uroczystość, którą sama zorganizowała. Z opowieści Fermína mogłem się domyślać, że Rociíto ma około trzydziestu pięciu lat, ale tych bez mała dwadzieścia, które przepracowała w zawodzie, odcisnęło na niej wyraźne piętno i nawet w tym półmroku kolorowych świateł królowa ulicy Escudellers wyglądała na starszą, niż była w rzeczywistości.

- 104 -

Podszedłem do niej i uśmiechnąłem się.

- Rociíto, wygląda pani olśniewająco. Tak pięknej jeszcze pani nie widziałem - skłamałem.

Na dzisiejszą okazję wyciągnęła z szafy swoje najlepsze stroje i odwiedziła najlepszego fryzjera z ulicy Conde del Asalto, ale tak naprawdę odniosłem wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem Rociíto takiej smutnej.

- Czy coś się stało, Rociíto?

- Niech pan na niego spojrzy. Chudy biedaczek jak szczapa, a i tak rwie się do tańca.

Z jej utkwionego w Fermínie spojrzenia wyczytałem, że zawsze będzie widzieć w moim przyjacielu tego śmiałka, który uratował ją wtedy przed atakiem złości jakiegoś taniego drania. Zrozumiałem, że w ciągu w tych dwudziestu lat spędzonych na ulicy Fermín był najprawdopodobniej jedynym porządnym facetem, jakiego poznała.

- Panie Danielu, nic Fermínowi nie mówiłam, ale jutro nie przyjdę na ślub.

- Chyba pani żartuje, Rociíto? Przecież miała być pani honorowym

gościem...

Rociíto spuściła wzrok.

- Wiem. Ale nie mogę przyjść.

- Czemu? - zapytałam, chociaż doskonale wiedziałem, co mi odpowie.

- Bo byłoby mi okropnie żal, a ja przecież chcę, żeby Fermín był szczęśliwy ze swoją żoną.

Rociíto się rozpląkała. Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, więc tylko ją objąłem.

- Ja zawsze go kochałam, zawsze, od kiedy go poznałam. Wiem, że nie jestem kobietą dla niego, że dla niego jestem... po prostu Rociíto.

- Niech pani nigdy nie zapomina o tym, że Fermín bardzo panią kocha.

Rociíto nagle wyrwała się z moich objęć i zawstydzona otarła łzy. Potem spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

- Niech mi pan wybaczy. Łatwo się rozczulam. A jak wypiję kieliszek alkoholu, to zacynam głupstwa gadać.

- Nie ma o czym mówić.

Podaliśmy jej szklankę wody. Wypiła parę łyków.

- Wie pan, któregoś dnia budzi się pan rano i uświadamia sobie nagle, że wszystkie pociągi już odjechały.

- Zawsze jest jakiś pociąg, do którego jeszcze można wsiąść. Zawsze.

Rociíto pokiwała głową.

- Dlatego właśnie nie przyjdę na ślub, panie Danielu. Kilka miesięcy temu poznałam pewnego mężczyznę z Reus. To dobry człowiek. Wdowiec. Dobry ojciec. Handluje starzyzną i odwiedza mnie za każdym razem, kiedy przyjeżdża do Barcelony. Poprosił, bym za niego wyszła. Żadne z nas niczego nie udaje, wie pan? Starzeć się samotnie jest bardzo ciężko, a ja też już nie jestem w wieku, żeby dalej pracować na ulicy. Jaumet, ten pan z Reus, poprosił mnie, bym pojechała z nim w podróż.

Jego dzieci już wyfrunęły z domu, a on całe życie ciężko pracował. Teraz chce zobaczyć świat. I zaproponował, bym z nim pojechała, jako żona, a nie jakaś tam przelotna kochanka, którą się wykorzystuje i

porzuca. Statek wypływa jutro wczesnym rankiem. Jaumet twierdzi, że kapitan może udzielić ślubu na morzu, a jak nie, to poszukamy księdza w pierwszym lepszym porcie, do którego zawiniemy.

- A Fermín wie o tym?

Fermín jakby nas usłyszał z parkietu, bo nagle przestał tańczyć i spojrzał na nas badawczo.

Wyciągnął do Rociíto ramiona i zrobił tę samą minę potrzebującego dopieszczenia niewiniątka, która zawsze przynosiła mu tak świetne efekty. Rociíto roześmiała się serdecznie i zanim ruszyła na parkiet, by zatańczyć ostatnie bolero z miłością swego życia, odwróciła się do mnie i wyszeptała: - Niech pan o niego dba, panie Danielu. Więcej takich jak Fermín nie ma na świecie.

Orkiestra przestała grać, a tancerze na parkiecie rozstąpili się przed Rociíto. Fermín wziął ją za rękę. Światła La Palomy zaczęły nikać jedno za drugim, a kiedy zgasły już wszystkie, snop reflektora przeciął ciemności i nakreślił u stóp pary krąg dymiącego światła. Wszyscy pozostali tancerze opuścili parkiet, a orkiestra zagrała pierwsze takty bolera, najsmutniejszego bolera, jakie kiedykolwiek skomponowano. Fermín położył dłoń na tali Rociíto. Patrząc sobie w oczy, daleko od świata, kochankowie tej dawnej Barcelony, która już nigdy nie miała powrócić, ostatni raz zatańczyli czule - 105 -

objęci. Kiedy muzyka umilkła, Fermín pocałował Rociíto w usta, a ona, cała we łzach, pogłaskała go po policzku, a potem, bez słowa pożegnania, odeszła powoli ku wyjściu.

### 3.

Orkiestra pospieszyła w tym momencie na ratunek, błyskawicznie serwując kubańską guarachę, Oswaldo Dario de Mortenssen zaś, po tylu miłosnych listach, jakie w swoim życiu napisał, encyklopedyczny znawca wszelkich smuteczków i melancholi, natychmiast zagrzał uczestników zabawy, by wrócili na parkiet jak gdyby nigdy nic. Fermín, nieco strapiony, podszedł do baru i usiadł

na stołku obok mnie.

- Dobrze się pan czuje, Fermínie?

Skinął nieznacznie głową.

- Chyba świeże powietrze dobrze by mi zrobiło.

- Proszę tu na mnie poczekać, pójdę po płaszcz.

Idąc ulicą Talers w stronę Rambli, dostrzegliśmy, pięćdziesiąt metrów przed nami, jakby znaną nam sylwetkę osoby posuwającej się nienaturalnie wolno.

- Danielu, czy to nie jest przypadkiem pański ojciec?

- We własnej osobie. Pijany w sztok.

- W życiu nie spodziewałem się czegoś takiego - stwierdził Fermín.

- A ja co mam powiedzieć?

Przyspieszyliśmy, by dogonić mego ojca. Kiedy się z nim zrównaliśmy, spojrzał na nas szklistym wzrokiem i uśmiechnął się.

- Która godzina? - spytał.

- Późno już.

- Tak też sądziłem. Fermínie, dziękuję, cudowna zabawa. I co za dziewczyny. Że o tyłeczkach nie wspomnę, bo o niektóre z nich to i wojna mogłaby wybuchnąć.

Wybałuszyłem oczy. Fermín chwycił mojego ojca pod ramię i zaczął go prowadzić.

- Szanowny panie Sempere, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to panu powiem, ale znajduje się pan w stanie upojenia alkoholowego i lepiej będzie, żeby powstrzymał się pan od mówienia czegokolwiek, bo po co ma pan później gorzko żałować swoich słów.

Ojciec przytaknął zawstydzony z nagłą.

- To przez tego potwora Barceló. Nie mam pojęcia, czym mnie

poczęstował, a ja nie jestem przyzwyczajony do picia...

- W porządku. Napije się pan sody oczyszczonej, a później odeśpi pan wszystko. Jutro świeżutki jak pączek róży i nikt nie widział, nikt nie słyszał.

- Chyba zaraz zwymiotuję.

Z Fermínem trzymałem mocno ojca, podczas gdy on zwracał wszystko, co wypił.

Podtrzymałem mu dłonią czoło pokryte zimnym potem, a kiedy już byliśmy pewni, że w żołądku nie zalega nawet jego pierwsza papka zjedzona w niemowlęctwie, pomogliśmy mu usiąść na stopniach portalu.

- Proszę oddychać powoli i głęboko, panie Sempere.

Ojciec z zamkniętymi oczami skwapliwie kiwnął głową. Spojrzeliśmy z Fermínem po sobie.

- Czy pan aby przypadkiem nie żeni się na dniach?

- Jutro po południu.

- No to wszystkiego najlepszego, człowieku.

- Dziękuję, panie Sempere. A co by pan powiedział, gdybyśmy powolutku, pomalutku udali się do domu? Czuje się pan na siłach?

Ojciec przytaknął.

- Odwagi, jeszcze odrobina wysiłku, to całkiem niedaleko.

- 106 -

Chłodny i suchy wiatr ocucił nieco mego ojca. A kiedy dziesięć minut później dochodziliśmy do ulicy Santa Ana, już na tyle oprzytomniał, iż zrobił rachunek sumienia, paląc się ze wstydu. Przypuszczalnie nigdy dotąd się nie upił.

- O tym, co się stało, błagam, ani słowa nikomu - poprosił nas.

Dochodziliśmy już do księgarni, gdy dostrzegłem, że ktoś siedzi w bramie budynku. Poblask wielkiej latarni z Casa Jorba na rogu Puerta del Ángel wydobywał z półmroku sylwetkę dziewczyny z walizką na kolanach. Na nasz widok wstała.

- Mamy towarzystwo - szepnął Fermín.

Mój ojciec też ją dostrzegł. Jego twarz dziwnie się odmieniła i pojawił się na niej pełen wyczekiwania spokój, jakby nagle znów był pijany. Zaczął iść w stronę dziewczyny i stanął niespodziewanie jak wryty w ziemię.

- Isabel a? - usłyszałem jego głos. Obawiając się, że alkohol wciąż go otępia i że w każdej chwili może osunąć się na ziemię, przyskoczyłem do ojca.

I wtedy zobaczyłem ją.

#### 4.

Nie miała chyba jeszcze siedemnastu lat. Stała w kręgu światła lampy znajdującej się na fasadzie budynku i uśmiechnęła się do nas nieśmiało, unosząc dłoń w geście pozdrowienia.

- Ja jestem Sofia - powiedziała z lekkim akcentem.

Ojciec patrzył na nią osłupiały, jakby widział zjawę.

Przełknąłem ślinę, czując zarazem, jak całe moje ciało przenika dreszcz. Ta dziewczyna była wiernym odbiciem mojej matki z kolekcji fotografii trzymanyh przez mego ojca na biurku.

- Jestem Sofia - powtórzyła dziewczyna, nieco zaniepokojona. - Pana siostrzenica z Neapolu...

- Sofia - wybełkotał mój ojciec. - No tak, Sofia.

Opatrzność najwyraźniej czuwała nad nami, bo był z nami Fermín, który natychmiast wziął sprawy w swoje ręce. Wybudziwszy mnie z szoku walnięciem w plecy, zaczął dziewczynie tłumaczyć, że pan Sempere jest lekko niedysponowany.

- Wracamy właśnie z degustacji win, ale bidak już po szklance wody Vichy ma dosyć. Proszę nie zwracać uwagi, signorina, zazwyczaj pan Sempere nie wygląda na tak osłupiałego.

Pod drzwiami znaleźliśmy wsunięty pod naszą nieobecność pilny telegram, wysłany przez ciocię Laurę, matkę dziewczyny, by uprzedzić nas o dacie jej przyjazdu.

Gdy znaleźliśmy się w mieszkaniu, Fermín pomógł memu ojcu zająć miejsce na sofie i kazał mi zrobić w ekspresie mocną kawę. W tym czasie zajmował dziewczynę rozmową, pytając o szczegóły podróży, nie szczędząc wszelkich, niezbędnych w tego typu sytuacjach, banałów, podczas gdy mój ojciec powoli wracał do życia.

Z rozkosznym akcentem i nie bez swoistej kokieteri Sofia opowiedziała nam, że o dziesiątej wieczorem dotarła na dworzec Francia. Tam wsiadła do taksówki i pojechała na plac Cataluña. Nie zastawszy nikogo w domu, zasiadła w pobliskim barze i siedziała w nim, póki go nie zamknęli. A później usiadła w bramie, ufając, że wcześniej czy później ktoś się wreszcie pojawi. Ojciec pamiętał list, w którym jej matka informowała go, że Sofia ma przyjechać do



Barcelony, ale nie sądził, że to nastąpi tak szybko.

- Bardzo mi przykro, że musiałaś czekać na ulicy - powiedział. - Normalnie to ja nigdzie nigdy nie wychodzę, ale dziś wieczorem był wieczór kawalerski Fermína i...

Sofia tak się uradowała tą wieścią, że skoczyła i pocałowała Fermína w policzek, życząc mu wszystkiego najlepszego. Fermín, choć już przeniesiony do rezerwy, nie potrafił powstrzymać odruchu i natychmiast zaprosił ją na wesele.

Od pół godziny paplaliśmy i gadaliśmy, kiedy Bea, wracając z wieczoru panieńskiego Bernardy, usłyszała głosy, wobec tego zapukała do drzwi. Kiedy weszła do pokoju stołowego i zobaczyła Sofię, poblądła jak kreda i spojrzała na mnie karcąco.

- 107 -

- To moja kuzynka Sofia, z Neapolu - przedstawiłem. - Przyjechała studiować do Barcelony, będzie tu mieszkać przez jakiś czas...

Bea usiłowała jakoś zatuszować swój niepokój i przywitała się z Sofią z naturalną bezpośredniością.

- To jest moja żona Beatriz.

- Po prostu Bea. Nikt do mnie nie mówi Beatriz.

Czas i kawa zrobiły swoje i pojawienie się Sofi w naszym gronie zaczęliśmy traktować jako rzecz całkiem oczywistą i naturalną i dopiero Bea delikatnie zwróciła nam uwagę, że dziewczyna pewnie pada ze zmęczenia i że najlepiej będzie, jeśli jednak pójdzie się przespać, bo jutro też jest dzień, nawet jeśli jest to dzień ślubu. Postanowiono, że Sofia zostanie ulokowana w moim dawnym pokoju dziecięcym, Fermín zaś odprowadził mojego ojca do łóżka, upewniwszy się przedtem, że mu już nic nieprzyjemnego nie grozi. Bea zapewniła Sofię, że pożyczy jej odpowiednią suknię na ceremonię ślubną, na co Fermín, którego już z dwóch metrów czuć było szampanem, natychmiast chciał

zareagować niezbyt chyba obyczajnym komentarzem na temat podobieństw i niejakich różnic sylwetek i tali, ale uciszyłem go w porę sówką w bok.

Z półki przyglądała nam się fotografia ślubna moich rodziców.

Siedzieliśmy w trójkę w jadalnym i przyglądaliśmy się jej z rosnącym zadziwieniem.

- Jak dwie krople wody - szepnął Fermín.

Bea patrzyła na mnie kątem oka, usiłując odczytać moje myśli. Wzięła mnie za rękę i rozjaśniła twarz w uśmiechu gotowa skierować rozmowę na inne tory.

- A jak wieczór kawalerski? - spytała.

- Spokojniutki, zero ekstrawagancji - zapewnił Fermín. - A jak białogłowom udał się wieczór panieński?

- A wprost przeciwnie, same ekstrawagancje.

Fermín spojrzał na mnie ze zgrozą.

- Mówiłem, że jeśli chodzi o te rzeczy, to kobiety są większe szelmy od nas.

Bea uśmiechnęła się tajemniczo.

- A kogóż to pan nazywa szelmami?

- Proszę mi darować niewybaczone przejęzyczenie, doña Beatriz, bo do głosu doszło niestety wino musujące z Penedes, które płynie obecnie w moich żyłach i skłania do mówienia takich głupstw. Bóg świadkiem, że jest pani wzorem cnót wszelakich i subtelności, a sługa uniżony wolałby oniemieć i resztę dni swoich spędzić w kartuzjańskiej celi w milczącej pokucie niż być autorem jakiegokolwiek, choćby i najdalszej, insynuacji szelmstwa.

- Obiecanki cacanki - skwitowałem.

- Lepiej nie zgłębiajmy tematu - ucięła Bea, patrząc na nas, jakbyśmy obaj mieli po jedenaście lat. -

A teraz, jak was znam, udacie się pewnie na waszą tradycyjną przedślubną przechadzkę po falochronach - dodała.

Spojrzeliliśmy z Fermínem na siebie.

- No już. Zmykać mi stąd. Bo lepiej będzie, jeśli jutro znajdziecie się na czas w kościele...

## 5.

Bar El Xampanyet specjalizujący się w winach musujących był jedynym lokalem w okolicy czynnym o tej porze. Musieliśmy chyba wzbudzić w obsłudze litość, bo choć już sprząтали i szykowali się do zamknięcia, pozwolili nam zostać przez chwilę. Na wieść o tym, że za kilka godzin Fermín ma się ożenić, właściciel lokalu złożył mu wyrazy współczucia i dał nam w prezencie butelkę musującego lekarstwa.

- Odwagi i byka za rogi - poradził.

Włączyliśmy się zaułkami dzielnicy Ribera, ruszając z posad bryłę świata, tak jak zwykliśmy to robić, dopóki nie zauważyliśmy, że niebo zaczyna lekko różowieć, i dotarło do nas, że już najwyższy czas, by pan młody i jego świadek, to znaczy ja, podążyli na kraniec falochronu, by usiąść tam i - 108 -

jeszcze raz o świecie zobaczyć największą fatamorganę świata - zwierciadlane odbicie w wodach portu budzącej się ze snu Barcelony.

Siedzieliśmy na nabrzeżu, machając nogami w powietrzu i popijając z butelki sprezentowanej nam przez właściciela El Xampanyet.

Pomiędzy jednym łukiem a drugim patrzyliśmy w milczeniu na miasto i podążaliśmy wzrokiem za stadem mew krążących wpierw nad kopułą kościoła Mercé, a później omijających łukiem wieże budynku Poczty Głównej. W dali, na szczycie góry Montjuic, wznosił się zamek, ciemnym niczym upiorny ptak czujnie obserwujący rozpostarte u swych stóp miasto.

Syrena statku rozdarła ciszę i zobaczyliśmy, że po drugiej stronie basenu portowego ogromny transatlantyk podnosi kotwicę, szykując się do wyjścia z portu. Odbił od nabrzeża i zostawiając za sobą kłęby pianistej wody, skierował dziób w stronę morza. Dziesiątki pasażerów wyległy na pokład, machając miastu na pożegnanie. Byłem ciekaw, czy jest między nimi Rociño razem ze swym przystojnym i jesiennym handlarzem z Reus. Zamyślony Fermín patrzył na statek.

- Sądzi pan, Danielu, że Rociño będzie szczęśliwa?

- A pan, Fermínie? Czy pan będzie szczęśliwy?

Patrzyliśmy na odpływający statek i coraz mniejsze i mniejsze postaci pasażerów.

- Jest coś, Fermínie, co mi nie daje spokoju. Dlaczego nie chciał pan prezentów ślubnych?

- Nie lubię sprawiać ludziom kłopotu. A poza tym, co zrobilibyśmy z ilomaś tam kompletami kieliszków z rżniętego szkła i sztucców w wygrawerowanymi herbami Hiszpani , i z tymi wszystkimi prezentami, którymi ludzie obdarowują młode pary?

- A mnie sprawiłoby ogromną frajdę dać panu prezent.

- Pan już mi dał największy prezent, jaki można ofiarować.

- To się nie liczy. Ja mówię o prezencie do użytku tylko i wyłącznie osobistego.

Fermín spojrzał na mnie zaintrygowany.

- Chyba nie ma pan na myśli fajansowej Matki Boskiej albo krucyfiks? Bernarda ma już tego tyle, że nie wiem, jak my się z tym pomieścimy.

- Spokojnie, nie chodzi o żaden przedmiot.

- No chyba nie myśli pan o pieniądzach.

- Aż zanadto dobrze pan wie, że niestety nie śmierzę groszem. Kasę w mojej rodzinie trzyma teść, a nie jest on zbyt hojny.

- No bo ci frankiści ze świeżej dostawy znani są z tego, że mają węża w kieszeni.

- Fermínie, mój teść to dobry człowiek. Niech pan go zostawi w spokoju.

- Spuśćmy wobec tego zasłonę miłosierdzia, co nie znaczy, że musi pan zmieniać temat, jak już mi pan narobił smaku. Co to za prezent?

- Niech pan zgadnie.

- Wagon sugusów.

- Zimno, zimno...

Fermín uniósł brwi, zniecierpliwiony już do granic. Nagle zaświeciły mu się oczy.

- No nie... Nareszcie.

Przytaknąłem.

- Wszystko w swoim czasie. A teraz proszę mnie uważnie posłuchać. To, co dzisiaj pan zobaczy, ma pan zachować wyłącznie dla siebie. Nikomu ani słowa...

- Nawet Bernardzie?

## 6.

Pierwsze promienie słońca spływały niczym strumienie roztopionej miedzi z gzymsów Rambli Santa Mónica. Był niedzielny poranek. Na ulicach było pusto i cicho. Kiedy skręciliśmy w wąską uliczkę Arco del Teatro, snop drżącego światła, który przebijał się z Rambli, z każdym naszym krokiem zanikał, a kiedy doszliśmy do wielkich drewnianych drzwi, zanurzyliśmy się już w mieście cieni.

- 109 -

Pokonałem kilka stopni i zastukałem kołatką. Echo wybrzmiewało powoli w środku jak rozchodząca się po stawie fala. Fermín, który zapadł w uroczyste milczenie i przypominał złąknionego chłopca mającego przystąpić do swej ceremonii inicjacyjnej, spojrzał na mnie pełen przejęcia.

- Nie jest za wcześnie? - zapytał. - Jeszcze się szef wkurzy...

- To nie dom towarowy. Tu nie ma godzin otwarcia - uspokoiłem go.

- A szef nazywa się Isaac. I zanim on pana nie zapyta, proszę się nie odzywać.

Fermín skinął potulnie głową.

- Słówka nie pisnę.

Po kilku minutach usłyszałem taniec skomplikowanego mechanizmu zębatek, zapadek i rygli otwierający zamek i cofnąłem się. Drzwi uchyliły się nieco i ukazała się drapieżna twarz Isaaca Monforta, strażnika. Jego przenikliwe jak zwykle spojrzenie spoczęło najpierw na mnie i otaksowawszy szybko, przeniosło się na Fermína, by niespiesznie przeświecić go, skatalogować i prześwidrować.

- To Fermín Romero de Torres, jak miemam - mruknął.

- Sługa uniżony wielmożnego pana...

Uciszyłem Fermína sówką w bok i uśmiechnąłem się do srogiego strażnika.

- Dzień dobry panu.

- Dobry to będzie taki dzień, Sempere, w którym nie pojawi się pan bladym świtem, kiedy siedzę w klozecie albo dzień święty święcę - odparł Isaac. - No już, do środka.

Strażnik uchylił drzwi trochę szerzej i pozwolił nam się wślizgnąć.

Kiedy zatrzasnęły się za naszymi plecami, Isaac uniósł z ziemi lampkę. Fermín patrzył na zwierającą się arabską mechanizm przypominającego wnętrze największego na świecie zegara.

- Tu złodziej musiałby się niezłe napocić - rzucił.

Skarciłem go spojrzeniem. Przyłożył palec do ust.

- Dajemy czy bierzemy? - zapytał Isaac.

- Szczerze mówiąc, od dawna chciałem przyprowadzić Fermína, by osobiście poznał to miejsce.

Wiele razy mu o nim opowiadałem. To mój najlepszy przyjaciel. Dziś w południe się żeni - wytłumaczyłem.

- Mój Boże - westchnął Isaac. - Biedaczysko. Gdyby się pan jednak rozmyślił i szukał przytułku dla niedoszłych małżonków...

- Fermín jest z tych, co żenią się po długim namyśle i z pełnym przekonaniem.

Strażnik zlustrował go spojrzeniem. Fermín uśmiechnął się usprawiedliwiająco.

- Co za odwaga.

Poprowadził nas długim korytarzem ku galeri wiodącej do głównej sali. Dałem się wyprzedzić Fermínowi i pozwoliłem, by sam odkrył widok, którego żadne słowo nie mogło oddać.

Jego maleńka postać zanurzyła się w wielkim kręgu jasności wpadającej do środka przez szklaną kopułę. Mżawka światła wpływała kaskadami do zakamarków niezmiernego labiryntu korytarzyków, tuneli, schodów, tuków i sklepień, które zdawały się wyrastać niczym gałęzie z pnia jakiegoś monstrualnego drzewa książek, pnącego się ku niebu w niepojętej geometrii. Fermín zatrzymał się przed kładką prowadzącą niczym most w głąb budowli i z otwartymi ustami przyglądał się temu, co rozciągało się przed jego oczyma. Podeszedłem do niego cicho i położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Fermínie, witaj na Cmentarzu Zapomnianych Książek.

## 7.

Z mojego doświadczenia wynikało, że kiedy ktoś znajdował się w tym miejscu po raz pierwszy, reagował zwykle niepomiernym zdumieniem i oczarowaniem. Piękno tej sekretnej biblioteki i emanująca z niej aura tajemniczości sprawiały, iż nowi goście, przekonani, że śnią na jawie, popadali w stan osłupienia i milczącej kontemplacji. Oczywiście Fermín i w tej kwestii musiał okazać się inny niż wszyscy. Przez pierwsze pół godziny jak zahipnotyzowany krążył po korytarzykach, próbując się - 110 -

zorientować w tym labiryncie. Co jakiś czas przystawał, by postukać w kolumny i łuki, jakby wątpił w ich solidność. Zatrzymywał się, by podziwiać najprzeróżniejsze perspektywy, i składając dłonie w lunetę, próbował odgadnąć logikę struktury. Pokonywał niestrudzenie spirale regałów, z nosem prawie przytkniętym do bezliku tomów uporządkowanych w niekończące się szlaki i zdumiony liczbą tytułów, katalogował wszystkie, które napotkał na swej drodze. Ja, tyleż przestraszony, co zaniepokojony, nie odstępowałem go na krok.

Już zaczynałem podejrzewać, że Isaac wyrzuci nas stamtąd kopniakami, kiedy na jednym z mostków rozpiętych pomiędzy sklepieniami pełnym książek niespodziewanie wpadłem na strażnika.

Ku mojemu zaskoczeniu w jego twarzy nie znalazłem najmniejszych choćby oznak irytacji, śmiał się za to serdecznie, obserwując szybkie postępy, jakie czynił Fermín podczas swojej pierwszej eksploracji Cmentarza Zapomnianych Książek.

- Pański przyjaciel to dość osobliwy egzemplarz - ocenił Isaac.  
- Nawet się pan nie domyśla, do jakiego stopnia.  
- Proszę się nie przejmować i go zostawić, niech się spokojnie rozejrzy. W końcu zejdzie na ziemię...

- A jak się zgubi?  
- Sprawił na mnie wrażenie całkiem rozgarniętego. Jakoś sobie poradzi.

Nie byłem o tym przekonany, ale wolałem nie wdawać się w spór z Isaakiem. Poszedłem za nim do pakamery służącej mu za biuro i z chęcią zgodziłem się wypić filiżankę kawy, którą mi zaproponował.

- Wyjaśnił już pan swojemu przyjacielowi zasady?  
- Fermín i zasady to coś, czego w żaden sposób nie da się pogodzić. Niemniej jednak spróbowałem mu streścić najważniejsze reguły, a on w odpowiedzi prychnął tylko: „Oczywiście, za kogo mnie pan ma?”.

Nalewając mi kolejną filiżankę kawy, Isaac nakrył mnie na przyglądaniu się wiszącej nad biurkiem fotografi jego córki, Nuri .

- Niedługo miną dwa lata, jak od nas odeszła - powiedział głosem tak smutnym, że wokół zapanował nagle lodowaty chłód.

Spuściłem wzrok, zdruzgotany. Choćby upłynęło i sto lat, śmierć Nuri Monfort i tak nie zatarłaby się w mojej pamięci, podobnie jak myśl, że gdyby mnie nie poznała, być może żyłaby do dziś. Isaac cały czas patrzył na portret córki, tak jakby chciał jej dotknąć spojrzeniem.

- Starzeję się, Sempere. Nadszedł już czas, by poszukać kogoś, kto zajmie moje miejsce.

Już miałem zaprotestować, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich niezwykle podekscytowany Fermín, który dyszał tak, jakby ukończył właśnie bieg maratoński.

- I co? - spytał Isaac. - Jak się panu podoba?

- Wprost imponujące. Choć muszę zaznaczyć, że zdecydowanie odczułem brak toalety. Za nic nie mogłem jej znaleźć.

- Mam nadzieję, że nie zsikał się pan w jakimś kąciku.

- Prawdę mówiąc, musiałem usilnie się powstrzymać.

- To te drzwi na lewo. Musi pan dwa razy pociągnąć za spłuczkę, za pierwszym nigdy nie działa.

Isaac nalał Fermínowi filiżankę dymiącej kawy, a on pobiegł, by wreszcie uczynić zadość swej fizjologicznej potrzebie. Kiedy wrócił z wyrazem ulgi na twarzy, już od progu oznajmił strażnikowi: - Jest mnóstwo rzeczy, o które po prostu muszę pana zapytać, don Isaacu.

- Fermínie, może to nie jest najlepszy... - spróbowałem go powstrzymać.

- Niech pan pyta, śmiało.

- Pierwszy dział dotyczy historii miejsca. Drugi zagadnień technicznych i kwestii architektonicznych.

Trzeci jest w dużej mierze bibliograficzny...



Isaac się roześmiał. Nigdy w życiu nie widziałem, by się śmiał, i nie byłem pewien, czy interpretować to jako znak zesłany z niebios, czy raczej zapowiedź rychłej katastrofy.

- Najpierw musi pan wybrać książkę, którą chce pan ocalić - zasugerował Isaac.

- Przeglądałem więcej niż jedną, ale w końcu, przez wzgląd na kwestie sentymentalne, pozwoliłem sobie wybrać tę.

Wyjął z kieszeni tom oprawny w czerwoną skórę z tytułem wygrawerowanym złotymi literami i ryciną czaszki na stronie tytułowej.

- 111 -

- No proszę, *Miasto Przeklętych, część trzynasta: Dafne i niemożliwe schody Davida Martina...* -

powiedział Isaac.

- Stary znajomy - wyjaśnił Fermín.

- Naprawdę? Co pan powie. W swoim czasie bywał tu częstym gościem - odparł Isaac.

- Przed wojną, jak się domyślam - wtrąciłem.

- Tak, ale ostatni raz odwiedził mnie niedługo po wojnie.

Spojrzelśmy po sobie z Fermínem. Zacząłem nawet myśleć, że być może Isaac ma rację i rzeczywiście jest już za stary na swoje stanowisko.

- Nie chcę podawać w wątpliwość pana słów, szefie, ale to zupełnie niemożliwe - odezwał się Fermín.

- Niemożliwe? A niby dlaczego? Proszę wyrażać się jaśniej.

- David Martin uciekł z kraju jeszcze przed wojną - wyjaśniłem. - W trzydziestym dziewiątym, kiedy wojna domowa miała się już ku końcowi, wrócił, przekraczając granicę w Pirenejach. Kilka dni później został zatrzymany w Puigcerdá. Siedział w więzieniu przez prawie rok. Potem, na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego, został zamordowany.

Isaac patrzył na nas z powątpiewaniem.

- Niech pan nam wierzy, szefie - powiedział Fermín.

- Wiemy to wszystko z wiarygodnego źródła.

- Mogę wam przysiąc, że David Martin siedział tutaj, na tym samym krześle co pan, Sempere, i rozmawiał ze mną.

- Jest pan tego pewien, Isaacu?

- Jak niczego na świecie - odparł strażnik. - Pamiętam dobrze tę wizytę, bo wcześniej nie widziałem go całe lata. Był wymizerowany i wyglądał na chorego.

- A pamięta pan datę tej wizyty?

- Doskonale. Była to ostatnia noc tysiąc dziewięćset czterdziestego roku. Sylwester. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Bezskutecznie próbowaliśmy z Fermínem zmieścić jakoś te nowe fakty w znanej nam dotąd chronologii .

- To znaczy, że ten strażnik więzienny, Bebo, opowiedział Briansowi prawdę. Tej nocy, kiedy Val s rozkazał zabrać go do willi nieopodal parku Gi el i tam zabić... Bebo słyszał, jak rewolwerowcy, którzy mieli wykonać rozkaz, mówili, że w domu był ktoś jeszcze... Ktoś, kto miał nie dopuścić do śmierci Martina... - gubiłem się w domysłach.

Isaac słuchoł naszych spekulacji całkiem skonsternowany.

- O kim panowie mówią? Kto właściwie chciał zabić Martina?

- To długa historia - wyjaśnił Fermín. - Z całą masą przypisów.

- Mam nadzieję usłyszeć ją któregoś dnia...

- A czy Martin sprawił na panu wrażenie poczytalnego, Isaacu? - zapytałem.

Isaac wzruszył ramionami.

- Z Martinem nigdy nie było wiadomo... Był człowiekiem, którego dręczyły demony. Kiedy wychodził, zaproponowałem, że odprowadzę go na pociąg, ale odmówił, tłumacząc, że na zewnątrz czeka na niego samochód.

- Samochód?

- Mercedes-benz, ni mniej, ni więcej. Należący ponoć do kogoś, kogo zawsze nazywał swoim Patronem i kto, rzekomo, na niego czekał. Ale kiedy odprowadziłem go do drzwi, nie było ani samochodu, ani patrona, ani w ogóle nic...

- Proszę się nie obrażać, szefie, ale zważywszy na tę szczególną datę i powszechnie wiadomy ludyczny charakter sylwestrowej nocy, czy nie przesadził pan przypadkiem ze spożyciem win musujących i ogłupiały od nadmiaru kołęd czy też może oszołomiony wysoką zawartością cukru w świątecznym nugacie, nie uroił sobie pan całej tej historii? - dopytywał się Fermín.

- Jeśli chodzi o gazowane trunki, piję tylko oranżadę, a najbardziej wysokokowym napojem, jaki mam tu na stanie, jest woda utleniona - powiedział Isaac, który wcale nie sprawiał wrażenia dotkniętego insynuacjami Fermína.

- Jeszcze raz przepraszam. To była czysta formalność.

- 112 -

- Domyślam się. Ale musi mi pan uwierzyć - no, chyba że tamtego dnia odwiedził mnie duch, w co wątpię, bo z ucha leciała mu krew, a ręce drżały w gorączce, by nie wspomnieć o tym, że wyżarł mi wszystkie kostki cukru, które miałem w spiżarni - że tego dnia, gdy złożył mi wizytę, Martin był równie żywy jak pan czy ja.

- A nie wyjaśnił panu, co sprowadzało go tu po tak długiej przerwie? Isaac pokiwał głową.

- Powiedział, że chce mi coś zostawić i że wróci po to, kiedy tylko będzie mógł...

- I co to było?

- Paczka, owinięta papierem i przewiązana sznurkami. Nie mam zielonego pojęcia, co zawierała.

Przełknąłem ślinę.

- A ma pan ją jeszcze?

## 8.

Paczka, wyjęta z samego dna szafy, leżała teraz na biurku Isaaca. Kiedy przesunąłem dłonią po pokrywającej ją grubej warstwie kurzu, w powietrze wzbijała się chmura pyłków, które zaczęły wirować w świetle lampy naftowej podtrzymywanej przez stojącego po mojej lewej stronie Isaaca. Stojący z prawej Fermín podał mi swój scyzoryk. Wszyscy trzej spojrzeliśmy po sobie.

- Niech się dzieje wola nieba - westchnął Fermín.

Podłożyłem ostrze pod starannie, rzec by można zawodowo zawiązany sznurek mocno przylegający do szarego papieru i przeciąłem. Bardzo uważnie odwijalem zawartość. Wreszcie zobaczyłem, co się kryło pod papierem. Manuskrypt. Kartki były brudne, poplamione zastygłym woskiem i krwią. Na pierwszej stronie widniał tytuł skreślony diaboliczną kaligrafią: Gra Anioła David Martin - To książka, którą napisał, kiedy Val s kazał go zamknąć w wieży - szepnąłem. - Widać Bebo ocalił manuskrypt.

- Tam chyba coś jeszcze jest - zauważył Fermín.

Spod stosu zapisanych stron wystawał pergaminowy róg. Pociągnąłem. W rękę trzymałem kopertę.

Opatrzona była lakową pieczęcią z odcisniętą postacią anioła. Na awersie widniało tylko jedno, wypisane czerwonym atramentem słowo: Daniel Poczulem, jak grabieżą mi dłonie. Isaac, który przyglądał się całej scenie tyleż zdziwiony, co zakłopotany, wycofał się w milczeniu ku drzwiom. Fermín ruszył za nim.

- Danielu - niemal szeptem powiedział Fermín. - Zostawiamy tu pana samego. Niech pan sobie spokojnie otworzy list i go przeczyta...

Słyszałem ich oddalające się kroki. Dobiegł mnie jeszcze początek rozmowy: - Szefie, w tym natłoku wzruszeń i emocji zapomniałem napomknąć, że wcześniej usłyszałem mimochodem, jak mówił pan, że ma ochotę pójść na emeryturę i opuścić to miejsce. Czy to prawda?

- Zgadza się. Nawet nie wyobraża pan sobie, ile lat tu siedzę. A czemu pan pyta?

- No cóż, właściwie dopiero się poznaliśmy, więc z góry

przepraszam za zbytnią poufałość, ale być może byłbym zainteresowany...

- 113 -

Głosy Fermína i Isaaca powoli wybrzmiewały w labiryncie Cmentarza Zapomnianych Książek.

Usiadłem w fotelu strażnika i złamałem pieczęć. W kopercie znajdowała się złożona na cztery połówki kartka. Rozłożyłem ją i zacząłem czytać.

*Barcelona, 31 grudnia 1940*

*Kochany Danielu!*

*Piszę te słowa, żywiąc nadzieję, a może nawet przekonanie, że któregoś dnia i Ty odkryjesz to miejsce, Cmentarz Zapomnianych Książek, miejsce, które zmieniło moje życie i które, jestem o tym przekonany, zmieni również Twoje życie. Dzięki tej samej nadziei wierzę, że być może wówczas, kiedy mnie już tu nie będzie, ktoś opowie Ci o mnie i o przyjaźni łączącej mnie z Twoją mamą. Wiem, że ten list, jeśli dotrze do Twych rąk, a ty zdołasz go przeczytać, obudzi w Tobie wiele pytań i wątpliwości. Niektóre z odpowiedzi znajdziesz w tym rękopisie. Starłem się w nim zawrzeć swoją osobistą historię, tak jak ją zapamiętałem, choć nie mogę Ci przysiąc, że pozostaję jeszcze w pełni władz umysłowych, gdyż często odnoszę wrażenie, że potrafię wspominać tylko to, co nigdy się nie wydarzyło.*

*Wiem również, że kiedy ten list dotrze do Ciebie, czas zacznie już zacierać ślady tego, co się wydarzyło. Wiem, że będą w Tobie narastać podejrzenia, że jeśli poznasz prawdę o ostatnich dniach życia Twojej matki, ogarnie Cię furia i pragnienie zemsty, podobnie jak mnie. Ponoć zdolność przebaczenia jest cnotą ludzi mądrych i sprawiedliwych, ale ja jestem przekonany, że nigdy nie zdołam przebaczyć. Moja dusza już i tak jest przeklęta i nie i ja dla niej żadnego ratunku. Wiem, że zrobię wszystko, by pomścić śmierć Isabel i. Do ostatniego tchu. Takie jest moje przeznaczenie, ale nie Twoje.*

*Twoja matka nie chciałaby, żeby Twoje życie było w jakiegokolwiek mierze podobne do mojego. Twoja matka marzyłaby, żeby Twoje życie*

*było spełnione, pozbawione nienawiści i lęków. Przez wzgląd na nią proszę Cię, byś przeczytał tę historię, a kiedy dotrzesz do ostatniej strony, żebyś ją zniszczył, żebyś wyrzucił z pamięci wszystko, co mogłeś słyszeć na temat przeszłości, której już nie ma, żebyś oczyścił swoje serce z nienawiści, żył takim życiem, jakiego chciała dla Ciebie Twoja matka, i spoglądał zawsze przed siebie.*

*A jeśli nadejdzie taki dzień, że klęcząc przed jej grobem, poczujesz, że znów trawi Cię ogień gniewu, pamiętaj, że w mojej historii, tak samo jak w Twojej, jest anioł, który zna wszystkie odpowiedzi.*

*Twój przyjaciel, David Martin* Jeszcze kilka razy przeczytałem słowa, napisane do mnie wiele lat temu przez Davida Martina, słowa, które zdały mi się przepojone skrucą i szaleństwem, słowa, których sens chyba nie do końca pojmowałem. Trzymałem list w dłoni przez dłuższą chwilę, a później zbliżyłem go do płomienia lampki i przyglądałem się, jak płonie.

Zastałem Isaaca i Fermína na progu labiryntu. Rozmawiali jak starzy przyjaciele. Na mój widok zamilkli i spojrzeli wyczekująco.

- Treść tego listu dotyczy tylko i wyłącznie pana, panie Danielu. Nie musi pan nam nic mówić.

Przytaknąłem. Przez ściany dało się słyszeć nikłe echo dzwonów. Isaac popatrzył na nas, a później na zegarek.

- Zaraz, zaraz, czy panowie nie wybierali się przypadkiem na czyjś ślub?

## 9.

Gdy w ów słoneczny zimowy dzień Fermín ujrzał na placu przed kościołem Santa Ana swą wybrankę w białej sukni, uznał, że nie ma na świecie piękniejszej kobiety niż Bernarda i niepotrzebne są jej nawet wymyślne ozdoby ani kosztowności. Don Gustavo Barceló, który gdyby nie mógł wykupić kwiatów z wszystkich barcelońskich kwiaciarni, żeby przystroić świątynię, nie kupiłby ani jednego, rozplakał się jak bóbr, a ksiądz proboszcz, przyjaciel pana młodego, zaskoczył nas wszystkich błyskotliwym kazaniem, które wycisnęło łzy nawet Bei, nieskłonnej do łatwych wzruszeń.

Mnie o mało co nie wypadły na podłogę obrączki ślubne, ale ta niezręczność szybko poszła w niepamięć, kiedy ksiądz na koniec ceremonii zachęcił Fermína do pocałowania panny młodej.

Właśnie wtedy odwróciłem się na chwilę i odniosłem wrażenie, że widzę w ostatnim rzędzie ław nieznajomego, który przyglądał mi się z uśmiechem. Nie potrafiłbym wytłumaczyć dlaczego, ale przez sekundę byłem przekonany, że nieznany mi gość to nikt inny jak Więzień Nieba. Niemniej, kiedy jeszcze raz spojrzałem w tamtą stronę, już go nie było. Obok mnie Fermín z całej siły przytulił

Bernardę i bez żadnych zahamowań pocałował pannę młodą w usta, wywołując zachwyty księdza, a następnie owację wszystkich zgromadzonych.

Widząc owego dnia, jak mój przyjaciel całuje swą ukochaną kobietę, pomyślałem, że dla tej chwili, dla tego momentu skradzionego czasowi i Panu Bogu, warto było przetrwać te wszystkie nędzne i ponure dni, które doprowadziły nas tutaj, i te wszystkie, które nas jeszcze najpewniej czekają, gdy wrócimy znów do powszedniego życia, i że wszystko, co na tym świecie czyste, porządne i nieskalarie, i wszystko dla czego warto było nadal oddychać, było w tych ustach, w tych rękach i w spojrzeniu tych dwojga szczęśliwych ludzi, którzy będą ze sobą, teraz już wiedziałem o tym na pewno, do końca dni swoich.

## Epilog. 1960.

Młody człowiek, choć z kilkanaście już siwymi włosami na skroni i z cieniem smutku w oczach, idzie pomiędzy nagrobkami cmentarza tonącymi w promieniach słońca goszczącego na niebie, w którym odbija się błękit morza.

Niesie na rękach dziecko, które może nie do końca rozumie jego słowa, ale uśmiecha się za każdym razem, gdy napotka jego spojrzenie. Podchodzą do skromnego grobu, znajdującego się na skalnej półce zawieszanej nad Morzem Śródziemnym. Mężczyzna klęka i pozwala dziecku dotknąć wygrawerowanych w kamieniu liter.

ISABELLA SEMPERE

1917-1939

Mężczyzna przez dłuższy czas klęczy w milczeniu, zaciskając powieki, by powstrzymać łzy.

Głos synka budzi go ze wspomnień i przywraca rzeczywistości. Gdy otwiera oczy, widzi, że dziecko pokazuje palcem figurkę wystającą pomiędzy suchych płatków wokół wazonu postawionego u stóp tablicy nagrobnej. Jest przekonany, że kiedy był tu ostatnio, nie było tej figurki. Zanurza dłoń w stosie opadłych kwiatów i wyjmuje gipsowy posążek, tak mały, że mieści się w dłoni. Anioł. Słowa, które uważał za dawno zapomniane, znów nim szarpnęły jak niezagojona rana.

*A jeśli nadejdzie taki dzień, że klęcząc przed jej grobem, poczujesz, że znów trawi Cię ogień gniewu, pamiętaj, że w mojej historii, tak samo jak w Twojej, jest anioł który zna wszystkie odpowiedzi...*

- 115 -

Synek próbuje złapać figurkę anioła trzymaną przez ojca na dłoni, ale dotknąwszy jej palcami, niechcący ją strąca. Posążek uderza o marmur i roztrzaskuje się. I wtedy mężczyzna to spostrzega.

Małeńki zwitek wsunięty w gips. Papier jest cienki, niemal przezroczysty. Rozwija go i natychmiast rozpoznaje charakter pisma: Mauricio Val s El Pinar ulica Manuela Arnusa Barcelona Lekki podmuch wiatru znad morza szeleści w nagrobnych kwiatkach i mężczyzna czuje, jak oddech przekleństwa owiewa jego twarz. Chowa zwitek do



kieszeni. Na grobie kładzie białą różę i odchodzi z dzieckiem na rękach w stronę alei cyprysów, gdzie czeka na niego matka jego syna. Wszyscy troje tulą się do siebie, a kiedy ona spogląda mu w oczy, odkrywa w nich coś, czego jeszcze przed chwilą tam nie było. Coś mrocznego i złowrogiego, coś, co wzbudza jej niepokój.

- Dobrze się czujesz, Danielu?

On patrzy jej długo w oczy i wreszcie się uśmiecha.

- Kocham cię - mówi i całuje ją, wiedząc, że historia, jego historia, jeszcze się nie skończyła.

Dopiero się zaczęła.

- 116 -

## Document Outline

- [Część pierwsza - Opowieść wigilijna.](#)
  - [1.](#)
  - [2.](#)
  - [3.](#)
  - [4.](#)
  - [5.](#)
  - [6.](#)
  - [7.](#)
  - [8.](#)
  - [9.](#)
  - [10.](#)
  - [11.](#)
  - [12.](#)
- [Część druga. - Spośród umarłych.](#)
  - [1.](#)
    - [Barcelona, 1939](#)
  - [2.](#)
  - [3.](#)
  - [4.](#)
  - [5.](#)
  - [6.](#)
  - [7.](#)
  - [8.](#)
  - [9.](#)
  - [10.](#)
    - [Barcelona, 1957](#)
  - [11.](#)
    - [Barcelona, 1940](#)
  - [12.](#)
  - [13.](#)
  - [14.](#)
  - [15.](#)
  - [16.](#)

- [17.](#)
- [18.](#)
- [19.](#)
- [20.](#)
- [21.](#)
- [22.](#)
- [23.](#)
- [24.](#)
- [Część trzecia. - Urodzić się raz jeszcze.](#)
  - [1.](#)
    - [Barcelona, 1940](#)
  - [2.](#)
  - [3.](#)
  - [4.](#)
  - [5.](#)
    - [Barcelona, 1941](#)
  - [6.](#)
  - [7.](#)
  - [8.](#)
  - [9.](#)
  - [10.](#)
  - [11.](#)
  - [12.](#)
    - [Barcelona, 1957](#)
  - [13.](#)
- [Część czwarta - Podejrzenie.](#)
  - [1.](#)
    - [Barcelona, 1957](#)
  - [2.](#)
  - [3.](#)
  - [4.](#)
  - [5.](#)
  - [6.](#)
  - [7.](#)
    - [Barcelona, 1958](#)
  - [8.](#)

- [9.](#)
- [10.](#)
- [11.](#)
- [12.](#)
- [13.](#)
- [Część piąta. - Imię bohatera.](#)
  - [1.](#)
    - [Barcelona, 1958](#)
  - [2.](#)
  - [3.](#)
  - [4.](#)
  - [5.](#)
  - [6.](#)
  - [7.](#)
  - [8.](#)
  - [9.](#)
- [Epilog. 1960.](#)